

Tytuł oryginału: Trying to Save Piggy Sneed
Copyright © 1982, 1980, 1973, 1968, 1974, 1982, 1976, 1986 by John Irving
All rights reserved
Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Wolny Wybór, Gdańsk 1994

Ratować Prośka

Redakcja i korekta: Katarzyna Budna Skład: Zbigniew Mielewczyk Projekt okładki: Jarosław Czarnecki
ISBN 83-85863-05-2 Wydanie pierwsze
Wydawnictwo Wolny Wybór s.c.*! - * - *j Gdańsk 45, skr. poczt. 87
Druk i oprawa: Archidiecejalny Zakład Poligraficzny Olsztyn, ul. Kardynała Wyszyńskiego 11

To są wspomnienia, ale proszę, pamiętajcie, że (dla każdego pisarza z dobrą wyobraźnią) wszystkie wspomnienia są fałszem. Pamięć powieściopisarza to wyjątkowo niedoskonały dostawca szczegółów; zawsze możemy sobie wyobrazić lepsze niż te, które pamiętamy. Właściwy detal to rzadko kiedy to, co się zdarzyło. Najprawdziwszy detal to ten, który mógł mieć miejsce lub powinien był mieć miejsce. Połowa mojego życia to czynność wprowadzania poprawek, a większość z tego to wprowadzanie drobnych zmian. Bycie pisarzem to solidne małżeństwo pomiędzy dokładną obserwacją i równie dokładnym wyobrażeniem sobie prawd, których nie było szansy stwierdzić naocznie. Reszta to konieczna, wyczerpująca harówka nad językiem; dla mnie znaczy to pisanie i przepisywanie zdań tak długo, aż będą brzmiały równie spontanicznie jak dobra rozmowa.

Pamiętając o tym, zostałem chyba pisarzem z powodu dobrych manier mojej babki, a dokładniej mówiąc, z powodu opóźnionego w rozwoju śmieciarza, w stosunku do którego moja babka była zawsze uprzejma i miła.

Moja babka jest najstarszą żyjącą absolwentką z Wellesley. Mieszka teraz w domu starców i jej pamięć coraz bardziej blaknie; nie pamięta już tego śmieciarza, który pomógł mi zostać pisarzem, ale zachowała zarówno swoje dobre maniere, jak i uprzejmość. Kiedy inni starsi ludzie przypadkiem zabłądzą do jej pokoju, często przez pomyłkę — szukając własnych pokoiów lub mieszkań, w których kiedyś mieszkali — babcia zawsze pyta:

— Kochanie, zgubiłaś się? Czy pomóc ci odszukać miejsce, w którym powinnaś się znaleźć?

Mieszkałem z babką, w jej domu, prawie do siódmego roku życia; z tego powodu babka zawsze nazywała mnie „swoim chłopcem”. W rzeczywistości nigdy nie miała własnego chłopca, miała trzy córki. Teraz, przy każdym pożegnaniu, oboje wiemy, że może nie dożyć następnej wizyty; a ona mówi: — Wracaj szybko, kochany. Wiesz, jesteś moim chłopcem — podkreślając z naciskiem (i całkiem zasadnie), że jest dla mnie kimś znacznie ważniejszym niż babka.

Choć jest absolwentką anglistyki, nigdy nie czytała moich prac z wielką przyjemnością; a tak naprawdę, to przeczytała moją pierwszą powieść i na tym (na całe życie) poprzestała. Nie pochwała, jak mi powiedziała, ani mojego języka, ani tematyki; a z tego, co czytała o innych moich utworach, dowiedziała się, że ich tematyka absolutnie zdegenerowała się w miarę, jak moja twórczość dojrzała. Nie zadała sobie żadnego trudu, żeby choć przeczytać te cztery powieści, które powstały po pierwszej (zgadzamy się oboje, że tak jest lepiej). Jest ze mnie bardzo dumna, jak mówi, a ja nigdy zbyt nie dopytywałem się, z jakiego powodu — czy dlatego, że w ogóle dorosłem, czy po prostu dlatego, że jestem „jej chłopcem”. Tak czy siak, nigdy, ale to nigdy, nie dała mi odczuć, że jestem mało interesujący czy nie kochany.

Wyrosłem na Front Street w Exeter w New Hampshire. Kiedy byłem chłopcem, Front Street była wysadzona więzami — i to nie jakaś tam holenderska choroba więzów zwała większość z nich. Dwa huragany, które uderzyły na miasteczko jeden po drugim, gdzieś w latach pięćdziesiątych, zmiotły więzy i w dziwny sposób zmodernizowały ulicę. Najpierw przyszła Carol i osłabiła im korzenie, a potem przyszła Edna, i powaliła je. Babcia drażniła się ze mną mówiąc, że to chyba powinno przyczynić się do wzrostu mojego szacunku dla kobiet.

Kiedy byłem chłopcem, Front Street była zacienioną, chłodną — nawet latem — ulicą, i żadne podwórko nie było

otoczone płotem; wszystkie psy latały wolno i wpędzały właścicieli w tarapaty. Człowiek imieniem Poggio dostarczał do domu mojej babki jej sprawunki. A niejaki pan Strout przywoził łód do starej lodziarki (babka opierała się lodówkom do samego końca). Pan Strout nie cieszył się zbyt popularnością wśród psów z okolicy — może dlatego, że czasami ganiał za nimi z wielkimi, ostrymi szczypcami do lodu. My, dzieciaki z Front Street, nigdy nie wchodziliśmy w drogę panu Poggio, bo ten pozwalał nam kręcić się po swoim sklepie i miał dobre serce, gdy chodziło o smakołyki. Panu Stroutowi też nigdy nie dokuczaliśmy (z powodu tych jego szczypców i legendarnej agresywności w stosunku do psów, która, jak sobie z łatwością

wyobrażaliśmy, mogła zwrócić się również przeciwko nam).

Ale śmieciarz nic dla nas nie miał — ani słodczy, ani agresywności. I stąd my, dzieciaki, zachowaliśmy całą naszą chęć dokuczania i drażnienia się (i załazenia za skórę w każdy inny sposób) dla niego.

Nazywał się Prosiek Ryjt. Śmierdział gorzej, niż człowiek może śmierdzieć — może z wyjątkiem tego trupa, od którego zaleciało mnie kiedyś raz, jedyny raz, w Istambule. No, a żeby wyglądać gorzej niż Prosiek Ryjt wyglądał dla nas, dzieciaków z Front Street, to naprawdę trzeba by być trupem. Było tyle powodów, dla których nazwaliśmy go „Prośkiem”, że zastanawiam się, dlaczego nikt z nas nie znalazł dla niego bardziej oryginalnego imienia. Po pierwsze, mieszkał na świńskiej farmie. Hodował świnię, szlachtował świnię, a co ważniejsze, mieszkał ze świniami: to była wyłącznie świńska farma — nie było domu czy zagrody, tylko ten chlew. Z jednej z przegród dla świń wychodziła pojedyncza rura kominowa. Ogrzewał ją, dla wygody Proška Ryjta, piec na drzewo, a my, dzieciaki, wyobrażaliśmy sobie, jak (zimą) świnię tłoczyły się wokół niego, by się ogrzać. On tak właśnie śmierdział.

Przejął też, z powodu osobliwości opóźnienia umysłowego i bliskości czworonożnych przyjaciół, swego rodzaju świńskie gesty i mimikę. Gdy zbliżał się do kubłów na śmieci, jego twarz wysuwała się przed tułów, tak jakby łapczywie rył w ziemi; mrużył swoje małe, czerwone oczka, nos marszczył z wigorem świńskiego ryja; z tyłu szyi miał głębokie, różowe fałdy skóry, a blada szczecina, która kiełkowała mu to tu, to tam wokół szczęki, nijak nie chciała przypominać brody. Był niski, przysadzisty i silny: jednym ruchem zarzucał sobie kubły ze śmieciami na plecy, a potem ciskał ich zawartość na drewnianą, obitą szczebelkami platformę swojej ciężarówki. Na ciężarówce było zawsze parę świń niecierpliwie czekających na nową porcję odpadków. Może w różne dni zabierał ze sobą różne świnię; może dla nich to była uczta, bo nigdy nie musiały czekać z jedzeniem odpadków, aż Prosiek wróci ciężarówką do domu. Brał tylko resztki — żadnego papieru, plastyku czy metalu — bo wszystko było dla jego wieprzków. Tylko to robił — miał bardzo ekskluzywny zawód. Płacili mu, żeby zabierał odpadki, którymi futrował swoje świnki. A kiedy zgłodniał, zjadał sobie (tak sobie to wyobrażaliśmy) jedną świnkę. — Całą świnię, na jeden raz — mawialiśmy na Front Street. Ale najbardziej świńską cechą, jaką posiadał, było to, że nie mówił. Nedorozwój umysłowy albo pozbawił go ludzkiej mowy, albo, jeszcze wcześniej, pozbawił go możliwości nauczenia się ludzkiej mowy. Prosiek Ryjt nie mówił. On chrumkał. Kwiczał. Chrumko-kwaczał; to był jego język, nauczył się go od swoich przyjaciół, tak jak my uczymy się naszego. My, dzieciaki z Front Street, podkradaliśmy się do niego, kiedy zarzucał swoje świnię odpadkami i straszaliśmy go — zza żywopłotów, spod podłogi werandy, zza zaparkowanych samochodów, z garaży i zsypów do piwnic. Wyskakivaliśmy (nigdy za blisko) i kwiczeliśmy do niego: — Prosiek! Prosiek! Prosiek! Prosiek! Kwiiiiik! Chrum! — A on, jak świnią, spanikowany, skacząc na oślep tu i tam, bezmyślnie rozbiegany (za każdym razem zachowywał się tak, jakby nic nie pamiętał), odkwikiwał się nam, jakbyśmy go ukłuli nożem rzeźnickim; ryczał do nas to swoje „kwiiiiik!”, jakby przyłapał nas na próbie puszczenia mu krwi we śnie.

8

Nie potrafię odtworzyć tego kwiku — był straszny. Na jego dźwięk wszystkie dzieciaki z Front Street wpadały w popłoch i z krzykiem leciały się schować. Kiedy przerażenie przechodziło, nie mogliśmy się doczekać jego następnego objazdu. Przyjeżdżał dwa razy w tygodniu. Co za luksus! I mniej więcej co tydzień moja babka mu płaciła. Wychodziła na ścieżkę z tyłu domu, gdzie stała jego ciężarówka i gdzie go często straszaliśmy, a on tam stał i jeszcze prychał — i mówiła: — Dzień dobry panu, panie Ryjt. Prosiek Ryjt natychmiast zmieniał się w dziecko — bardzo zajęte, przeraźliwie nieśmiałe i boleśnie niezgrabne. Kiedyś zakrył twarz rękami, a ręce miał całe w fusach od kawy; kiedyś tak gwałtownie skrzyżował nogi, próbując jednocześnie odwrócić twarz od babci, że padł przed nią jak długi.

— Tak miło znowu pana zobaczyć, panie Ryjt — mawiała babka, nie wzdrygnąwszy się nawet od jego smrodu. — Mam nadzieję, że dzieci panu nie dokuczają — mawiała. — Przecież nie musi pan znosić ich wybryków, bo jakże to! — dodawała. Potem płaciła mu należne pieniądze, przez drewniane szczeble przyczepy zerkając na jego świnię, które *zazarcie* atakowały świeże odpadki, a czasami siebie nawzajem, i mówiła: — Co za piękne świnię. Czy to są pana własne świnię, panie Ryjt? To nowe świnki? Czy to te same, które tu były w zeszłym tygodniu? — Ale mimo jej entuzjazmu dla świnek, nigdy nie udało się jej skłonić Ryjta do odpowiedzi. Potykał się, płał w własnych nogach, kręcił się wokół niej i nie posiadał z ukrywanej radości, że moja babka najwyraźniej aprobowała jego świnki, a nawet chyba akceptowała (całym sercem!) jego samego! I tylko cicho jej odchrumkiwał.

Kiedy wracała do domu — a Ryjt cofał swoją cuchnącą ciężarówką do ulicy — my, oczywiście, znowu go płoszyliśmy, wyskakując po obu stronach ciężarówki, tak że i Ryjt, i jego świnię kwiczeli przerażeni i prykali z obronnej wściekłości. — Prosiek! Prosiek! Prosiek! Prosiek! Chrumk! Kwiiiiiiii!

Mieszkał w Stratham — przy drodze z naszego miasteczka biegnącej do samego oceanu, jakieś osiem mil dalej. Wyprowadziłem się (z tatą i mamą) od babci (zanim skończyłem siedem lat, jak ci mówiłem). Ponieważ tato był nauczycielem, przeprowadziliśmy się do mieszkania szkolnego (Exeter był wtedy szkołą tylko dla chłopców) i dlatego nasze odpadki (razem z nieorganicznymi śmieciami) były wywożone przez szkołę.

Teraz chciałbym móc powiedzieć, że potem wyrosłem, zdałem sobie (z żalem) sprawę z okrucieństwa dzieci i wstąpiłem do paru organizacji zajmujących się niesieniem pomocy takim ludziom jak Prosiak Ryjt. Ale tak nie było. Prawa panujące w małym miasteczku są proste i pojemne: gdy dopuszcza się różne formy szaleństwa, ignoruje się wiele form okrucieństwa. Prośka się tolerowało; był dalej sobą i żył jak świnia. Tolerowało się go, jak toleruje się nieszkodliwe zwierzę, a dzieci mu dogadzały; zachęcały go nawet do tego, żeby był prosiakiem.

Oczywiście, gdy dorośliśmy, wszyscy zrozumieliśmy, że był opóźniony — i stopniowo dowiedzieliśmy się, że trochę sobie popijał. Ta ciężarówka z burtami ze szczebelków, cuchnąca świniami, odchodami, albo czymś jeszcze gorszym od odchodów, kręciła się po miasteczku przez cały ten czas, kiedy dorastałem. Wolno jej było; miała nawet miejsce na gubienie części ładunku — w drodze do Stratham. To było miasteczko, to Stratham! Czy w małomiasteczkowym życiu może być coś bardziej prowincjonalnego niż kręcenie nosem na mniejsze miasteczka? Stratham to na pewno nie było Exeter (nie żeby Exeter było znowu takie wielkie).

W *Piątej osobie dramatu*, powieści Robertsona Daviesa, autor pisze o mieszkańcach Deptford: „Byliśmy poważnymi ludźmi, którym nic więcej nie było potrzeba i nie czuliśmy się w żaden sposób gorsi od większych osad. Spoglądaliśmy jednak ze współczującym rozbawieniem na Bowles Corners, które leżało cztery mile dalej i miało stu pięćdziesięciu mieszkańców. Żeby mieszkać w Bowles Corners, trzeba by już schłópieć z kretesem i nieodwracalnie.”*

Dla nas, dzieciaków z Front Street, Stratham było takim Bowles Corners, było „schłópiełe z kretesem i nieodwracalnie.”

Kiedy miałem piętnaście lat i zaczęły się moje związki z akademią — gdzie uczyli się licealiści z dalekich stron — z Nowego Jorku, a nawet z Kalifornii — czułem taką wyższość w stosunku do Stratham, że teraz nie mogę się sobie nadziwić, że wstąpiłem do Ochotniczej Straży Pożarnej w Stratham; i w ogóle jak do tego doszło. Przypominam sobie, iż w Exeter nie było Ochotniczej Straży Pożarnej; była chyba tylko zawodowa. Było kilku mieszkańców Exeter, którzy — najwidoczniej z potrzeby zgłoszenia się na ochotnika do czegośkolwiek — wstąpili do ochotniczej w Stratham. Może nasza pogarda dla mieszkańców Stratham była tak głęboka, że uważaliśmy, iż nie można się po nich spodziewać, by dobrze gasili nawet swoje własne pożary.

Oczywiście, dochodził do tego dreszczyk podniecenia — w całym tym życiu licealisty — że należy się do czegoś, co w każdej chwili i bez ostrzeżenia może wezwać cię do służby: ten alarm przeciwwłamaniowy w sercu, który okazuje się telefonem dzwoniącym w środku nocy — to wezwanie do niebezpieczeństwa, jak biper lekarza burzący uporządkowaną samotność i bezpieczeństwo boiska do gry w sęuasha. Przez to my, dzieciaki z Front Street, byliśmy ważni. I jak tylko trochę podrośliśmy, spłynął na nas splendor, którym młodych może obdarzyć tylko uczestniczenie w tragedii.

Przez te wszystkie lata w straży ochotniczej nigdy nikogo nie uratowałem — nawet żadnego psa ani kota. Nigdy nie wdychałem dymu, nigdy nie cierpiałem od oparzeń, nigdy nie widziałem, jak ktoś spada poza bezpieczny krąg sieci ratunkowej. Najgorsze są pożary lasów, a ja uczestniczyłem tylko w jednym takim Pożarze — i to na jego skraju. Moje jedyne obrażenia „w akcji”

* W niniejszej publikacji nie wykorzystano istniejącego przekładu cytowanej powieści autorstwa M. Skibniewskiej. (przyp. red.)

10

11

zawdzięczam koledze strażakowi, który wrzucał ręczną sikawkę do magazynku, w którym szukałem swojej czapeczki do baseballa. Sikawka uderzyła mnie w twarz i przez mniej więcej trzy minuty leciała mi z nosa krew.

Od czasu do czasu bywały poważniejsze pożary w Hampton Beach (któreś nocy bezrobotny saksofonista, podobno ubrany w różowy smoking, próbował podpalić kasyno), ale do takich wzywano nas tylko w ostateczności. Gdy zdarzał się pożar na osiem albo dziesięć dzwonek, Stratham wzywali jako ostatnie; było to bardziej zaproszenie na widowisko niż wezwanie do boju. A miejscowe pożary w Stratham okazywały się albo pomyłką, albo stratą czasu. Którejś nocy pan Skully, inkasent wodociągowy, podpalił swój furgon wlewając wódki do gaźnika, bo, jak mówił, samochód nie chciał mu zapalić. Pewnej nocy płonęła chlewnia na mlecznej farmie Grantów, ale wszystkie krowy — i prawie całe siano — uratowano jeszcze przed naszym przyjazdem. Nic nie można było więcej zrobić, jak tylko patrzeć na płonący budynek

i polewać go wodą, żeby iskry nie leciały na pobliską zagrodę.

Ale buty, ciężki hełm (z moim numerem), błyszczący czarny toporek — własna siekierka strażacka — to było coś; oznaczało swego rodzaju dorosłą odpowiedzialność w świecie, w którym byliśmy uważani za (jeszcze) zbyt młodych, by pić. A pewnej nocy, gdy miałem szesnaście lat, pojechałem wozem strażackim z drabiną na drogę ciągnącą się wzdłuż brzegu, by w domku letniskowym nad plażą gasić pożar wzniesiony, jak się okazało, przez dzieciaki, które spowodowały wybuch kosiarki do trawy, wlewając do jej baku oczyszczoną benzynę, a tam, zataczając się jak pijany zając w kapuście, blokując wykonanie naszej ważnej misji i wolny od wszelkiego poczucia obywatelskiej odpowiedzialności — jak jakaś prawdziwa świnia — jechał sobie swą cuchnącą ciężarówką zapruty Prosiek Ryjt, wioząc odpadki swym żarłocznym przyjaciółkom. Migaliśmy na niego światłami, wyliliśmy syreną — ciekawe, za kogo nas wtedy brał? Za Boga, czerwonoookiego wyjącego potwora, który siadł mu na ramieniu

— wielkiego robota świńskiego wszechświata, który przyleciał z kosmosu? Biedny Ryjt, blisko domu, tak pijany i brudny, że z trudnością przypominał człowieka, skręcił ostro z drogi, by nas przepuścić, a my, dzieciaki z Front Street, mijając go krzyczeliśmy

— jeszcze to słyszę — Prosiek! Prosiek! Prosiek! Prosiek! Chrumk! Kwiiiiiiii! — Swoją głosem też chyba wtedy słyszałem. Trzymając się drabiny, z głowami odrzuconymi w tył tak, że drzewa nad wąską drogą zdawały się spowijać gwiazdy czarną, falującą koronką, czuliśmy, jak świński fetor przechodzi w ostry smród spalenizny zniszczonej kosiarki do trawy, by w końcu złagodnieć do czystego, słonego wiatru od morza.

W ciemności, wracając obok tej szopy dla świń, zauważyliśmy dziwnie ciepłą poświatę 'bijącą od lampy naftowej w kojcu Ryjta. Wrócił do domu bezpiecznie. I jeszcze nie spał. Czytał? I znowu usłyszałem nasze chrząkania, kwiki i chrumkania — nasze absolutnie zwierzęce odżywki.

Tej nocy, gdy spaliła się jego szopa, byliśmy tak zaskoczeni! Ochotnicza ze Stratham uważała zagrodę Proška Ryjta za zło konieczne — cuchnąca rudera przy drodze z Exeter do plaży była punktem orientacyjnym, który w ciepłe letnie wieczory wyduszał oddech z płuc; przejazd obok niej zawsze wywoływał zwyczajowe jęki. Zimą dym z pieca na drzewo bił regularnie z rury wystającej nad kojcem Proška i z boksów otaczających szopę, w których jego świnie, tarzając się w ściółce z osranego śniegu, wydychały małe chmurki oddechu, jakby były małymi piecami z mięsa. Wycie naszej syreny rozpraszało je na wszystkie strony. Nocą, gdy wracaliśmy do domu, a wszystkie ognie były tam pogaszone, nie mogliśmy sobie odmówić, żeby przejeżdżając obok siedziby Proška znowu nie huknąć syreną. Za bardzo podniecały nas wyobrażenia popłochu, jaki ten dźwięk musiał w nich wywoływać — spanikowane świnie, sam Prosiek przerażony, wszyscy się tulą do wszystkich ze świszczącymi pokwikiwaniami, szukając ochrony w ścisłości stada.

12

13

Tej nocy, gdy spłonęła zagroda Ryjta, my, dzieciaki z Front Street, wyobrażaliśmy sobie, że będzie to, mimo późnej pory, wesołe widowisko. Na nadbrzeżnej drodze, ze wszystkimi światłami i błyskającym sygnałem, z wyjącą syreną (która doprowadzała świnie do szaleństwa), byliśmy w fantastycznym nastroju. Opowiadaliśmy sobie mnóstwo kawałów o świniach; jak naszym zdaniem doszło do pożaru, że mieli popijawę, Prosiek i jego świnie, że Prosiek jedną piekł (na rożnie) i tańczył z drugą, że jedna świnia wpadła na piec i przysmażyła sobie ogon, wywróciła baryłki, i że świnia, która zazwyczaj z Proškiem tańczyła, była w złym humorze, bo Prosiek tańczył z inną... ale kiedy przyjechaliśmy, zobaczyliśmy, że pożar nie był wcale zabawą, że nie był nawet końcówką nieudanej zabawy. Był to największy pożar jaki my, dzieciaki z Front Street, a nawet weterani spośród ochotników ze Stratham, kiedykolwiek widzieliśmy.

Niskie, przytulone do chlewu przybudówki wyglądały jak gdyby eksplodowały albo jakby dachy im się stopiły. Wszystko, co znajdowało się w szopie, było podatne na ogień — drewno do pieca, siano, osiemnaście świń i Prosiek Ryjt. No i cała ta nafta. A w większości kojców gnój musiał mieć z metr albo i więcej grubości. Jak powiedział mi jeden z weteranów spośród ochotników — Jak dobrze się rozgrzeje, to nawet gówno się zapali.

Rozgrzało się dobrze. Musieliśmy przesunąć wozy strażackie dalej od domu: baliśmy się, że świeża farba albo nowe opony dostaną pęcherzydła gorąca. — Nie ma sensu marnować wody — powiedział nasz kapitan. Polewaliśmy drzewa po drugiej stronie drogi i las z tyłu farmy. Noc była cicha i wściekle mroźna, a śnieg suchy i drobny jak talk. Z gałęzi drzew zwisały sople, które pękały, gdy tylko je polać. Kapitan zdecydował pozwolić, żeby pożar się wypalił — tak będzie mniej bałaganu. Byłoby bardziej dramatycznie, gdybym powiedział, że słyszeliśmy kwiki, że słyszeliśmy, jak wnętrza świń pęcznieją i wybuchają albo że przedtem słyszeliśmy, jak biły raciczkami w deski drzwi. Ale

14

zanim przyjechaliśmy, wszystkie dźwięki ucichły; to była już historia, mogliśmy je sobie tylko wyobrażać. To lekcja dla pisarza: że odgłosy, które sobie wyobrażamy, mogą być najczystszyimi, najgłośniejszymi ze wszystkich dźwięków. Zanim przyjechaliśmy, wybuchły już nawet opony ciężarówki Proška, eksplodował bak i przednia szyba zapadła się do środka. Ponieważ nie było nas przy tym, mogliśmy sobie tylko wyobrazić, w jakiej kolejności to nastąpiło.

Gdy stało się zbyt blisko chlewni, gorączka skręcała rzęsy, a płyn pod powiekami parzył od gorąca. Jeśli stało się za daleko, chłód powietrza zimowej nocy, porywany ku płomieniom, przenikał do kości. Droga nad brzegiem pokryła się lodem od wody rozlanej z naszych węży i (koło północy) facet ze znaczkami Texaco na czapce i w wutowanej kurtce wpadł na drodze w poślizg

I potrzebował pomocy. Pijany i w towarzystwie kobiety, o wiele za młodej dla niego — a może to była jego córka. — Prosie! — krzyczał facet od Texaco. — Prosie! — wydierał się w kierunku płomieni. — Jeżeli tam jesteś — ty kretynie — to lepiej wynoś się stamtąd.

Chyba aż do drugiej nad ranem jedynym dźwiękiem było rozlegające się co jakiś czas samotne *brzdęk* kurczącej się blachy, kiedy odrywała się od dachu chlewni. Sam dach zapadł się około drugiej, z cichym szepem. O trzeciej wszystkie kocy były wypalone. Otaczający je śnieg stopił się i utworzył jezioro, które zdawało się unosić wokół ognia, sięgając prawie poziomu hałdy żarzących się popiołów. W miarę jak śnieg topniał, woda gasiła żar od spodu.

Jaki czuliśmy zapach? Letni aromat rozpalonej słońcem stodoły, klócający się z odorem popiołów w śniegu, zdecydowany smród spieczonego gnoju i zwodniczy zapach smażonego boczku > pieczonej wieprzowiny. Ponieważ nie było wiatru, a my nie próbowaliśmy gasić pożaru, nie dokuczał nam dym. Mężczyźni (to znaczy weterani) zostawili nas, chłopców, żebyśmy pilnowali jeszcze przez godzinę. Tak robią starsi, kiedy dzielą się pracą

² chłopcami: robią to, co chcą, a chłopców mają od tego, czym

15

nie chcą się zajmować. Mężczyźni poszli sobie na kawę (tak przynajmniej mówili), a wrócili cuchnąc piwem. Wtedy ogień na tyle już przygasł, że można go było zalać wodą. Mężczyźni zaczęli tę robotę, a kiedy im się znudziła, przekazali ją nam, chłopakom. I znowu sobie poszli, o pierwszym brzasku, na śniadanie, jak powiedzieli. W bladym świetle zacząłem rozpoznawać niektórych z moich towarzyszy, chłopaków z Front Street.

Kiedy starsi poszli, jeden z chłopaków z Front Street zaczął, najpierw bardzo cicho. Może to byłem ja. — Prosie, Prosie — zawołał. Jednym z powodów, dla których zostałem pisarzem jest to, że współczułem tej naszej potrzebie; nigdy mnie nie interesowało coś, co nie-pisarze nazywają dobrym lub złym „smakiem”.

— Prosie! Prosie! Prosie! Prosie! Chrumk! Kwiiiiiiii! — wołaliśmy. Wtedy właśnie zrozumiałem, że komedia to tylko inna forma składania kondolencji. I wtedy rozpocząłem; zacząłem swoje pierwsze opowiadanie.

— Cholera — powiedziałem, bo wszyscy ochotnicy ze Stratham zaczynali każde zdanie od słowa „cholera.”

— Cholera — powiedziałem. — Tam nie ma Proška. Jest głupi — dodałem — ale nie aż tak.

— Jest jego ciężarówka — powiedział jeden z najmniej obdarzonych wyobraźnią chłopaków z Front Street.

— Po prostu świnię mu się znudziły — powiedziałem. — Wyjechał z miasta, na pewno. Miał tego wszystkiego dosyć. Chyba to wszystko zaplanował — wiele tygodni temu.

O dziwo, zaczęli mnie słuchać. Zgadza się, noc była długa. Każdy, kto miał cokolwiek do powiedzenia, mógł z łatwością przykuć uwagę ochotników ze Stratham. Ale ja czułem podniecenie nadchodzącego ratunku — po raz pierwszy.

— Założę się, że tam nie ma wcale żadnych świń. — powiedziałem. — Założę się, że połowę ich zjadł, w kilka dni. Wiecie, napchał się! A resztę sprzedał. Odkładał sobie trochę pieniędzy właśnie na taką godzinę.,

16

∴ <∴ '•

— Na jaką godzinę? — spytał jakiś sceptyk. — Jeżeli Proška tu nie ma, to gdzie jest?

— Jeśli był na dworze całą noc — powiedział inny — to zamarzał na śmierć.

— Jest na Florydzie — powiedziałem. — Przeszedł na emeryturę. — Stwierdziłem to tak, po prostu, jakby to był fakt.

— Popatrzcie dookoła! — krzyczałem. — Na co on wydawał te swoje pieniądze? Uskładał sobie niezłą sumkę. Podpalił własny dom — powiedziałem — tylko po to, żeby nam *zależć za skórę*. Pomyślcie, ile razy my załaziliśmy mu za skórę — mówiłem. I wiedziałem, że wszyscy o tym myślą. To przynajmniej była prawda. Odrobina prawdy nigdy nie szkodziła opowiadaniu. — No i — powiedziałem — odpłacił

się nam. To jasne jak słońce. Przetrzymał nas tu na mrozie całą noc.

To kazało nam, dzieciakom z Front Street, zastanowić się i w tej chwili zastanowienia zacząłem proces wprowadzania poprawek; chciałem, żeby opowiadanie było lepsze, bardziej wiarygodne. Koniecznie trzeba było uratować Proška Ryjta, to oczywiste, ale co na Florydzie miałby robić człowiek, który nie potrafi mówić? Tam chyba mieli jeszcze ostrzejsze przepisy dotyczące użytkowania nieruchomości niż my w New Hampshire, szczególnie jeśli chodzi o świnie.

— Wiecie — powiedziałem — założę się, że on potrafił mówić — zawsze. Chyba pochodził z Europy — zdecydowałem.

— Bo co to za nazwisko — Ryjt? A po raz pierwszy pokazał się tutaj gdzieś koło wojny, no nie? I wszystko jedno, jaki tam jest jego język ojczysty, założę się, że całkiem dobrze się nim posługuje. Po prostu nigdy nie nauczył się naszego. Świński był jakoś łatwiejszy. Może bardziej przyjazny — dodałem, myśląc o nas. — A teraz oszczędził dość pieniędzy, żeby wrócić do kraju. Jest tam na pewno! — powiedziałem. — Nie na Florydzie — wrócił do Europy!

— To ci Prosie! — ktoś zawołał.

— Pilnuj się, Europa - ktoś powiedział żartem.

¹ — Ratując Proška

Q\Q)



17

Przestrzeń wewnętrzna

George Ronkers był młodym urologiem z miasteczka uniwersyteckiego; w dzisiejszych czasach, gdy nieświadoma swoboda młodej i starszej społeczności uniwersyteckiej produkuje cuda wenerycznej różnorodności to lukratywna posada. Urolog ma sporo pracy. Ronkers miał zdrobniałe przezwisko nadane mu przez ciżbę jego klientów z Przychodni Studenckiej. Mówili „Rasowy Ronk”. A żona nazywała go czule „Ras”.

Na imię miała Kit; odznaczała się dużym poczuciem humoru, gdy chodziło o jego pracę i wyobraźnię, gdy chodziło o pomieszczenia. Była magistrantką na Wydziale Architektury; pracowała jako asystentka-stażystka i dla studentów niższych lat architektury prowadziła kurs pod nazwą „Przestrzeń wewnętrzna.”

Taka była jej specjalizacja, naprawdę. Była w całości odpowiedzialna za wszystkie przestrzenie wewnętrzne w domu Ronkersów. Wyburzyła ściany, wpuściła wanny w podłogę, sklepiła łuki nad drzwiami, zaokrągliła pokoje, wygięła w owal okna; krótko mówiąc, traktowała przestrzeń wewnętrzną jak iluzję. — Trik polega na tym — mawiała — żeby nie pozwolić ludziom zorientować się, gdzie jeden pokój się kończy, a drugi zaczyna; pojęcie pokoju jest wrogiem pojęcia przestrzeni; nie można znaleźć granicy... — I tak dalej; to była jej specjalność.

George Ronkers chodził po swoim domu jak po parku w dalekim, lecz interesującym mieście. Teorie przestrzeni nie wzruszały go ani trochę. — Widziałem dziś dziewczynę

z siedemdziesięcioma pięcioma brodawkami — powiada. — Absolutnie pewny zabieg chirurgiczny. Nie wiem, po co przyszła do mnie. Właściwie powinna była najpierw odwiedzić ginekologa.

Jedyną częścią ich działki, którą Ronkers uważał za swoją domenę, był wielki, piękny orzechowiec koło domu. Kit pierwsza zobaczyła dom: należał do starego Austriaka o nazwisku Kesler, którego żona właśnie zmarła. Kit powiedziała Ronkersowi, że wewnątrz domu dałoby się wyremontować, ponieważ przynajmniej sufity były dość wysokie. Ale Ronkera zachwyciło przede wszystkim drzewo. Był to czarny orzech o podwójnym pniu wyrastającym z ziemi jako dwa drzewa, które tworzyły wysokie, smukłe V. Właściwy czarny orzech jest wysoki, pełen gracji i strzelistego stylu — gałęzie i liście zaczynają się gdzieś na poziomie drugiego piętra; liście małe, wąskie i ciasno zebrane; są delikatnie zielone, a w październiku przybierają żółtą barwę. Orzechy rosną w twardej, gumowatej, bladozielonej skórze; jesienią dochodzą do rozmiarów brzoskwiń, skóry zaczynają ciemnieć — miejscami robią się nawet czarne — i wtedy zaczynają spadać. Wiewiórki je lubią.

Kit dość się to drzewo podobało, ale popadała w ekstazę, gdy tłumaczyła starymu Herr Keslerowi, co zrobi z jego domem, kiedy on już się wyprowadzi. Kesler tylko patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, od czasu do czasu pytając: — Którą ścianę? Tę ścianę? Pani ta ściana chce mieć zburzona? O, i ta druga ściana też? Nooo, taak... a co będzie trzymało sufit do góry? Noooo...

A Ronkers powiedział Keslerowi, jak bardzo podobał mu się czarny orzechowiec. I wtedy właśnie

Kesler ostrzegł go przed sąsiadem.

— *Der Bardlong* — powiedział. — On chce drzewo ścięte, ale jego ja nigdy nie słucham. — George Ronkers starał się przycisnąć starego Keslera, by wyjaśnił motywy jego przyszłego sąsiada Bardlonga, ale Austriak nagle zadudnił w ścianę, uderzając całą dłonią i krzycząc do Kit. — Nie jeszcze tej ściany, mam nadzieję. Zawsze lubiłem mieć tę ścianę!

20

21

No cóż, musieli wykazać się pewną delikatnością. Żadnych głośno wyrażanych planów, póki Kesler się nie wyprowadzi. Przenosił się do mieszkania na innym przedmieściu; z tego powodu się wystroił — ubrany jak chłop z Tyrolu, w swoim filcowym alpejskim kapeluszu z piórkiem, błyskający spod skórzanych krótkich spodni starymi, białymi kolanami; stał na lekkim wiosennym deszczu przy starych drewnianych kufrach, a George i Kit wynosili jego meble i ustawiali je dookoła.

— Czy nie zechciałby się pan schronić przed deszczem, panie Kesler? — spytała Kit, ale on nawet nie drgnął, stojąc na chodniku przed swym dawnym domem, póki wszystkie jego meble nie zostały załadowane na ciężarówkę. Przyglądał się czarnemu orzechowcowi.

Herr Kesler bez żenady położył rękę na tyłku Kit i powiedział — Nie pozwól ten wesz Bardlong ściąć drzewo do ziemi, okay?

— Okay — obiecała Kit.

W wiosenne poranki George Ronkers lubił leżeć w łóżku i patrzeć, jak słońce prześwieca przez nowe, zielone listki jego czarnego orzechowca. Wzory, jakie na łóżko rzucał cień drzewa układały się prawie w mozaikę. Kit powiększyła okno, aby objąć więcej drzewa; w jej terminologii było to „zaproszenie drzewa do domu”.

— Och, Ras — szeptała — czyż nie jest pięknie?

— To piękne drzewo.

— Ale mnie chodzi o pokój. No i oczywiście okno, i podest do spania...

— Podest? Myślałem, że to łóżko.

Jedna wiewiórka czasami schodziła po gałęzi zwieszającej się w pobliżu okna — często aż ocierała się ogonem o szybę. Lubiła szczytać zielone orzechy, jakby już czekała na jesień.

— Ras...?

— Hmm?

— Pamiętasz tę dziewczynę z siedemdziesięcioma pięcioma brodawkami?

— Czy ją pamiętam?

— No, Ras... a gdzie były te brodawki?

...a ten wesz Bardlong nie sprawiał im kłopotu. Przez całą wiosnę i gorące lato, kiedy robotnicy usuwali ściany i rzeźbili okna, wyniosli pan i pani Bardlong uśmiechali się patrząc na to zamieszanie. Przystawali na swych idealnie utrzymanych trawnikach, machali z oddali swych tarasów, pojawiali się nagle zza drabinek do kwiatów — ale zawsze w roli dobrych sąsiadów, dopingujących młodzieńczy wysiłek i nie wścibiających w nic nosa.

Bardlong był na emeryturze. To był ten Bardlong, jeśli w ogóle coś wiecie o tym magnacie od amortyzatorów i systemów hamulcowych. Na Środkowym Zachodzie mogliście nawet widzieć jego wielkie ciężarówki.

BARDLONG OSADZI CIĘ W MIEJSCU! BARDLONG PRZYJMIE TEN WSTRZĄS!

Nawet na emeryturze Bardlong przyjmował każdy wstrząs, na jaki jego nowi sąsiedzi i ich remonty mogłyby go narazić. Sam miał starą willę z czerwonej cegły ozdobioną ciemnozielonymi okiennicami i porośniętą bluszczem. Naśladowała jeden ze stylów architektury późnokolonialnej, z prostokątną fasadą i symetrycznie osadzonymi, wąskimi a wysokimi oknami. Posiadłość miała dużą powierzchnię: rozciągała się rozgałęziając na tarasy, drabinki do kwiatów, ogródek skalny, wymuskane żywopłoty, wypieszczone kwietniki i trawnik równy jak pole do golfa.

22

23

Dom zajmował cały narożnik ocienionej drzewami podmiejskiej ulicy. Jego jedynym sąsiadem był dom Ronkersów, a posiadłość Bardlongów odgradzał od George'a i Kit niski murek z płaskich kamieni. Z okna na piętrze George i Kit mogli spoglądać na idealnie utrzymane otoczenie domu Bardlongów — ich własny trójkąt krzaków i nieuczesana, zmierzwiona trawa wyrastała pełnych pięć stóp ponad tamą, która chroniła Bardlonga przez zalaniem jego i jego wygrabionych i przyciętych posiadłości przez cały ten ich bałagan.

Same domy były ustawione dziwnie blisko siebie, bo dom Ronkersów był kiedyś, na długo zanim posiadłość podzielono na mniejsze działki, domem dla służby Bardlongów.

Pomiędzy nimi, zakorzeniony na pagórku po stronie Ronkersów, stał czarny orzechowiec. Ronkers zachodził w głowę, co mogło podsunąć staremu Herr Keslerowi myśl, że Bardlong chciał zlikwidować drzewo. Chyba chodziło tylko o trudności językowe. Drzewo z pewnością stanowiło wspólną radość dla nich i Bardlonga. Jego okno też ocieniało, a wyniosła korona górowała nad jego dachem. Jedno ramię V rozciągało się nad Georgem i Kit, a drugie nachylało się nad Bardlongiem.

Czy temu człowiekowi obojętne było nie strzyżone piękno?

Może, ale przez całe lato Bardlong ani o tym nie wspomniał. Chodził sobie po swojej trawie w wypłowiałym słomkowym kapeluszu, uprawiał ogród, coś tam dłużał, i to często w towarzystwie żony. Tych dwoje wyglądało bardziej na gości w eleganckim starym hotelu w jakimś kurorcie niż na mieszkańców swojego domu. Ich stroje do pracy były absurdalnie wyszukane — tak jakby po tych wszystkich latach w systemach hamulcowych Bardlong nie miał w szafie nic poza eleganckimi garniturami. Nosił odrobinę już niemodne spodnie od garnituru na szelkach i odrobinę niemodne koszule pod krawat, a słomkowy kapelusz z szerokim rondem ocieniał jego bladą, piegowaną twarz. Obrazu dopełniały nadmiernie sportowe w wyglądzie, dwubarwne półbuty.

Jego żona, w sukni na przyjęcie w ogrodzie i z białą panamą na włosach związanych czerwoną jedwabną wstążeczką w stalowoszary kok, postukiwała laseczką w cegły tarasu, by sprawdzić, czy aby przypadkiem nie miały ochoty się poluzować. Bardlong szedł za nią z kielnią w rękę, ciągnąc za sobą wyglądający na zabawkę wózek z cementem.

Popołudniami spożywali lunch pod wielkim parasolem na tarasie z tyłu domu, gdzie błyszczące białością metalowe krzesła i stoliki przypominały epokę śniadań myśliwskich i późnych posiłków po weselu córki. Jedynie wizyty dorosłych dzieci i mniej dorosłych wnuków zdawały się zakłócać lato Bardlongów. Trzy dni szczekania psa i piłek rzucanych po symetrycznym jak stół bilardowy ogrodzie wytrącały Bardlongów z równowagi na cały tydzień. Z niepokojem chodzili po ogrodzie, krok w krok za dziećmi, starając się wyprostować złamane łodygi kwiatów, nakłuwając szpikulcem ohydztwo gumy do żucia przyklejonej do urządzeń ogrodowych, wklepując na powrót grudki darni wykopane przez szalejącego po ogrodzie psa, który przerywał miękką trawę hamując łapami jak rozpędzony futbolista.

Przez cały tydzień po tej rodzinnej inwazji Bardlongowie spoczywali wyczerpani na tarasie pod wielkim parasolem, zbyt zmęczeni, by stuknąć w choćby jedną cegłę lub upiąć na swoim miejscu choćby najmniejszy pęd bluszczu, szarpnięty przez przebiegające dziecko.

— Zobacz, Ras — szepnęła Kit — Bardlong przyjmuje ten wstrząs!

— Bardlong osadzi cię w miejscu! — czytał Ronkers na burtach ciężarówek w całym miasteczku. Ale nigdy żaden z tych topornych pojazdów nawet nie zbliżył się do świeżo malowanego krawężnika przed domem Bardlongów. Bardlong rzeczywiście był na emeryturze. A Ronkersowie nie mogli sobie w żaden sposób wyobrazić, by ten człowiek mógł kiedyś żyć w inny sposób.

24

25

Ronkersowie nie mogli sobie wyobrazić, że nawet wtedy, gdy jego chlebem powszednim były systemy hamulcowe i amortyzatory, kiedykolwiek pobrudził sobie tym ręce.

George miał nawet perwersyjnie wyolbrzymioną wizję. Powiedział Kit, że widział, jak wielka ciężarówka „Bardlong osadzi cię w miejscu!” wypływała całą swoją zawartość na trawnik Bardlongów; ciężarówka z otwartymi na oścież tylnymi drzwiami, drąca kołami trawnik i rzygająca brzęczącymi częściami, i tarcze hamulcowe, klocki, wielkie kałuże oleistego płynu hamulcowego i gumowe sprężynujące amortyzatory rozgniatające kwietniki.

— Ras? — szepnęła Kit.

— Ta...?

— Czy te brodawki rzeczywiście były w pochwie?

— Wewnątrz, na zewnątrz, dookoła...

— Siedemdziesiąt pięć! Och Ras, nie mogę sobie tego wyobrazić.

Leżeli na łóżku przysypanym cętkami wrześnieego słońca, które wczesnym rankiem z trudem przebijało się przez gęstą czuprynę liści rozpostartych nad ich oknem przez czarny orzechowiec.

— Wiesz, dlaczego tak bardzo lubię tu leżeć? — Ronkers spytał żony. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

— Nie, no powiedz...

— Przez to drzewo. — powiedział. — Chyba moje pierwsze doświadczenia seksualne zdobyłem w domku na drzewie, a tu jest podobnie jak tam.

— Ty i to twoje pieprzone drzewo — powiedziała Kit. — Mógłbyś choć powiedzieć, że lubisz je dzięki

mojej architekturze. Albo nawet mnie — powiedziała. — A to w ogóle jakaś bajka — nie mogę sobie wyobrazić ciebie, jak robisz to w domku na drzewie. Czy nie opowiedział ci jej któryś z tych twoich starych świntuchów, którzy do ciebie przychodzą...?

— Nie, to był jeden z tych młodych świntuchów.

— Ras, jesteś okropny. O Jezu, siedemdziesiąt pięć brodawek...

— Całkiem niezła operacja jak na takie miejsce.

— A mówiłeś, że Tomlinson to robił.

— Tak, ale ja asystowałem.

— Przecież normalnie tego nie robisz, prawda?

— No nie, ale to nie było normalne.

— Jesteś naprawdę okropny, Ras...

— Zainteresowanie czysto medyczne, zawodowa chęć zdobycia wiedzy. Stosuje się dużo oleju skalnego i dwudziestopięć-procentowej żywicy podofilinowej. Kauteryzacja jest delikatna...

— Chrzani...

Ale lato szybko się kończy i wraz z powrotem studentów do miasteczka Ronkersowi przybyło zbyt dużo zajęć, by rankami wylegiwać się w łóżku. Przywieźli nieprzeliczone zastępy zakażeń przewodu moczowego zdobyte na wszystkich krańcach świata, takie drobne dodatkowe świadczenia w ruchu turystycznym, chyba największy niekontrolowany import w okresie wakacyjnym.

Co rano czekała na niego kolejka studentów; wycieczki już się skończyły, a problemy z siusianiem stawały się coraz dokuczliwsze.

— Chyba złapałem to w Izmirze, panie doktorze.

— Chodzi o to, gdzie to się podziewało od tamtej chwili.

— Kłopot polega na tym — mówił do Kit — że już od pierwszej oznaki doskonale wiedzą, co złapali — i, zwykle, od kogo. Ale prawie wszyscy czekają jakiś czas, aby to samo zniknęło — i, niech to jasny... przekazują to dalej — a do mnie przychodzą, kiedy już nie mogą wytrzymać.

Ronkers bardzo przyjaźnie traktował swych wenerycznych pacjentów i nie mówił im, że tkwią po uszy w grzechach, czy że spotkała ich zasłużona kara; mówił im, że nie powinni mieć poczucia winy, bo od kogoś tam się zarazili. Tylko bardzo twardo nalegał, by informowali o swoim stanie tę swoją pierwszą dobrodziejkę, o ile ją znali. — Ona może nie wiedzieć — mówił.

— Już się nie kontaktujemy. — mówili.

A Ronkers atakował: — No to co? I tak będzie dalej przekazywała to komuś innemu, kto z kolei...

26

27

— I dobrze im tak! — pokrzykiwali.

— Nie, poczekaj — Ronkers zmieniał głos na proszący. — Dla niej to o wiele poważniejsza sprawa.

— To niech pan jej to powie — odpowiadali. — Dam panu jej numer telefonu.

— Ale Ras — wściekała się Kit — czemu nie zmusisz ich, żeby oni to zrobili?

— Jak? — pytał Ronkers.

— Powiedz, że im nie pomożesz. Że z bólu będą sikać po drzewach.

— To pójda do kogoś innego — odpowiadał Ronkers. — Albo po prostu powiedzą, że już ją poinformowali — a nie poinformowali i wcale nie mają takiego zamiaru.

— To absurd, żebyś ty wydzwaniał do co drugiej kobiety w tym cholernym mieście.

— Nie lubię tylko tych rozmów zamiejscowych. — mówił.

— To niech oni przynajmniej płacą za te telefony.

— Niektórzy z nich nie mają pieniędzy.

— To powiedz im, że zadzwonisz do rodziców, żeby zapłacili!

— Mogę to odliczyć od podatków. A poza tym, to nie są tylko studenci.

— To okropne, Ras. To po prostu straszne.

— O ile jeszcze podwyższysz tę cholerną estradę do spania?

— Rasku, chcę, żebyś się trochę wysilił, zanim dostaniesz.

— Wiem, ale drabina? Mój Boże...

— Przecież jest na poziomie twojego ulubionego drzewka, czyż nie? I mówili mi, że to lubisz. A w ogóle, kto chce mnie dostać, musi być wysportowany.

— Mogę się uszkodzić próbując.

— Ras! Do kogo teraz dzwonicz?

— Halo — powiedział do telefonu. — Halo, czy to panna Wentworth?, O, pani Wentworth, hmmm.... Czy mógłbym jednak porozmawiać z pani córką? A, nie ma pani córki? Aha. No to, w takim razie, chciałbym z

panią porozmawiać, pani Wentworth...

— Ras, jesteś niemożliwy.

— Tak, mówi dr Ronkers. Jestem urologiem w Szpitalu Uniwersyteckim. Tak, George Ronkers. Doktor George Ronkers. To... miło mi. Tak, George. A, Sara. No to, Saro...

Wraz z końcem lata przyszedł koniec przekształceń przestrzeni wewnętrznej u Ronkersów. Kit skończyła z ciesielką, a zajęła się uczeniem i studiami. Kiedy robotnicy opuścili dom, narzędzia odjechały, a rozebrane ściany nie zalegały w stosach na podwórku Ronkersów, dla Bardlonga musiało się stać jasne, że przebudowa — przynajmniej na ten rok — skończyła się.

A orzech dalej stał na swoim miejscu. Może Bardlong miał nadzieję, że w trakcie letniego remontu drzewo również zniknie, żeby zrobić miejsce jakiejś przybudówce. Nie mógł przecież wiedzieć, że Ronkersowie przebudowywali dom w celu „zaproszenia drzewa do środka”.

Wraz z nadciągającą jesienią powód kłótni Bardlonga z drzewem stał się jasny. Stary Herr Kesler jednak się nie mylił. George i Kit uświadomili sobie to pierwszej zimnej, wietrznej nocy, którą przyniosła jesień. Leżeli na swej estradzie do spania, drzewo szumiało i żółknące liście sypały się wokoło, kiedy usłyszeli dźwięk, jakby na ich dach spadła twarda kula od kręgli i z hukiem zaczęła się staczać, by zdobyć punkt więznąc w rynnie.

— Ras?

— To ten cholerny orzech! — powiedział Ronkers.

— Dudniło, jakby to cegła wypadła z komina — powiedziała Kit.

I przez całą noc zrywali się na równe nogi za każdym razem, kiedy wiatr strącił jakiś orzech, albo udał się atak wiewiórki i orzech spadał z głośnym lump, i toczył się dum-dum-dum-dum--dum-dum-deng do brzęczącej rynny.

— Wiewiórka też z nim spadła — powiedział Ronkers.

— Przynajmniej nie można ich wziąć za włamywacza. To taki wyraźny hałas.

28

29

— Jakby włamywacz rozrzucił narzędzia — powiedział Ronkers.

Lump! Dum-dum-dum-dum-dum-dum-deng!

— Jak włamywacz zestrzelony z dachu — jęknęła Kit.

— Na pewno przyzwyczajamy się do tego — powiedział Ronkers.

— Tak, Ras, ale zdaje mi się, że Bardlongowi to przyzwyczajanie ciężko przychodzi...

Rano Ronkers spostrzegł, że dom Bardlongów miał dach kryty płytkami, z o wiele ostrzejszym spadem niż ich. Próbował sobie wyobrazić, jaki dźwięk wydają orzechy toczące się po dachu Bardlonga.

— Ale w domu z pewnością znajduje się jakiś strych — powiedziała Kit — dźwięk jest na pewno mocno wytłumiony. — Ronkers nie mógł sobie wyobrazić, jak można by dźwięk wydawany przez orzech uderzający w płytki z łupka określić przymiotnikiem „wytłumiony”.

W połowie października orzechy leciały już z niepokojącą regularnością. Ronkers rozmyślał o pierwszej gwałtownej listopadowej wichurze jak o nadchodzącym *blitzkriegu*. Kit wyszła zgrabić na gromadkę opadłe orzechy. Słyszała, jak jeden odrywa się nad jej głową i z gwałtownym szelestem przelatuje przez gęste liście. Zdecydowała nie spoglądać w górę — już widziała ten brzydki siniak między oczami i tył głowy wbity w ziemię. Zgięła się wpół i przykryła głowę dłońmi. Orzech o mały włos minął jej bezbronne plecy i walnął ją w nerkę. Łup!

— To boli, Ras — powiedziała.

Rozpromieniony Bardlong stał pod niebezpiecznym drzewem i przyglądał się, jak Ronkers pociesza żonę. Kit wcześniej nie widziała go w tym miejscu. Miał na głowie tyrolski kapelusz z wyleniałym piórkiem, który wyglądał na odrzut z garderoby Herr Keslera.

— Kesler mi go dał — powiedział Bardlong. — Ja prosiłem o hełm. — Stał wyzywająco na swoim podwórku, trzymając grabie jak wielką pałkę i czekając, by drzewo podrzuciło mu

orzech. Wybrał idealny moment, by zagaić rozmowę: obolała Kit, z nieobeschłymi jeszcze łzami, stała obok.

5, — Słyszeliście kiedyś, jak toto tłucze o dach z łupka? — spytał Bardlong. — Jak następnym razem cała kiść będzie gotowa, to was zawołam. Gdzieś tak koło trzeciej nad ranem.

— To jest problem — zgodził się Ronkers.

— Ale drzewo jest śliczne — odparła w obronie Kit.

— To, oczywiście, wasz problem — powiedział radośnie i jakby mimochodem Bardlong. — Jeśli w tym roku będę miał ten sam problem z rynnami, jaki miałem zeszłej jesieni, to może będę musiał prosić was, żebyście usunęli tę część waszego drzewa, która wychodzi nad naszą posiadłość, a co zrobicie z resztą, to

już wasza sprawa.

— Jakie kłopoty z rynnami? — spytał Ronkers.

— Na pewno macie takie same problemy z waszymi...

— Ale o co chodzi? — spytała Kit.

— Zapychają się tymi cholernymi orzechami — powiedział Bardlong. — Deszcz sobie pada i pada, a rynny nie działają, bo są zapchane orzechami i woda leje się po ścianach domu; okna przeciekają i w piwnicy pełno wody. Tylko tyle.

— Mhm.

— Kesler kupił mi szmatę do zbierania wody. Ale to przecież tylko biedny stary cudzoziemiec — powiedział uspokajająco Bardlong — i komu by się chciało ciągać go po sądach. Wiadomo przecież.

— Aha — powiedziała Kit. Nie lubiła Bardlonga. Ta beztraska lekkość jego tonu wydawała się tak nie przystawać do sensu tego, co mówił, jak handlowanie amortyzatorami nie przystawało do delikatnych, koronkowych drabinek dla kwiatów w jego ogrodzie.

— No, ale co mi szkodzi zgrażyć parę orzechów — powiedział uśmiechając się Bardlong — albo budzić się parę razy w nocy, kiedy się wydaje, że bociany nurkując rozbijają się o mój dach. — Przerwał, spociwszy się pod starym kapeluszem Keslera. — Albo nawet nosić ochronne nakrycie

30

31

głowy — dodał kłaniając się kapeluszem w kierunku Kit, która spoglądała na tę lekko piegowatą półkulę przed sobą, modląc się o jednoznaczny dźwięk rozrywanych nad głową liści. Ale Bardlong nałożył kapelusz z powrotem. Zaczął spadać jakiś orzech. Kit i George przykucnęli, zasłaniając głowy rękami; Bardlongowi nawet muskuł nie drgnął. Orzech uderzył ze znaczną siłą w kamienny murek odgradzający ich od siebie, pękając z teatralnym *kek!* Był twardy i wielki jak piłeczka do baseballa.

— Jesienią to naprawdę ekscytujące drzewo — powiedział Bardlong. — Oczywiście, o tej porze roku moja żona za nic do niego nie podejdzie, można by powiedzieć, że jest jakby więźniem własnego podwórka. — Roześmiał się; w ustach błysnęło mu kilka złotych plomb, owoc kwitnącego handlu systemami hamulcowymi. — Ale nic nie szkodzi. Przecież piękno nie ma ceny, a to przecież piękne drzewo. Chociaż zalanie — powiedział, i ton mu się nagle zmienił — to prawdziwa szkoda.

Bardlongowi udało się sprawić, pomyślał Ronkers, że słowo „prawdziwa” zabrzmiało jak kategoria prawnicza.

— A jeśli już będziecie musieli wydawać pieniądze, żeby ściąć połowę tego drzewa, pomyślcie, czy nie lepiej od razu wyciąć całe. Jak wasza piwnica napelni się wodą, to żarty się skończą. — Bardlong wymówił słowo „żarty” jakby było obsceniczne; ponadto ton Bardlonga nasuwał podejrzenia, że tak naprawdę, to uznanie czegokolwiek za śmieszne nie ma nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Kit: — No, Ras, mógłbyś po prostu wejść na dach i wymieść te orzechy z rynny.

— Ja, oczywiście, jestem już na to za stary — westchnął Bardlong, jakby wyłączenie na dach było jego jedynym marzeniem.

— Mógłbyś nawet wymiatać je z rynny pana Bardlonga, prawda? Powiedzmy mniej więcej raz w tygodniu, tylko o tej porze roku?

Ronkers spojrzał na wyniosły dach Bardlonga, jego gładką, łupkową powierzchnię i ostry spad. Przed oczami przeleciały

32

mu nagłówki prasowe: LEKARZ SPADA Z CZWARTEGO PIĘTRA. UROLOG WYPUNKTOWANY PRZEZ ORZESZEK. KARIERA PRZERWANA PRZEZ ŚMIERCIONOŚNE DRZEWO.

Nie, Ronkers zrozumiał, o co tu chodzi: trzeba myśleć o większej wiktorii; teraz mógł odnieść tylko połowiczne zwycięstwo. Bardlong był krętaczem, ale był też z pewnością

i człowiekiem zdecydowanym.

! — Czy mógłby pan polecić jakiegoś chirurga od drzew? —

i spytał Ronkers.

i — Ras, co ty? — powiedziała Kit.

— Przetniemy drzewo na pół — powiedział Ronkers, zdecydowanymi krokami zmierzając w kierunku pękniętego pnia, kopiąc na boki szrapnele spadłych orzechów.

— Chyba gdzieś tutaj — powiedział pospiesznie Bardlong, wskazując z pewnością od dawna już upatrzone, odpowiednie

l miejsce. — Oczywiście, najwięcej będzie kosztować — dodał,

' na powrót zabarwiając głos tą amortyzatorową powagą —

i prawidłowe podwiązanie zwisających gałęzi tak, żeby nie spadły

mi na dach (Mam nadzieję, że przeleca ci przez ten dach na wylot — pomyślała Kit). Z drugiej strony, gdyby ścięło się całe drzewo — mówił dalej Bardlong — pozwalając mu paść wzdłuż linii muru, oszczędziłby pan czas i własne pieniądze. Jak pan widzi, zmieści się i nawet nie wyjdzie na ulicę... Nad nimi rozpościerało się drzewo, najwidoczniej w kalkulacjach Bardlonga już dawno pomierzone. Pacjent w stanie agonalnym — pomyślał Ronkers

— może już od urodzenia.

— Panie Bardlong, wolałbym zachować tę część drzewa, która nie szkodzi pana posiadłości — powiedział Ronkers. Dbął o swoją godność; można by to określić jako postawę „chłodną”. Bardlong uszanował ton zdecydowania w jego głosie.

— Mógłbym to za pana załatwić — powiedział Bardlong.

— Znaczący, znam dobrą ekipę od drzew. — Z jakiegoś powodu „ekipa” załatywała armią mężczyzn jeżdżących po mieście ciężarówkami Bardlonga. — Wyszłoby panu trochę taniej —

33

3 — Ralując Prośka

dodał tym swoim irytującym, poufałym tonem — gdyby pozwolił mi pan to załatwić...

Kit miała właśnie coś powiedzieć, kiedy odezwał się Ronkers. — Byłbym bardzo wdzięczny, panie Bardlong. A my będziemy musieli jakoś poradzić sobie z naszymi rynnami.

— To nowe okna — powiedziała Kit. — Nie będą przeciekać. A komu przeszkadza trochę wody w piwnicy? Boże, przecież nie mnie. I powiem panu jeszcze...

Ronkers starał się naśladować ten pełen cierpliwości i absolutnie wkurzający uśmiech Bardlonga. Był to uśmiech typu: „Ja też toleruję zachowania mojej żony”. Kit tęskniła do wielkiego oberwania wśród liści orzechowca, gradu bijącego w nich wszystkich i równie bolesnego, jak poczucie winy, które nią owładnęło.

— Ras — powiedziała później — co będzie, jak biedny, stary pan Kesler to zobaczy? A wiesz, że zobaczy. Od czasu do czasu przychodzi, by przejść się koło naszego domu. Co mu powiesz, gdy spyta dlaczego przehandlowałeś jego drzewo za trzydzieści srebrników?

— Nic nie przehandlowałem! — odpowiedział Ronkers. — Raczej uratowałem co się dało, pozwalając ściąć połowę Bardlonga. Według prawa nie było żadnego sposobu, aby go powstrzymać. Przecież była tam i słyszałaś.

— Ale co z biednym panem Keslerem? — zapytała Kit. — Obiecaliśmy.

— Przecież drzewo będzie stało nadal.

— Połowa drzewa...

— To lepsze niż nic.

— Ale co on sobie o nas pomyśli? — spytała Kit. — Pomyśli, że zgadzamy się z Bardlongiem, że ten orzech to prawdziwa udręka. Pomyśli, że to tylko kwestia czasu, zanim zetniemy resztę.

— Tylko że to faktycznie udręka, Kit.

— Chciałam tylko wiedzieć, co powiesz panu Keslerowi.

— Nic nie będę musiał mu mówić — odparł Ronkers. — Kesler jest w szpitalu.

34

Wydawała się być tym absolutnie zaskoczona; stary Kesler zawsze robił na niej wrażenie człowieka pełnego swego rodzaju chłopskiej żywotności. Przecież ci ludzie żyją wiecznie, czyż nie?

— Ras? — spytała, ale już z mniejszą pewnością siebie. — Ale on przecież kiedyś wyjdzie ze szpitala, prawda? I co mu powiesz, jak przyjdzie tutaj zobaczyć się ze swoim drzewem?

— Nie wyjdzie — poinformowała ją Ronkers.

— Och, nie! Ras!

Zadzwoił telefon. Zwykle pozwalał Kit podnieść słuchawkę; mógł w ten sposób uniknąć rozmów, które nie były pilne. Ale Kit miała przed oczami obraz starego Keslera w wytartych skórzanych szortach na chudych, nieowłosionych nogach.

— Halo — powiedział Ronkers do słuchawki.

— Doktor Ronkers?

— Tak — odparł.

— Mówi Margaret Brant — Ronkers próbował szybko skojarzyć to nazwisko. Głos młodej dziewczyny?

— Mhy...

— Zostawił pan wiadomość w akademiku, żebym zadzwoniła pod ten numer — powiedziała Margaret. I wtedy Ronkers przypomniał sobie: przeglądał listę kobiet, do których musiał w tym tygodniu zadzwonić. Nazwiska widniały obok nazwisk współników zabawy.

— Panna Brant? — zapytał. Kit mówiła do niego bezgłośnie:

— Dlaczego stary pan Kesler nigdy nie wyjdzie ze szpitala? — Panno Brant, czy zna pani młodego

człowieka o nazwisku Harlan Booth?

Teraz panna Brant jakby na chwilę straciła głos, a Kit zapytała gardłowym szeptem — Co? Co mu jest?

— Rak — szepnął w odpowiedzi.

— Tak. Słucham? — powiedziała Margaret. — Tak, znam Harlana Bootha. Ale, proszę, o co chodzi?

— Leczę Harlana Bootha na rzeźączkę, panno Brant — oznajmił Ronkers. W telefonie nie było reakcji. — Tryper? — powiedział — Rzeźączka? Harlan Booth złapał trypra.

35

— Wiem, o czym pan mówi — odrzekła dziewczyna. Głos jej stwardniał; stała się podejrzliwa. Kit odwróciła się od niego tak, że nie widział jej twarzy.

— Jeśli ma pani tu w mieście swojego ginekologa, wydaje mi się, że powinna go pani odwiedzić, panno Brant. Mogłbym polecić doktor Caroline Gilmore; ma swój gabinet w Szpitalu Uniwersyteckim. Albo mogłaby pani odwiedzić mój gabinet...

— Chwileczkę, z kim ja rozmawiam? — spytała Margaret Brant. — Skąd mam wiedzieć, że jest pan lekarzem? Ktoś po prostu zostawił jakiś numer z informacją, że mam oddzwonić. Nigdy nie miałam nic wspólnego z tym Marianem Boothem. Co to za świński żart?

— Możliwe — pomyślał Ronkers. Harlan Booth to próżny, krnąbrny dzieciak, który zapytany, kogo jeszcze mógł *zarazić*, z wielką pogardą udawał brak zainteresowania tematem. — Mogło być wiele osób — powiedział z dumą. I Ronkers musiał go przycisnąć, żeby wydobyć choć jedno nazwisko: Margaret Brant. Może to jakaś dziewczina, której Harlan nie lubił?

— Jak odłożę słuchawkę, może pani zadzwonić do mnie pod mój numer domowy — powiedział. — Jest w książce telefonicznej: doktor George Ronkers... i może pani sprawdzić, czy to ten sam numer, który pani dostała. Lub mogę panią po prostu przeprosić za popełniony błąd; mogę zadzwonić do Harlana Bootha i powiedzieć mu, żeby się wypchał. A pani — Ronkers postawił wszystko na jedną kartę — może sama sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś wydzieliny, szczególnie rano, i czy nie wystąpił jakiś obrzęk. A jeśli stwierdzi pani, że taka możliwość zaistniała, może pani przecież udać się do innego lekarza, a ja nic nie będę o tym wiedział. Ale jeśli coś panią łączyło z Harlanem Boothem, panno Brant, to...
Odwiesiła słuchawkę.

— Rak? — spytała Kit, w dalszym ciągu odwrócona do niego plecami. — Rak czego?

— Płuc — odpowiedział. — Wynik bronchoskopii był pozytywny; nawet nie musieli go otwierać.

Telefon zadzwonił ponownie. I kiedy Ronkers powiedział: — Halo — ktoś odłożył słuchawkę. Ronkers miał pożałowania godny zwyczaj wyobrażania sobie ludzi, z którymi dopiero co rozmawiał przez telefon. Widział Margaret Brant w żeńskim akademiku. Najpierw szuka słownika. Potem, przesuując lampy i lustra, dokładnie się ogląda. Jak „toto” miałyby wyglądać, zastanawia się. No i może jeszcze wycieczka do regału z encyklopediami medycznymi w bibliotece. Albo na koniec rozmowa z przyjaciółką. Krępujący telefon do Harlana Bootha? Nie, tego Ronkers nie mógł sobie jakoś wyobrazić.

Widział, jak Kit oglądała swojego siniaka po orzechu w wieloczęściowym lustrze, zawieszonym obok odwróconego stożka — również zawieszzonego — który stanowił przewód kominowy otwartego kominka w ich sypialni. Pewnego dnia, myślał Ronkers, spadną z tej estrady do spania i wpadną prosto do tego otwartego kominka, i cały poparzony będą krzyczeć i biegać po sypialni, oglądając się pięć razy w tym wieloczęściowym lustrze. Jezu miłosierny!

— Jeden orzech rzeczywiście może nabić sporo siniaków — powiedział Ronkers sennym głosem.

— Proszę, nie dotykaj — powiedziała Kit. Chciała dziś poruszyć inny temat, ale cały jej entuzjazm gdzieś wyparował.

Za ścianą osądzone drzewo — przyszyły amputant — ocierało się o ich okno, jak kot ociera się o nogę swojej pani. W tym wysokim pokoju sposób, w jaki wiatr podbijał okap dachu sprawiał, że sen stawał się bardzo ryzykownym przedsięwzięciem. Wydawało się, że w każdej chwili może unieść dach domu, a oni będą już całkiem odsłonięci. Tak wyglądałaby ostatnia faza zbliżania się do idealnej przestrzeni wewnętrznej.

Krótko po północy Ronkersa wezwano do szpitala, do nagłego przypadku. Leciwa kobieta, której układ moczowy Ronkers zastąpił systemem wężyków i torebek, cierpiała prawdopodobnie na swoją ostatnią w życiu niewydolność. Pięć minut po wyjściu Ronkersa z domu Kit odebrała telefon.

36

37

Dzwoniono ze szpitala z informacją, że kobieta zmarła i nie było potrzeby się spieszyć.

George'a nie było przez dwie godziny; Kit leżała z otwartymi oczami. Miała mu tyle do powiedzenia, że kiedy wrócił, nie mogła się zdecydować od czego *zacząć* i pozwoliła mu usnąć. Chciała jeszcze raz przedyskutować z nim kwestię dzieci: czy i kiedy będą je mieli. Ale noc wydawała się tak pełna śmierci, że optymistyczna wizja dzieci wydała się jej absurdalna. Zaczęła więc myśleć o chłodnej estetyce i

ekonomiczności, charakterystycznych dla jej upodobań w dziedzinie architektury.

George dawno już spał, a ona nie mogła usnąć, słuchając nerwowego łaszenia się drzewa; wyląwała pozabawione jakiegokolwiek planu uderzenia lecących na nich orzechów — wpadających w ich życie równie bez rytmu i taktu jak rak pana Keslera czy potencjalny tryper Margaret Brant.

W poczekalni gabinetu Ronkera, jeszcze przed przyjściem recepcjonistki, czekała na niego najwyżej osiemnastoletnia, drob-nokoścista dziewczyna o jogurtowo-kiełkowej cerze, w wyglądającym na drogi i konserwatywny stalowoszarym kostiumie, który mogłaby nosić jej matka. Kremowa, lekko perfumowana apaszka otaczała jej szyję. Ronkersowi wydała się piękna; wyglądała, jakby właśnie zeszała z jachtu. Ale on, oczywiście, wiedział kto to.

— Margaret Brant? — spytał, wyciągając rękę. Jej oczy były dodatkiem do kostiumu: o dziwnym blasku szarości świtu. Miała idealny nos, szerokie nozdrza, w których, pomyślał Ronkers, nie śmiałyby pojawić się nawet najmniejszy włos.

— Doktor Ronkers?

— Tak. Margaret Brant?

— Oczywiście — westchnęła. Fotelowi do badań w jego gabinecie przyjrzała się z gorzkim strachem.

38

— Bardzo mi przykro, panno Brant, że musiałem do pani zadzwonić, ale Harlan Booth nie jest najbardziej skłonny do współpracy pacjentem, z jakim miałem do czynienia, i pomyślałem, dla pani własnego dobra, że ponieważ on nie chciał do pani zadzwonić, ja powinienem to zrobić. — Dziewczyna kiwnęła głową przygryzając dolną wargę. Mechanicznie zdjęła żakiet i pantofle z angielskiej skóry; przysunęła się do fotela i tych błyszczących ostróg tak, jakby całe to urządzenie było koniem, a ona niezbyt wiedziała, jak ma na niego wsiąść.

— Chce mnie pan obejrzeć? — spytała, odwrócona plecami do Ronkera.

— Proszę się odprężyć — prosił Ronkers. — To nie jest aż tak nieprzyjemne, naprawdę. Czy miała pani jakieś wysięki? Czy zauważyła pani jakieś pieczenie, jakiś obrzęk?

— Nic nie zauważyłam — powiedziała dziewczyna, a Ronkers spostrzegł, że zaraz mu się rozplacze. — To takie niesprawiedliwe! — zawołała znenacka. — Zawsze byłam taka ostrożna... w sprawach seksu — powiedziała — i naprawdę nie pozwalałam Harlanowi na wiele. Och, jak ja nie znoszę Harlana!

— krzyknęła. — Oczywiście, nie wiedziałam, że było z nim coś nie tak, bo nigdy nie pozwoliłabym mu się nawet dotknąć!

— Ale pozwoliła mu pani? — spytał Ronkers. Był całkowicie zdezorientowany.

— ...dotknąć mnie? — upewniła się. — Tak, mnie... tam. I całował mnie, często. Ale nie pozwoliłam mu na nic więcej! — rozplakała się. — A on był przez to taki okropny i prawdopodobnie wiedział, że daje mi to!

— To znaczy, on panią tylko całował? — spytał Ronkers, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

— No, tak. I dotykał mnie — powiedziała, rumieniąc się.

— Włożył mi rękę do spodni — płakała. — A ja mu na to pozwoliłam! — Opadła na jedną z podpórek fotela w kształcie zgiętego kolana; Ronkers podszedł do niej i odprowadził delikatnie do krzesła stojącego przy jego biurku. Szlochała, a jej drobnokościste dłonie zwinęły się w pięstki przy oczach.

39

— Panno Brant — powiedział Ronkers. — Panno Brant, czy chce mi pani powiedzieć, że Harlan Booth dotknął panią tylko ręką? Nie mieliście prawdziwego stosunku seksualnego... Panno Brant? Spojrzała na niego zszokowana. — O Boże, nie! — powiedziała. Zaciśnęła zęby na brzegu dłoni, a roziskrzone oczy utkwiała w Ronkersie.

— Tylko dłonią panią... tam... dotknął? — spytał Ronkers i mówiąc „tam” musnął zagłębienie jej spódnicy od kostiumu.

— Tak — odparła.

Ronkers wziął jej drobną twarz w dłonie i uśmiechnął się do niej. Pocieszenie i dodawanie otuchy ludziom nie wychodziło mu dobrze. Ludzie często błędnie interpretowali jego gesty. Margaret Brant najwidoczniej pomyślała, że zaraz pocałuje ją namiętnie w usta, bo jej oczy nagle się rozszerzyły, kręgosłup zeszywniał, a rozedrgane palce wsunęły się pod jego nadgarstki, próbując go odepchnąć.

— Margaret! — powiedział Ronkers. — Nie ma żadnej możliwości, by miała pani trypra, jeśli to wszystko, co zaszło. Niezbyt często można *zarazić* się chorobą weneryczną przez dotknięcie ręki.

Trzymała go teraz za przeguby, jakby były dla niej nadzwyczaj ważne. — Ale on mnie też całował — powiedziała z niepokojem. — Ustami — dodała, żeby wszystko było jasne.

Ronkers pokręcił głową. Podszedł do biurka i wziął plik broszurek na temat chorób wenerycznych.

Broszurki przypominały prospekty biur podróży; było w nich wiele zdjęć przyjemnie uśmiechających

się ludzi.

— Harlan najwidoczniej chciał, żebym wprawił panią w zażenowanie — powiedział Ronkers.

— Chyba był wściekły, że nie pozwoliła mu pani na... no wie pani.

— A więc nie musi pan mnie nawet obejrzeć? — spytała.

— Nie. — odpowiedział. — Z pewnością nie.

— A wie pan, nikt mnie nigdy jeszcze nie oglądał. — powiedziała mu Margaret Brant. Ronkers nie wiedział, co

40

odpowiedzieć. — To znaczy, czy powinnam dać się obejrzeć? Tak kiedyś? Tylko żeby sprawdzić czy wszystko w porządku?

— No, mogłaby pani poddać się rutynowemu badaniu ginekologicznemu. Mógłbym polecić doktor Caroline Gilmore ze Szpitala Uniwersyteckiego; wiele studentek uważa ją za bardzo miłą osobę.

— Ale pan nie chce mnie obejrzeć? — spytała.

— Yyy, nie. — powiedział Ronkers. — Nie ma potrzeby. A standardowemu badaniu powinna poddać się pani u ginekologa. Ja jestem urologiem.

— Uhm.

Popatrzyła zamyślonymi oczami na fotel do badań i te czekające uchwyty; z wielką gracją wsunęła się w zakiet; z pantoflami miała trochę więcej trudności.

— Oj, Boziu, ależ ten Harlan Booth oberwie — powiedziała nagle z zaskakującą nutą zdecydowania w cienkim, ostrym głosie.

— Harlan już oberwał — powiedział Ronkers, próbując rozładować sytuację. Nagle drobniutka Margaret wydała mu się bardzo niebezpieczną osobą. — Proszę nie zrobić czegoś, czego miałaby pani żałować — zaczął niepewnie. Gładkie, szerokie chrapki dziewczyny rozszerzyły się, a jej oksydowane oczy roztańczyły.

— Dziękuję panu, doktorze Ronkers — powiedziała Margaret Brant z lodowatym spokojem. — Jestem panu bardzo wdzięczna za pański wysiłek i narażanie się na tę żenującą rozmowę. — Podążyła mu ręką na pożegnanie. — Jest pan bardzo odważnym i uczciwym człowiekiem — dodała takim tonem jakby nadawała mu jakieś wysokie odznaczenie wojskowe.

— Oj, Harlan, miej się na baczności — pomyślał. Margaret Brant opuściła gabinet Ronkersa jak kobieta, która została unieruchomiona w uchwytach fotela urologicznego i wyszła z tej próby zwycięsko.

Ronkers zadzwonił do Harlana Bootha. Ani przez głowę mu nie przeszło, żeby go ostrzegać; chciał tym razem prawdziwych nazwisk. Harlan tak długo zwlekał z podniesieniem słuchawki, że

41

Ronkers zdążył się dobrze naładować, zanim Booth wymamrotał swoje zaspane „halo”.

— Booth, ty zakłamanym skurczybyku — zaczął Ronkers.

— Dawaj mi tu prawdziwe nazwiska dziewczyn, z którymi faktycznie sypiałeś, które faktycznie mogły się zetknąć z twoim przypadkiem, albo od których mogłeś to złapać.

— Och, idź do diabła, doktorku — odparł znudzony Booth.

— Jak ci się podobała mała Maggie Brant?

— To było świństwo — powiedział Ronkers. — Całkiem młoda i niewinna dziewczyna. A ty jesteś podły.

— Mała świętoszka, zarozumiała, bogata cipa. — poinformował Booth. — I jak ci się z nią udało, doktorku?

— Daruj sobie — powiedział Ronkers. — Daj mi tylko te nazwiska. Bądź miły, naprawdę bądź miły, Booth.

— Królowa Elżbieta — recytował Booth — Tuesday Weld Pearl Buck...

— W złym guście, Booth — przerwał mu Ronkers. — Nie bądź świnią.

« , ~ Beła AbzUg ~ dagnj*ł Booth — Gloria Steinem, Raquel Welch, Mamie Eisenhower...

Ronkers odłożył słuchawkę. — Dopadnij go, Maggie Brant; masz moje najlepsze życzenia.

W poczekalni przed gabinetem był tłum ludzi; Ronkers zerknął na nich przez szczelinę na listy.

Recepcjonistka spostrzegła to i przycisnęła guzik łączący ją z jego telefonem.

— Tak?

— Ma pan zadzwonić do żony. Czy mam powstrzymywać ten tłum jeszcze przez chwilę?

— Tak, dziękuję.

Kit musiała podnieść słuchawkę i natychmiast przysunąć ją do otwartego okna, bo Ronkers usłyszał nie dające się z niczym pomylić ostre zyyyyzz piły łańcuchowej (a może dwóch pił łańcuchowych).

— No — powiedziała Kit — i to jest ta ekipa od drzew. Czy Bardlong me mówił, że załatwi dobrą ekipę od drzew?

42

— Tak — odparł Ronkers. — Czy coś się nie *zgadza*?

— No, jest tu trzech mężczyzn z piłami łańcuchowymi, w hełmach z wypisanymi imionami. Nazywają się Mikę, Joe i Dougie. Dougie jest teraz na najwyższym konarze; mam nadzieję, że skręci kark...

— Na Boga, Kit, co się dzieje?

— Och, Ras, to wcale nie jakaś ekipa od drzew. To ludzie Bardlonga, przyjechali taką cholerną ciężarówką z napisem BARDLONG OSADZI CIĘ W MIEJSCU.

— Pewnie zamordują całe drzewo — poinformowała Kit. — Przecież nie można odrąbywać konarów i gałęzi bez obłożenia tych ran tym czymś, prawda?

— Jakim czymś?

— Zamaż? Zasmar? — spytała Kit. — No wiesz, to takie czarne, lepkie. To goi drzewa. Boże, Ras, przecież ty jesteś lekarzem, myślałam, że będziesz coś o tym wiedział.

— Ale nie lekarzem od drzew.

— Ci ludzie nawet nie wyglądają tak, jakby wiedzieli, co robią — powiedziała Kit. — Obwiesili linami całe drzewo i huśtają się na nich tam i siam, i co chwila obciachują coś tymi swoimi cholernymi piłami.

— Zadzwoń do Bardlonga — zdecydował Ronkers.

Ale lampka jego telefonu błyskała. Szybko przyjął trójkę pacjentów jednego po drugim, zyskał cztery minuty do następnego pacjenta, wyjrzał przez szczelinę na listy, ubłagał recepcjonistkę i poświęcił trzy minuty na telefon do Bardlonga.

— Myślałem, że najmie pan profesjonalistów — powiedział Ronkers.

— To bardzo dobrzy profesjonalisci — odparł Bardlong.

— Profesjonaliści od amortyzatorów — stwierdził Ronkers.

— Nie, nie — powiedział Bardlong. — Dougie kiedyś pracował przy drzewach.

— I na pewno specjalizował się jeszcze w orzechowcach.

— Wszystko gra — podsumował Bardlong.

43

— Rozumiem, czemu ma to mnie mniej kosztować — powiedział Ronkers. — Bo faktycznie ja panu płacę.

— Jestem na emeryturze — odparł Bardlong.

Lampka telefonu znowu błyskała; musiał już kończyć rozmowę.

— Niech się pan nie martwi — usłyszał. — Wszystko jest w dobrych rękach. — I wtedy rozległ się rozdzierający uszy trzask, przez co Ronkers strącił ze stołu do kosza na śmieci popielniczkę. Po stronie Bardlonga rozległ się przesywający, szklisty dźwięk; barokowe kandelabry walące się na podłogę sali balowej? Pani Bardlong lub jakaś inna, równie krzykliwa i starsza kobieta, wyła i pohukiwała jak sowa.

— Wielki Jezu — powiedział Bardlong przez telefon. I szybko dodał — Bardzo przepraszam. — Odłożył słuchawkę, ale Ronkers usłyszał jeszcze wyraźnie: trzask drzewa, tłuczone szkło i gdakanie piły łańcuchowej, zaproszonej do wnętrza domu. Próbował wyobrazić sobie tego człowieka od drzew, Dougiego, przywiązanego do konaru, wpadającego do wnętrza domu przez panoramiczne okno Bardlongów, z wciąż tnącą piłą, podczas gdy on przedziera się przez draperie i szeslong. Pani Bardlong, trzymając na kolanach stareńkiego kota, dalej czyta gazetę, gdy nagle...

Ale recepcjonistka błyskała z irytującą regularnością, więc Ronkers poddał się. Zbadał czteroletnią dziewczynkę z zakażeniem dróg moczowych (małe dziewczynki są na to bardziej podatne niż mali chłopcy); przyjął czterdziestoosmioletniego mężczyznę z wielką i wspaniale wrażliwą prostatą; przyjął dwudziestopięcioletnią kobietę po raz pierwszy cierpiącą na dolegliwości pęcherza. Zapisał jej Azo-Gantrisin; znalazł reklamowe opakowanie wielkich, czerwonych pigułek, którymi koń mógłby się zakrzusić, i podał jej. Spoglądała na nie przerażona ich rozmiarami.

— Czy jest tu też, no ten, aplikator? — spytała.

— Nie, nie — odpowiedział Ronkers. — Stosuje się je doustnie. Połyka się.

Telefon znowu zaczął błyskać. Ronkers wiedział, że to Kit.

— Co się stało? — spytał. — Słyszałem przez telefon.

— Dougie przeciął konar i linę odciągającą go od domu — powiedziała Kit.

— Ale cyrk!

— Wbiło się w okno od łazienki Bardlongów jak wielki kij bilardowy.

— Eech — powiedział Ronkers, zawiedziony. Miał nadzieję, że to okno panoramiczne.
— I chyba pani Bardlong była wtedy w łazience — powiedziała Kit.
Zawstydzony własną uciechą Ronkers spytał — Coś się komuś stało?
— Dougie zaciął Mike'a piłą w ramię — powiedziała Kit — i chyba Joe złamał nogę w kostce zeskakując z drzewa.
— Boże!
— Nikomu nie stało się nic wielkiego — powiedziała Kit. — Ale drzewo wygląda okropnie; jeszcze nawet nie skończyli.
— Bardlong będzie się musiał tym zająć — powiedział Ronkers.
— Ras — powiedziała Kit — był tu fotograf z gazety; przyjeżdża z każdym wezwaniem karetki. Zrobił zdjęcie drzewa i okna Bardlongów. Słuchaj, Ras, to ważne: czy Kesler dostaje gazetę razem ze śniadaniem? Będziesz musiał porozmawiać z pielęgniarką oddziałową; nie można pozwolić, żeby zobaczył zdjęcie. Dobrze, Ras?
— Okay — odpowiedział.
Za drzwiami, w poczekalni, kobieta pokazywała pigułki Azo-Gantrisin recepcjonistce Ronkersa. — Chce, żebym je połykała... — Ronkers powolutku zamknął kłapkę szczeliny na listy. Zadzwoił do recepcjonistki.
— Zabawiaj ich, proszę — powiedział. — Biorę dziesięć. Wymknął się z gabinetu przez wejście szpitalne i przeszedł przez izbę przyjęć w chwili, gdy sanitariusze z karetki pogotowia

44

45

wnosili na noszach mężczyznę; podpierał się na łokciach, był bez buta, a kostkę miał owiniętą workiem z lodem. Na hełmie napisane było „Joe”. Mężczyzna idący obok noszy niósł kask w jednej ręce. U niego napisane było „Mike”. Drugą rękę przyciskał do piersi; całe przedramię miał zalane krwią; obok szedł pielęgniarz, wciskając Mike'owi kciuk mocno pod pachę. Ronkers zatrzymał ich i przyjrzał się ranie. Nie była poważna, ale poszarpana i zabrudzona dużą ilością czarnego oleju i trocin. Jakies trzydzieści szwów, pomyślał Ronkers, ale mężczyzna nie krwawił zbyt wiele. Nudna chirurgiczna dżabanina i mnóstwo Xylocainy, ale dzisiaj izbę przyjęć obsługiwał Fowler, i Ronkersowi nic do tego.
Poszedł na trzecie piętro. Kesler był w 339, w jedyńce; przynajmniej czekała go prywatna śmierć. Ronkers odszukał pielęgniarkę oddziałową, ale drzwi pokoju były otwarte, więc rozmawiał z pielęgniarką w holu w taki sposób, by stary mógł ich widzieć; Kesler go rozpoznał, ale jakby nie mógł przypomnieć sobie, skąd go zna.
— *Kommen Sie hinein, bitte!* — zawołał Kesler. Jego głos brzmiał tak, jakby wydobywał się spod pilnika, zdarty bardziej niż stara płyta. — *Gróss Gott!* — zawołał.
— Szkoda, że nie znam ani trochę niemieckiego — powiedział Ronkers do pielęgniarki. Trochę jednak znał. Wszedł do pokoju Keslera i mimochodem skontrolował mechanizmy utrzymujące go przy życiu. Skrzypienie w głosie Keslera pochodziło od rurki Levina, która przez gardło dochodziła mu do żołądka.
— Dzień dobry, panie Kesler — powiedział. — Pamięta mnie pan? — Kesler patrzył ze zdziwieniem na Ronkersa. Wyjęli mu sztuczną szczękę i jego twarz dziwnie przypominała swą skórzastością głowę żółwia; twarz miał zapadłą, jakby zimną. Jak można się było spodziewać, stracił jakieś trzydzieści kilo.
— Ach! — powiedział nagle. — *Das dom gekuopt!* Pan...ya! Jak idzie wam? Pana żona ściany zrzuciła?
— Tak — odparł Ronkers — ale spodobałoby się panu. Jest bardzo ładnie. Mamy teraz więcej światła z zewnątrz.
— *Und der Bardlong?* — szepnęła Kesler — On to drzewo nie zrzucił?
— Nie.
— *Sehr gut!* — powiedział Herr Kesler. Wymówił to: *cer guud*. — Dopry chopiec — zwrócił się do Ronkersa. — Dopry chopiec. — Mrugał swymi wyblakłymi, suchymi powiekami przez chwilę, a kiedy je otworzył, wyglądał, jakby spoglądał na inną scenę; jakiś inny czas, inne miejsce. — *Frtistuck?* — zapytał uprzejmie.
— To znaczy śniadanie — Ronkers wyjaśnił siostrze. Trzymali Keslera na stu miligramach Demorolu co cztery godziny; to sprawia, że człowiek jest trochę ociężały umysłowo. Ronkers wysiadł z windy na parterze, gdy interkom zaczął wzywać „doktora Serce”. Nie było żadnego doktora Serce w Szpitalu Uniwersyteckim. Hasło „doktor Serce” znaczyło, że czyjeś serce przestało bić.
— Doktor Serce? — zapytał słodko interkom. — Proszę przyjść do sali 304...
Każdy lekarz w szpitalu powinien pospieszyć do tej sali. Istniało niepisane prawo, że należało się rozejrzeć

dookoła i wolno podejść do najbliższej windy, mając nadzieję, że inny lekarz będzie tam przed tobą. Ronkers zawahał się, pozwalając windzie zamknąć drzwi. Znowu nacisnął guzik, ale winda jechała już do góry.

— Doktor Serce, sala 304 — spokojnie oznajmił interkom. To było lepsze niż natarczywe wołanie: „Lekarza! Lekarza do sali 304! O Boże, niech ktoś się pospieszy!” To mogłoby zaniepokoić innych pacjentów i odwiedzających.

W kierunku windy zmierzał dr Hampton.

— W dalszym ciągu przyjmujesz w gabinecie? — spytał Ronkersa.

— Ta... — odpowiedział Ronkers.

46

47

— To wracaj do siebie — powiedział Hampton. — Ja się tym zajmę.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Z całą pewnością jakiś „doktor Serce” dotarł już do 304.

Ronkers wrócił do gabinetu. Fajnie byłoby zabrać Kit gdzieś na kolację, pomyślał.

W Dynastii Ming przy drodze nr 6 Kit zamówiła okonia na słodko-kwaśno, a Ronkers wybrał wołowinę w sosie krabowym. Był roztargniony. Kiedy wchodzili do lokalu, w oknie zobaczył wywieszkę. Była to wywieszka mniej więcej pół metra na trzydzieści centymetrów: czarne litery na chyba białej dykcie. Wyglądała w oknie całkiem naturalnie — była standardowych wymiarów — i Ronkers mylnie założył, że zawierała równie standardową informację: ZATRUDNIĘ DWIE KELNERKI.

Dopiero teraz, kiedy sącył drinka siedząc z Kit, zaczęła docierać do niego prawdziwa treść ogłoszenia. Sądził, że ma przywidzenia, a więc przeprosił na chwilę żonę i wymknął się na zewnątrz, żeby jeszcze raz przyjrzeć się wywieszce.

Ku jego zdumieniu i przerażeniu, nie miał przywidzeń. W lewym dolnym rogu okna, tak żeby mógł je zobaczyć każdy klient zbliżający się do drzwi, znajdowało się schludnie wypisane obwieszczenie: HARLAN BOOTH MA TRYPRA.

— No, ale to przecież prawda, prawda?

— No tak, ale nie o to chodzi — powiedział Ronkers. — To trochę nieetyczne. Znaczący, to musiała napisać Margaret Brant, a ja jestem odpowiedzialny za udostępnienie jej tej informacji. Przecież tego rodzaju sprawy winny być poufne....

— Bzdety — powiedziała Kit. — Brawa dla Margaret Brant! Ras, musisz przyznać, że gdyby Booth pograł z tobą fair, to nie miałoby miejsca. Według mnie, należy mu się.

— No oczywiście, że mu się należy — odpowiedział Ronkers — ale zastanawiam się, gdzie ona jeszcze umieściła takie anonsy.

— Eee tam, Ras, nie przejmuj się tym.

Ale Ronkers musiał przekonać się na własne oczy. Pojechali do Centrum Studenckiego. W głównym holu Ronkers przeszukiwał wzrokiem gigantyczną tablicę ogłoszeń.

BMW, ROK 1970, JAK NOWE...

SZUKAM PASAŻERÓW DO PODZIAŁU KOSZTÓW I PROWADZENIA SAMOCHODU DO NOWEGO JORKU. WYJ. CZWAR. POWR. PON. WIECZ. LARRY 351-4306...

HARLAN BOOTH MA TRYPRA...

— O Boże.

Podjechali do wielkiego audytorium; akurat trwał jakiś spektakl. Nawet nie musieli wysiadać z samochodu, by zobaczyć to, co chcieli: znak zakazu parkowania został starannie zakryty, a w jego miejsce pojawił się znak o nowej treści. Kit aż zwiłała się ze śmiechu.

Wielu studentów piło, bawiło się i tańczyło przy muzyce miejscowych talentów w Brzuchu Wieloryba. Była to głośna, zadymiona buda; Ronkers otrzymywał kilka naglących telefonów miesięcznie od pacjentów, których nagłe przypadki miały swój początek właśnie tutaj.

W jakiś sposób Margaret Brant zmiękczyła serce barmana. Nad barowym lustrem, nad błyszczącymi butelkami, ponad napisem głoszącym PRZYJMujemy Czeki TYLKO W WYSOKOŚCI RACHUNKU, widniały te same schludne, oskarżycielskie litery, dobrze już znane Ronkersowi i Kit. Brzuch Wieloryba dowiadywał się, że Harlan Booth jest zapowietrzony.

Obawiając się najgorszego, Ronkers obstawał, by przejechali obok akademika Margaret — olbrzymiego budynku — żeńskiego akademika rozmiarów i kształtu budynku więziennego. Budynek, dość nowy, nie był jeszcze obrośnięty bluszczem.

48

— Ratując Prośka

W świetle latarni, ponad rzędami rowerów — jakby przyczepiony do parapetu każdego z okien trzeciego piętra

— rozciągał się na całą szerokość Żeńskiego Akademika im. Catherine Cascomb wielki, pozszywany z prześcieradeł transparent. Margaret miała przyjaciółki. Przyjaciółki też się wkurzyły. W masowej ofercie płótna i czasu każda dziewczyna z każdego pokoju na trzecim piętrze od frontu zrobiła, co do niej należało. Wszystkie litery miały około półtora metra wysokości i szerokość wąskiego łóżka.

— Fantastyczne — krzyknęła Kit. — Dobra robota! Tak trzymać! Niech ma za swoje!

— Oto właściwa droga, Maggie Brant — wyszeptał z nabożeństwem Ronkers. Ale wiedział, że to z pewnością jeszcze nie wszystko.

Była druga nad ranem, kiedy zadzwonił telefon; Ronkers podejrzewał, że wzywają go do szpitala.

— Tak? — powiedział.

— Zbudziłem pana, doktorku? — powiedział Harlan Booth.

— Mam wielką nadzieję, że pana zbudziłem.

— Cześć, Booth — powiedział Ronkers. Kit usiadła obok niego, silna i gotowa.

— Odwołaj swoich siepaczy, doktorku. Nie muszę tego znosić. To jest szykanowanie obywatela. Wy, nędzne doktorzyny, podobno postępujecie tak etycznie...

— A więc widziałeś te ogłoszenia? — spytał Ronkers.

— Ogłoszenia? — spytał Booth — Jakie ogłoszenia? O czym pan mówi?

— A o czym ty mówisz? — spytał zdezorientowany Ronkers.

— Dobrze wiesz, o czym mówię? — ryknął Harlan Booth.

— Co pół godziny dzwoni do mnie jakaś dziwa. Jest druga nad ranem, doktorku, i co pół godziny wydzwania do mnie jakaś dziwa. Inna dziwa, co pół godziny, wie pan dokładnie o...

— I co mówią?

— Przestań się wygłupiać — krzyknął Booth. — Przecież, do cholery, wiesz co mówią, doktorku.

Puszczają takie teksty

jak „Panie Booth, jak tam się rozwija kochany tryperek!” Albo „Gdzie teraz siejesz swoim tryprem, Harlan, kochasiu!” Wie pan, co mi mówią!

— Nie martw się, Booth — powiedział Ronkers. — Wyjdź sobie trochę na świeże powietrze. Przejedź się, najlepiej koło Żeńskiego Akademika im. Catherine Cascomb. Rozwiesili tam piękny transparent na twoją cześć, naprawdę powinieneś go zobaczyć.

— Transparent? — spytał Booth.

— A potem wpadnij na drinka do Brzucha Wieloryba — powiedział mu Ronkers. — To cię na pewno uspokoi.

— Słuchaj, doktorku! — krzyczał Booth. — Odwołaj ich.

— Ja ich nie wołałem.

— To na pewno ta głupia suka Maggie Brant, co, doktorku?

— Wątpię, czy to wszystko tylko jej dzieło.

— Słuchaj — powiedział Booth. — Mogę ci za to zrobić sprawę w sądzie. Pogwałcenie prywatności. Mogę pójść do gazet. Pójdę do władz uniwersyteckich, udowodnię, co się dzieje w studenckiej przychodni. Nie ma pan prawa być aż tak nieetyczny.

— Dlaczego nie zadzwonisz po prostu do Margaret Brant? — podpowiedział Ronkers.

— Dzwonić do niej?

— I nie przeprosisz — dokończył Ronkers. — Powiedz jej, że ci przykro.

— Przykro?! — krzyknął Booth.

— I wtedy przyjdź do mnie i podaj parę nazwisk — powiedział Ronkers.

— Pójdę do wszystkich gazet w całym stanie, doktorku.

— Z przyjemnością to zobaczę. Ukrzyżowaliby cię natychmiast.

— Doktorku...

— Naprawdę, zrób sobie dobrze, Booth. Przejedź się koło Żeńskiego Akademika im. Catherine Cascomb...

— Idź do diabła, doktoru.

— Lepiej się pospiesz. Jutro mogą zacząć kampanię oklejania napisami zderzaków na samochodach.

— Oklejania zderzaków?

— Napisem „Harlan Booth ma trypra” — powiedział Ronkers. — To właśnie będzie na tych naklejkach.

Booth odłożył słuchawkę. Ronkers jeszcze przez długi czas miał w uszach ten dźwięk. Stukot orzechów spadających na dach wydawał się prawie kojący w porównaniu z odgłosem wydanym przez Bootha.

— Chyba go dorwaliśmy — powiedział do Kit.

— Aha, to jest już „my”? — spytała — Mówisz, jakbyś się przyłączył.

— Już się przyłączyłem — odparł Ronkers. — Z samego rana zadzwonię do Margaret i powiem jej o tym pomysle z naklejkami.

Ale Margaret Brant nie potrzebowała podpowiadaczy. Rano, kiedy Ronkers szedł do samochodu, była na nim świeża naklejka, z przodu i z tyłu. Ciemnoniebieskie litery na jasnożółtym tle, na szerokość połowy zderzaka.

HARLAN BOOTH MA TRYPRA

W drodze do szpitala Ronkers zauważył więcej podobnie udekorowanych samochodów. Niektórzy kierowcy zatrzymywali się na stacjach benzynowych, wściekle starając się to zdrapać. Ale robota była trudna i człowiek był przy tym cały upapwany. Większość jednak miała co innego na głowie niż przejmowanie się naklejkami.

— Tylko po drodze naliczyłem trzydzieści cztery — Ronkers poinformował Kit przez telefon. — A jest jeszcze wcześniej rano.

— Bardziej też zabrał się wcześniej do roboty — oznajmiła Kit.

— Co to znaczy?

— Tym razem wynajął prawdziwą ekipę. Chirurdzy od drzew przyszli zaraz po twoim wyjeździe.

— Uhm, prawdziwi chirurdzy od drzew...

— Też mają hełmy i nazywają się Mickey, Max i Harv — powiedziała Kit. — I przywieźli całą wannę tego czegoś czarnego do okładów.

— Doktorze Serce — powiedziała recepcjonistka Ronkersa, włączając się do rozmowy. — Doktorze Serce, proszę do sali 339.

— Ras?

Ale recepcjonistka przerwała rozmowę, bo było bardzo wcześnie i w szpitalu mogło jeszcze nie być innego lekarza. Ronkers przychodził wcześnie, czasami wiele godzin przed godziną przyjęć, żeby zrobić obchód szpitala, zgoda, ale przede wszystkim, żeby w spokoju posiedzieć sobie trochę w gabinecie.

— Muszę iść — powiedział Kit. — Zadzwonię.

— Kto to jest ten doktor Serce? — spytała Kit. — Jakiś nowy?

— Ta... — powiedział Ronkers, ale pomyślał: „Nie, raczej jakiś stary”.

Wyszedł już z pokoju i był w połowie tunelu łączącego główny budynek szpitala z gabinetami kilku lekarzy, kiedy interkom ponownie zaczął wołać doktora Serce i Ronkers rozpoznał numer pokoju — 339. Przypomnił sobie, że był to pokój starego Herr Keslera. Widząc go, pielęgniarki otwierały przed nim drzwi; otwierały mu drzwi we wszystkich kierunkach, przez cały korytarz, i kiedy nie przechodził przez ich drzwi, a skręcał w lewo lub w prawo, zawsze spoglądały za nim przez chwilę, nieco zawiedzione. Kiedy dotarł do pokoju Keslera, przed drzwiami stał już wózek z aparatem do pobudzania akcji serca, a doktor Serce był już na miejscu. To był Danfors — lepszy doktor Serce niż Ronkers; Danfors był kardiologiem.

Kesler nie żył. To znaczy, technicznie rzecz biorąc, jest się martwym, kiedy serce przestaje bić. Ale Danfors już trzymał elektrody przy piersi Keslera; stary miał właśnie dostać potężne uderzenie. —

Ach, te nowe maszyny — pomyślał Ronkers. Kiedyś wyprowadził ze śmierci człowieka, dając mu pięćset woltów z aparatu do kardiowersji; całe ciało aż uniosło się nad łóżko,

52

53

a kończyny rozklekotały — jak żaba nakłuta na pierwszych zajęciach z biologii.

— Jak tam Kit, George? — spytał Danfors.

— W porządku, dziękuję — powiedział Ronkers. Danfors sprawdzał kroplówkę z dwuwęglanem sodowym spływającym do żyły Keslera. — Musisz przyjechać zobaczyć, co zrobiła z domem. I zabierz ze sobą Lilly.

— Się robi — powiedział Danfors, dając Keslerowi pięćset woltów.

Choć broda Keslera dalej sztywno spoczywała na piersiach i zęby miał mocno zaciśnięte, to i tak udało mu się wydusić z siebie koszmarny, księżycowy sierp uśmiechu i wypowiedzieć głośno i z dużą energią jedno zdanie. Było, oczywiście, po niemiecku, co zdumiało Danforsa; prawdopodobnie nie wiedział, że Kesler był Austriakiem.

— *Noch ein Bier!* — zamówił Kesler.

— Co powiedział? — Danfors spytał Ronkersa.

— Jeszcze jedno piwo — przetłumaczył Ronkers.

Ale prąd przestał już płynąć. Kesler znów był martwy. Pięćset woltów go zbudziło, lecz nie miał dość własnego napięcia, by nie zapaść znowu w sen.

— Cholera — powiedział Danfors. — Jak tylko sprowadzili tę maszynę do szpitala, dostałem nią trzech pod rząd i myślałem, że to cholera to najlepsza maszyna na świecie. I potem straciłem czterech z następnych pięciu. I wychodzę z maszyną na remis: cztery do czterech. Ale w końcu nie ma rzeczy odpornych na głupotę. No, a teraz już po remisie. — Danforsowi udało się powiedzieć to tak, jakby jego zawody z maszyną zapowiadały cały przegrany sezon.

Teraz Ronkers nie miał ochoty dzwonić do Kit; wiedział, że śmierć Keslera ją wyprowadzi z równowagi. Ale ona sama zadzwoniła do niego, zanim jeszcze udało mu się to wszystko rozplatać.

— No cóż, dobrze — powiedział Ronkers.

— Ras? — spytała Kit. — Kesler nie widział gazety, co? Wiesz, zdjęcie jest na pierwszej stronie. Chyba nie widział gazety, jak myślisz.

— Jestem absolutnie pewny, że nie — odparł Ronkers.

— Och, to dobrze — powiedziała. Chyba chce jeszcze pozostać przy słuchawce, pomyślał Ronkers, choć się nie odzywa. Powiedział jej, że jest strasznie zajęty i że już musi iść.

Był w podłym nastroju, kiedy zasiadł do lunchu z Danforsem w szpitalnej stołówce. Jedli jeszcze zupę, kiedy interkom poprosił uprzejmie doktora Serce. Ponieważ Danfors był specjalistą, przyjmował większość wezwań dla doktora Serce, kiedy tylko znajdował się w szpitalu, nawet jeśli ktoś był w windzie wcześniej. Wstał i kilkoma szybkimi łykami wypił mleko.

— *Noch ein Bier!* — powiedział Ronkers.

Gdy przyszedł do domu, Kit — odbiorczyni wiadomości, dekoratorka wnętrz — miała dla niego nowiny.

Po pierwsze, dzwoniła Margaret Brant, żeby powiedzieć, że wstrzymuje atak na Harlana Bootha, bo zadzwonił do niej i błagał o wybaczenie. Po drugie, dzwonił Booth i zostawił Kit całą listę nazwisk.

— Prawdziwych — jak twierdził. Po trzecie, coś było nie tak z Bardlongiem i tym piekielnym drzewem. Chirurdzy drzewni zaalarmowali go z jakiegoś powodu i Bardlong wraz z żoną dźgali ziemię wokół drzewa, wzdłuż swojej strony murku, jakby sprawdzali jakieś nowe uszkodzenia lub obmyślali nową taktykę ataku.

Ronkers, zmęczony, powlókł się do ogrodu, żeby stawić czoła nowym kłopotom. Bardlong klęczał na czworakach na ziemi, zaglądając w szczeliny swojego murku. Szuka wiewiórek?

— Po tym jak ci panowie zrobili taki kawał dobrej roboty

— zaanonsował — zwrócił ich uwagę fakt, że powinni jednak ściąć całe to cholerne drzewo. No oczywiście, są zawodowcami. I obawiam się, że mają rację. Trzeba spuścić całość.

54

55

— Dlaczego? — spytał Ronkers. Próbował nadać głosowi ton sprzeciwu, ale zdał sobie sprawę, że jego opór nieco osłabł.

— Korzenie — odparł Bardlong. — Korzenie wyrócą murek. Korzenie — powtórzył, jakby mówił: „Armie! Czołgi! Potężne armaty!” — Korzenie przeciskają się przez mój mur. — Brzmiało to tak, jakby mówił o spisku, jakby kamienie dusiły jakieś kamienie i dawały łapówki jeszcze innym. Wślizgiwały się na wszystkie zaczepne pozycje wśród łupków. Na dany znak gotowe były zburzyć wszystko.

— To na pewno trochę potrwa — powiedział Ronkers myśląc z arogancją, która go zaskoczyła: Ten mur cię przeżyje, Bardlong!

— To już się zaczęło — wyjaśnił Bardlong. — Przykro mi pana o to prosić, oczywiście, ale jeśli ten mur się rozleci, to...

— Możemy postawić go na nowo — powiedział Ronkers. I znowu ta dusza lekarza!

Nielogiczny jak złośliwy rak, Bardlong potrząsnął głową. Ronkersowi przyszło na myśl, że już niedaleko jest punkt, od którego będzie trzeba mieć się na baczności, żeby nie wdepnąć w prawo i sądy. Był zbyt

zmęczony, by opierać się czemukolwiek.

— To proste — ciągnął Bardlong. — Ja chcę zachować murek, pan chce zachować drzewo.

— Mury można odbudować — powtórzył Ronkers bez przekonania.

— Ach, rozumiem — powiedział Bardlong. Rozumiem, co? To przypominało pięćset woltów zaaplikowanych Keslerowi. Efekt był — był widoczny — ale nie miał żadnego znaczenia. Wracając w ponurym nastroju do mieszkania, Ronkers zastanawiał się, jaki wpływ na Bardlonga miałyby pięćset woltów, utrzymane tak z pięć minut.

Wyobrażał sobie też idiotyczną scenę: Bardlong nagle zjawia się u niego w gabinecie, patrzy w podłogę i mówi: — Mhm, miałem pewne... stosunki z... ahm... pewną damą, która, ahm... najwidoczniej nie była całkowicie... zdrowa.

— Panie Bardlong, gdyby to miało oszczędzić panu ambarasu — fantazjował po cichu Ronkers — mógłbym, oczywiście, poinformować tę, hmm, damę, że powinna zwrócić się o pomoc lekarską.

— Zrobiłby pan to dla mnie? — zawołałby wtedy Bardlong z wielką ulgą. — No, oczywiście, tego, no... zapłaciłbym panu za to, ile pan tylko zażąda.

I wtedy, oczywiście, Ronkers miałby go w ręku. Z uśmiechem kota polującego na mysz rzuciłby mu cenę.

— Co by pan powiedział na połówkę drzewa?

No, ale Ronkers wiedział, że takie rzeczy się przecież nie zdarzają. Takie rzeczy pasują do opowiadań o porzuconych pieskach czy kotkach, maszerujących na obolałych łapach z Yermontu do Kalifornii, odnajdujących rodziny po kilku miesiącach, zjawiających się z rozkrwawionymi opuszkami i merdającym ogonem. Powodem popularności tego rodzaju opowiadań był fakt, że bardzo miło przeczyły temu, co, jak wszyscy wiedzą, dzieje się naprawdę. Psa rozjechał jakiś wielki buick w Massachusetts albo, co gorsza, porzucony żył sobie całkiem szczęśliwie w Yermontie.

I gdyby Bardlong przyszedł do gabinetu Ronkersa, to z jakiegoś całkiem zwyczajnego powodu związanego z jego wiekiem i prostatą.

— Kit, Kesler nie żyje — powiedział Ronkers. — Serce przestało bić i wybawiło go z mnóstwa kłopotów. Inaczej byłoby z nim coraz gorzej.

Obejmował ją na tej wspaniałej estradzie do spania, którą wymyśliła. Za oknem ich wychudłe, przetrzebione drzewo stukalo gałązkami, jak drobnymi kostkami, o rynnę. Wszystkie liście już opadły; orzechy, które się jeszcze trzymały, były małe i pokurczone, nawet wiewiórki je ignorowały; gdyby taki spadł na dach nikt by nawet nie zauważył. Zimowo gołe i nie dające nic poza swym dziwnym cieniem na kołdrze i alarmującymi głosami, wydawanymi przez całą noc, nie sprawiało wrażenia, jakby było warte tej walki. W końcu Kesler też nie żył. Bardlong

56

57

zaś był na emeryturze i trywialnym sprawom mógł poświęcić

0 wiele więcej czasu niż ktokolwiek, komu przyszłoby do głowy mu się przeciwstawić. Doprawdy, mur oddzielający Ronkersów od Bardlonga był rzeczywiście wąty.

Właśnie wtedy Ronkers zdał sobie sprawę, że nie kochał się z żoną od bardzo długiego czasu, i że kochał się z nią w sposób, który terapeuta mógłby określić terminem „uspokajający”. A kochanek, pomyślał później Ronkers, nazwałby ten sposób po prostu nudnym.

Patrzył, jak śpi. Śliczna kobieta; jej studentom, jak przypuszczał, chodziły po głowie nie tylko zajęcia z architektury. A jej, któregoś dnia, oni mogli zacząć chodzić po głowie, a właściwie jakiś jeden z nich.

Czemu o tym myśli, zastanawiał się. Zaczął rozpamiętywać własne emocje, które przeżywał swego czasu w stosunku do techniczki z roentgena.

Ale tego rodzaju problemy czekały Kit i jego dopiero za wiele lat; no, może za parę miesięcy, ale nie wcześniej.

Pomyślał o słodkim smaku zemsty, jaki musiała odczuwać Margaret Brant; jej dojrzałe wybaczenie zdziwiło go i dodało mu otuchy. A to, że Harlan Booth się poddał? Czy się nawrócił — czy tylko wpadł w potrzask i był przeżarty złem do szpiku kości — trudno było w tej chwili powiedzieć. Ale czy to o kimkolwiek wiadomo... zastanawiał się Ronkers.

Wynik rozgrywek pomiędzy Danforsem a maszyną wynosił cztery do sześciu. Czy to daje jakieś fory ludzkiej reprodukcji? Na przykład, i szczególnie, jego i Kit? A nawet gdyby wszyscy dyrektorzy szkół średnich i rodzice na całym świecie byli równie liberalnie nastawieni do chorób wenerycznych, zdolni do potraktowania tego z humorem i całkowicie wyzbyci uprzedzeń, tak jak są przyjaźnie nastawieni do obrażeń odniesionych na boisku futbolowym, to i tak tryper będzie dalej istniał na świecie,

1 syfilis, i te inne choroby.

Kit spała.

Oslabłe gałęzie pukały w ściany domu jak dzioby papug, które słyszał w zoo. Gdzie to było? W jakim zoo? Pod wpływem impulsu, który odebrał raczej jako przyływ rezygnacji, przysunął się do okna i spojrzął na zalane światłem księżycy dachy domów — wiele z nich widział po raz pierwszy — nie było liści, które zasłaniałyby zimową panoramę. I w kierunku tych wszystkich ludzi pod tymi dachami (i innych też) szepnął, z błyskiem przekory — Bawcie się dobrze! — Dla Ronkera było to błogosławieństwo z ukrytym hakiem.

— A dlaczego by nie mieć dzieci? — powiedział głośno. Kit poruszyła się, ale nie całkiem go usłyszała.

58

Prawie w Iowa

Dla kierowcy podróżowanie było okazją do refleksji, ale volvo nigdy nie przekroczyło granicy Yermontu. Kierowca był bardzo dbałym panem: pilnował poziomu oleju i czystych szyb, a w kieszonce na lewej piersi, obok długopisu, nosił wpięty ciśnieniomierz do opon. Długopis służył do zapisywania kolejnych pozycji na Liście Wielkiej Podróży, takich jak zużycie paliwa na sto kilometrów, opłaty na autostradzie i czasy przejazdów.

Volvo doceniało tę skrupulatność kierowcy. Drogę nr 9 przez Yermont, od Brattleboro do Bennington, robiło bez strachu. Kiedy pojawiły się pierwsze drogowskie oznaczające granicę stanu Nowy Jork, kierowca powiedział: — Nic się nie bój. — I volvo mu uwierzyło.

Był to zakurzony, pomidorowoczerwony dwudrzwiowy sedan z roku sześćdziesiątego dziewiątego, z radialnymi oponami Semperit, standardową czterobiegową skrzynią biegów, dwoma gaźnikami i równo siedemdziesięcioma sześcioma tysiącami kilometrów przeżyć bez radia. Kierowcy wydawało się, że radio rozpraszałoby ich obu.

Wyruszyli z Yermontu o północy. — Świt w Pensylwanii — powiedział kierowca zaniepokojonemu volvo. W Troy, w stanie Nowy Jork, kierowca ciągle redukował biegi i przemawiał pieszczotliwie, by uspokoić volvo, że to się już wkrótce skończy. — Jeszcze tylko troszeczkę — mówił.

60

Volvo trzymało go za słowo. Czasami trzeba pozwolić sobie na złudzenia.

Na prawie opuszczonym wjeździe na nowojorską autostradę stanową w kierunku zachodnim, jakiś niewinny volkswagen nie mógł się zdecydować, na którym pasie się ustawić. Kierowca zwolnił trochę za tylnym zderzakiem volkswagena i pozwolił ryczeć klaksonowi volvo; volkswagen, prawie całkiem spanikowany, gwałtownie skręcił w prawo; volvo odbiło w lewo, minęło go i gwałtownie wróciło na pas, błyskając tylnymi światłami.

Poczuło się o wiele lepiej.

Nowojorska autostrada stanowa ciągnie się całymi milami; kierowca znał niebezpieczeństwo tej monotonii. Dlatego w Sy-racuse zjechał z drogi i zrobił wielki objazd przez Ithakę, wykręcając pętlę wokół jeziora Cayuga i spotykając się z autostradą dopiero koło Rochester. Krajobraz uspokajał swym podobieństwem do Yermontu. Pachniały jabłka, a liście klonu spadały przed przednimi światłami. Tylko raz spotkali szokującą, jasno oświetloną tablicę, która chyba podkopała trochę pewność siebie volvo. ŻYWA PRZYNEŃTA, głosiła tablica. Sam kierowca też miał z jej powodu niepokojące wizje, ale wiedział, że dawanie upustu nadmiernej wyobraźni może być zaraźliwe. — Po prostu takie robaczki i te inne — powiedział do volvo, które, poparskując, parło do przodu. Ale w umyśle kierowcy czaiło się podejrzenie istnienia innych rodzajów żywej przynęty — która działała odwrotnie, która miast nęcić ryby, wystraszyłaby je z wody. Wrzuć trochę tej specjalnej przynęty i po prostu zbierz te przerażone, łykające powietrze rybki tam, gdzie wylądują na brzegu. A może ŻYWA PRZYNEŃTA to po prostu nazwa nocnego klubu.

Na autostradę wrócił z uczuciem prawdziwej ulgi. Nie każde zboczenie z głównej drogi na powrót cię do niej doprowadzi. Ale kierowca tylko poklepał deskę rozdzielczą i powiedział: — Już niedługo będziemy w Buffalo.

61

Na niebie pojawiła się zorza — widok oglądany tylko przez myśliwych polujących na kaczki i zapalonych maratończyków. Kierowca nieczęsto go oglądał.

Jezioro Erie było spokojne i szare jak martwy ocean; samochody na autostradzie międzystanowej do Pensylwanii to tylko kilka tych rannych ptaszków co to dojeżdżają do Ohio. — Nie przejmuj się Cleveland — ostrzegł kierowca.

Volvo było we wspaniałej formie — chłodne opony, zużycie dziewięć na sto, olej do kreski, pełno elektrolitu w akumulatorze; żadnych obaw. Jediną oznaką, że jechali całą tę straszną noc, były rozgniecione owadzie skrzydełka znaczące przednią szybę i kratownicę.

Mężczyzna obsługujący pompę na stacji benzynowej musiał się dobrze namachać myjąc szybę. — Daleko

pan jedzie? — spytał kierowcę, ale ten tylko wzruszył ramionami. — Jadę do końca! — chciał krzyknąć, ale przecież przy nim było volvo!

Trzeba uważać, komu się sprawia przykrość swoimi słowami. Kierowca, na przykład, nie powiedział nikomu, że wyjeżdża.

Zanim Cleveland udało się schwycić ich w swój śmierdzący uścisk, wywinęli się całej ciżbie ciężarówek tłoczących się wokół; posuwali się naprzód z uczuciem, że poranna godzina szczytu była na nich wściekła, iż tak jej się wywinęli. COLUMBUS, POŁUDNIE, było napisane na znaku, ale kierowca tylko prychnął z pogardą i popłynął w górę zachodnią rampą autostrady Ohio.

— A dla ciebie, Columbus, mrożone raki z wody — powiedział.

Kiedy ma się za sobą noc pełną dobrze kontrolowanego napięcia i jest się w drodze z poczuciem wyprzedzenia reszty świata już na starcie, to można znieść nawet Ohio — nawet Toledo wydaje się leżeć na odległość krótkiego sprintu.

— Lunch w Toledo — zdziornie ogłosił kierowca. Volvo aż wstrząsnęło się lekko na stu dwudziestu, podskoczyło do stu trzydziestu i odnalazło ten sławetny drugi oddech; słońce świeciło im w plecy i obu podobał się ten przysadzisty cień volvo

uciekający przed nimi. Czuli, że za tą zjawą mogliby jechać do samej Indiany.

Poranne złudzenia należą do tych, na które musimy sobie pozwalać, jeśli w ogóle chcemy dokądś dojść.

Ohio to o wiele więcej, niż ci się wydaje; zjazdów do Sandusky jest więcej, niż ustawa przewiduje. Na jednym z wielu parkingów volvo dostało gwałtownego napadu kaszlu przed iskrą i kierowca musiał zdławić ssaniem to szarpanie dając gwałtownie do dechy na sprzęgle. To zirykowało ich obu. A kiedy kierowca obliczył pospiesznie zużycie benzyny, okazało się, że wynik jest raczej nieciekawym. — Piętnaście i trzy czwarte na sto! — I szybko starał się przekonać volvo, że wcale go nie krytykuje. — To ta ostatnia benzyna — powiedział. — Dali ci słabej benzyny.

Ale volvo zapalało wolno i z rzężeniem; zeszło na niskie obroty na luzie i gasło odjeżdżając spod dystrybutora, więc kierowca wołał powiedzieć: — Olej do kreski, nie palisz ani kropli — skłamał: poziom opadł o całe pół litra; nie musiał jeszcze dolewać, ale było już pod kreską. Przez kurczącą żołądek chwilę, przejeżdżając obok następnego z niezliczonych zjazdów do Sandusky, kierowca zastanawiał się, czy volvo wiedziało. Przy dużych odległościach zaufanie to podstawa. Czy samochód czuje, że spada mu poziom oleju?

„Lunch w Toledo” kotłował mu się w głowie jak wyzwanie; stłumiony głód podpowiedział mu, że porę lunchu można przebałaganić przy którymś z czternastu zjazdów prowadzących podobno do Sandusky.

Tylko, Boże, co to jest to Sandusky?

Volvo, choć napojone i wytarte, nie miało przyzwoitego odpoczynku od śniadania w Buffalo. Kierowca postanowił przepuścić swój własny lunch. — Nie jestem głodny — powiedział radośnie, ale poczuł ciężar drugiego kłamstwa. Kierowca wiedział, że niektóre poświęcenia mają wartość symboliczną. Jeśli robi się coś wspólnie, najważniejsze jest zadbać o sprawiedliwy podział cierpienia. Obszar, o którym mówi się „Toledo”, minęli w ciszy popołudnia jak rozczarowanie, o którym się nie wspomina. A jeśli chodzi o obniżający się poziom oleju, kierowca

62

63

wiedział, że jego własny poziom też spadł o pół litra. Och, ty Ohio.

Fort Wayne, Elkhart, Muncie, Gary, Terre Haute i Michigan City — ach, Indiano! Jakież to inny stan, nie zalany cementem! — Zielona jak Yermont — szepnęła kierowca. Yermont! Magiczne słowo. — Zgoda, bardziej płaska — dodał, a potem przestraszył się, że może powiedział za wiele.

W Lagrange nad volvo rozszalała się ulewna, oczyszczająca burza z piorunami; w Goshen zużycie stało na dziesięć przecinek dwa na sto, liczbie, którą kierowca wyśpiewywał volvo jak litanie, i dalej — za Ligonier, za Nappanee. Wciskając się w serce Ameryki, kierowca wyczuwał nadchodzący, niebywały „trzeci oddech”.

Krowy chyba lubią Indianę. Ale co to jest „ćwok”?

Zjemy sobie kolację w South Bend? Tylko lisi skok od Notre Dame. Bzdura! Zużycie dziewięć przecinek dziewięć. Jedziemy dalej.

Nawet motele wyglądały zachęcająco: obok nich mrugały baseny. — Śpijcie dobrze! — nuciła Indiana.

— Jeszcze nie — powiedział kierowca. Widział już drogowskazy do Chicago. Obudzić się tak, mając za sobą Chicago, zaliczone bez wypadku, wykołowane — ależ to byłby zysk!

Na granicy Illinois obliczył czas, odległość do Chicago, zbieżność przybycia z godziną szczytu, itd. Volvo pozbyło się kaszlu przed iskrą i gasło spokojnie; chyba opanowało już to sławne „bużki i start”. Po dobrym nastroju, w jaki wprawiła ich Indiana, Illinois nie mogło przecież być aż tak złe? — Będziemy mijali Chicago o szóstej trzydzięci wieczorem — powiedział kierowca. — Najgorsze godziny szczytu będą już za nami. Po minięciu Chicago pojedziemy jeszcze przez godzinę w głąb Illinois — żeby po prostu wydostać się poza miasto — i o ósmej na pewno się zatrzymamy. Myjnia dla ciebie, basen

64

dla mnie! Sum z Missisipi gotowany w białym winie, wielkie lody, litr smacznego STP dla ciebie, koniak w barze Czerwony Atlas, tobie wypuści się trochę powietrza z opon, o dziesiątej w łóżku, przejedziemy Missisipi o pierwszym świcie, śniadanie w Iowa, parówki domowej roboty, w południe w Nebrasce, placki kukurydziane na lunch.

I namówił volvo, żeby tak zrobili. Wjechali na terytorium, które tablice rejestracyjne nazywały „Ziemią Lincolna”.

— Do widzenia, Indiano! Dziękuję, Indiano! — śpiewał kierowca na starą melodię *J Wish I was a Hoosier*”, napisaną przez M. Lamperta. Często robimy różne rzeczy, żeby tylko wydawało się, iż nic nam nie leży na sercu.

Smog zamazał niebo przed nimi; słońce, choć jeszcze nie zaszło, było za zasłoną. Autostrada przeszła z czystego asfaltu w płyty cementowe z drobnymi szczelinami, które co sekundę mówiły tak-a-tuk, tak-a-tuk... Kopciły okropne, nie kończące się, identyczne przedmieścia ogrodowych grillów.

W pobliżu pierwszego skrzyżowania przed Chicago kierowca zatrzymał się, by wziąć świeżą benzynę, sprawdzić olej, zmierzyć ciśnienie w oponach — oczywiście, tylko tak na wszelki wypadek. Ruch stawał się coraz większy. Radio tranzystorowe, wiszące na szyi faceta obsługującego dystrybutor, ogłosiło, że temperatura wody w jeziorze Michigan wynosi dwadzieścia dwa stopnie.

— Uuch! — powiedział kierowca. Potem zobaczył, że zegar na dystrybutorze nie zgadza się ze wskazówkami jego zegarka. Gdzieś, może w tej baśniowej krainie zwanej Indianą, przejechali strefę czasową. Podjeżdżał pod Chicago godzinę wcześniej, niż planował: w samiotki środek pędzącego mu pod koła szaleństwa godziny szczytu. Otaczały go teraz motele, w których baseny wypełniała sadza. Wyobrażał sobie, że gdyby nie wyjechali ze starej dobrej Indiany, krowy budziłyby go delikatnym dzwonieniem dzwonek u szyi. Był za kółkiem od osiemnastu i pół godziny i mógł tylko wspominać śniadanie w Buffalo.

— Jeden duży błąd na osiemnaście i pół godziny to całkiem niezłe — powiedział do volvo. Dla optymistów to konieczne

65

5 — Ratując Proška

przypomnienie. A myślenie o tym błędzie jako o pierwszym było godnym uwagi przykładem autosugestii. — Cześć Illinois. Cześć ci, połowo Chicago.

Volvo wypilo jednym haustem litr oleju jak ten pierwszy podwójny koniak, o którym tak marzył kierowca. Jeśli kierowcy wydawało się, że Sandusky winne jest wulgarnego nieumiarkowania, to takim samym wulgarnym brakiem umiaru byłaby próba oddania całej gamy jego uczuć w stosunku do Joliet.

Dwie godziny zmieniania pasów ruchu odsunęło go za ledwie

0 trzydzięci mil na południowy zachód od Chicago i ustawiło na skrzyżowaniu dróg wiodących podróżnych na zachód — nawet do Omaha — i na południe do St. Louis, Memphis

1 Nowego Orleanu. Żeby już nie wspomnieć ostatnich idiotów drapiących się w górę na północ w kierunku Chicago, Milwaukee i Green Bay, czy jeszcze rzadszych, zmierzających do Sandusky i migoczącego światłami Wschodniego Wybrzeża.

Joliet w Illinois to miejsce, w którym Chicago parkowało na noc swoje ciężarówki. Joliet to miejsce, gdzie ludzie, którzy zjechali rozjazdem na Wisconsin, biorąc go za rozjazd na Missouri, odkrywają swój błąd i ostatecznie się poddają.

Czteropasmowe autostrady schodzące się w Joliet jak pająki w rui, spłodziły dwa motele Howard Johnson Motor Lodge, trzy Holiday Inn i dwa Great Western Motels. Wszystkie miały kryte baseny, klimatyzację i kolorową telewizję. Ta kolorowa telewizja to absurdalna próba sięgnięcia ideału: wniesienia odrobiny koloru do Joliet w Illinois, obszaru, który w większości był czarno-biały.

O ósmej trzydzięci kierowca poddał się i zjechał z głównej szosy.

— Przepraszam — powiedział do volvo. — W Holiday Inn nie było myjni samochodowej. Bo i jaki miałyby to sens? — A w ogóle wątpliwe, czy volvo go słyszało lub dałoby się

pocieszyć: cierpiało znowu na atak kaszlu przed iskrą, który nim szarpał, a kierowcą wściekle trzymającym się kierownicy tak trząsał, że stracił resztę cierpliwości.

— Cholerne pudło — mruknął w chwili niezręcznej ciszy, w przygnanie za atak volvo. No i stało się: szkoda nie do naprawienia. Volvo nie chciało w ogóle ruszyć; stało, pikało z gorąca, opony miało twarde i rozgrzane, gaźniki w totalnej niezgodzie, świece zatkane nagarem, filtr paliwa zapchany tak dokumentnie jak zwieracz odbytnicy.

— Przepraszam — powiedział kierowca. — Nie chciałem tego powiedzieć. Ruszymy wypoczęci dopiero rano.

W trupiozielonym świetle korytarza, przystrojonego akwariami z żółwiami i palmami w donicach, kierowca napotkał z tysiąc stu innych podróżników usiłujących wpisać się do księgi gości, którzy jak on, w szoku bitewnym, mówili swoim dzieciom, żonom i samochodom: — Przepraszam, ruszymy wypoczęci dopiero rano...

Ale wszędzie panował brak wiary. Odzyskać utracone zaufanie, to zadanie niełatwe.

Kierowca wiedział, kiedy zaufanie zostało podkopane. Usiadł na sztampowym podwójnym łożu w Holiday Inn, pokój 879, i zamówił rozmowę do żony w Yermont na koszt odbiorcy.

— Halo, to ja — powiedział.

— Gdzie ty się podziewasz? — zawołała. — Boże, wszyscy cię szukają.

— Przepraszam — odpowiedział.

— Szukałam cię wszędzie na tym okropnym przyjęciu — powiedziała. — Byłam pewna, że poszedłeś gdzieś z tą Helen Cranitz.

— Och, nie.

— No i w końcu upokorzyłam się i odnalazłam ją... była z Edem Poinesem.

— Och, nie.

67

— A kiedy zobaczyłam, że wzięłaś samochód, tak się zdenerwowałam, bo tyle piłeś...

— Byłem trzeźwy.

— No i Derek Marshall musiał mnie odwieźć do domu, a on nie był trzeźwy.

— Przepraszam.

— No cóż, nic się nie stało!

— Przepraszam...

— Przepraszam — krzyknęła. — Gdzie ty jesteś? Potrzebowałam samochodu, żeby pojechać z Carey do dentysty. Dzwoniłam na policję.

— Och, nie.

— Myślałam, że może leżysz gdzieś w rowie przy drodze.

— Samochód jest w porządku.

— Samochód! — jęknęła. — Gdzie ty jesteś? Na miłość boską...

— W Joliet, Illinois.

— Mam już powyżej uszu twojego niewydarzonego poczucia humoru...

— Zaplątaliśmy się koło Chicago, bo byłbym już w Iowa.

— Co za „my”?

— Tylko ja.

— Powiedziałaś „my”.

— Przepraszam...

— Chciałabym tylko wiedzieć, czy wracasz dziś na noc do domu.

— Raczej nie uda mi się tego zrobić — powiedział kierowca.

— I znowu mam Dereka Marshalla na głowie, i sam możesz sobie za to podziękować. Zawiózł Carey do dentysty.

— Och, nie.

— Zachowuje się jak prawdziwy gentleman, to oczywiste, ale przecież musiałam go zaprosić, żeby wstąpił na chwilę. No wiesz, on też się o ciebie martwi.

— Jak cholera...

68

— Nie masz prawa tak do mnie mówić. Kiedy wrócisz do domu?

Myśl o wracaniu jakoś nie przyszła mu wcześniej do głowy i upłynęła dobra chwila, zanim odpowiedział.

— Chcę wiedzieć, gdzie jesteś, ale bez żadnych kłamstw — powiedziała żona.

— W Joliet, Illinois. Przerwała połączenie.

Rozmowy zamiejscowe wymagają pracy zespołowej. No i oczywiście, przed kierowcą stało nie lada zadanie.

Pławiąc się w krytym basenie, kierowca miał nieprzyjemne wrażenie, że basen przypomina stojące na korytarzu akwaria dla żółwi. — Nie chcę tu zostać — pomyślał.

W restauracji Winna Altana kierowca najpierw przejrzał przyprawiające o zawrót głowy menu, a potem zamówił sałatkę z krabów. Podali. Należało podejrzewać, że jej prawdopodobnym, groźnym źródłem było jezioro Michigan.

W barze Tahiti zamówił koniak.

Lokalna stacja telewizyjna z Joliet donosiła o dzisiejszych wypadkach na drogach; ponura statystyka — obrazy rzezi pod całunem ze spalin oderwały ludzi od baru i wysłały ich na wczesny, przerywany koszmarami, nocny odpoczynek. Może taki był cel tego programu.

Przed pójściem do łóżka kierowca powiedział dobranoc swojemu volvo. Pomacał opony, roztarł w palcach grudkę przesiąkniętej olejem ziemi, starał się wydedukować stopień doznanych uszkodzeń ze śladu uderzenia kamyka w szybę.

— Ale to musiało piec.

Derek Marshall! To też piekło.

Kierowca przypomniał sobie to, co zostało określone jako „to okropne przyjęcie”. Powiedział żonie, że idzie poszukać łazienki; samochody zajmowały cały trawnik i tam z niej skorzystał. Mała Carey spędzała noc u koleżanki, więc nie było

69

żadnej piastunki, która mogłaby zauważyć, jak wśliznął się do domu, by zabrać szczoteczkę do zębów.

W łazience na drzwiach wisiała suknia żony, jego ulubiona. Powąchał ją; jej jedwabisty dotyk zachwiał jego zdecydowaniem

— ciśnieniomierz w kieszonce koszuli zahaczył o zamek błyskawiczny, kiedy chciał się od niej odsunąć. — Do widzenia

— powiedział stanowczo do sukni.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie zabrać ze sobą całej garderoby żony. Ale była północ — godzina, w której karoca z powrotem staje się dynią — więc odszukał swoje volvo.

Jego żona miała włosy w kolorze zakurzonej pomidorowej czerwieni... Nie. Była blondynką, po siedmiu latach małżeństwa, z córeczką i bez radia. Radio rozpraszało ich oboje. Nie. Żona nosiła suknie rozmiar dziesięć, między wiosną a jesienią potrafiła znosić trzy pary sandałów numer siedem, potrzebowała biustonosza rozmiar trzydzieści sześć B i miała zużycie dziewięć i osiem dziesiątych litra na sto kilometrów... nie! Była drobną kobietką o ciemnej karnacji i silnych palcach oraz głębokich granatowych oczach, jak koperta poczty lotniczej; ach, tak — a kiedy się kochali, miała zwyczaj odchyłać głowę do tyłu, jak zapaśnik przygotowujący się do zrobienia mostka albo pacjent poddawany sztucznemu oddychaniu metodą usta-usta. Miała smukłe, niezbyt zmysłowe ciało i lubiła stroje, które przylegały do skóry, pieściły ją, kręciły się wokół niej... stroje, dzieci, duże psy i mężczyzn. Była wysoka, miała długie uda i sprężysty krok, wspaniałe usta, rozmiar trzydzieści osiem D...

I wtedy zatoki kierowcy w końcu zbuntowały się przeciwko całonocnej próbie, na jaką wystawiała je włączona klimatyzacja; kichnął gwałtownie i obudził się. Myśli o żonie i wszystkich innych kobietach upchnął w wielkiej, pustej części mózgu, która przypominała obszerny, równie pusty bagażnik volvo.

Wziął ostry prysznic i pomyślał, że oto nadchodzi dzień, w którym zobaczy Missisipi.

Ludzie tak naprawdę niewiele o sobie wiedzą; sprawiają wrażenie, jakby ciągle wystawianie się na ciężki losu sprawiło im przyjemność.

Kierowca planował wyjazd bez śniadania. Można by przypuszczać, że już przyzwyczał się do przemiennych fal radości i rozczarowań, ale poranny widok gwałtu dokonanego na volvo był szokiem nawet dla tego weterana szos. Volvo było poważnie pokiereszowane przez chuliganów. Stało przy krawężniku przed pokojem kierowcy jak żona, której pijany mąż przez całą noc nie wpuścił do mieszkania; czekała na niego, by w biały dzień walnąć go między oczy poczuciem winy.

— O mój Boże, co oni ci zrobili?...

Zerwali z kół wszystkie kołpaki i zostawili na wierzchu kiście niczym nie okrytych nakrętek i nagie opony. Ukradli boczne lustro po stronie kierowcy. Ktoś próbował odkręcić całość z podstawką mocującą lustro do drzwi, ale śrubokręt był za duży albo za mały, bo pozostały po nim tylko okaleczone i bezużyteczne główki śrubek. Złodziej zostawił podstawkę na miejscu i po prostu tak długo szarpał lustro, aż wyskoczyło z zawiasu kulkowego. Rozerwany zawias wyglądał jak świeża, poszarpana rana człowieka, któremu ktoś wyrwał ramię.

Próbowali pogwałcić wnętrze volvo, wielokrotnie wsadzając ostrze i próbując wyważyć małą trójkątną

szybkę w drzwiach, ale samochód dzielnie się trzymał. Wyrwali gumową uszczelkę u dołu okna po stronie kierowcy, lecz nie udało im się otworzyć zamka. Chcieli wybić szybę — drobna siateczka pęknięć, jak przygnana wiatrem pajęczyna, znaczyła okno po stronie pasażera. Próbowali też dostać się do baku — by ściągnąć benzynę, wsypać piasek, wrzucić zapalnik — ale choć zgnetli uderzeniami zamek od wlewu paliwa, to i tą drogą nie udało im się wdrzeć do środka. Starali się podważyć maskę, ale się nie dała. Kilka zębów kratownicy wbitych było do środka, jeden z nich tak długo odginali na zewnątrz, że w końcu pękł; sterczał przed samochodem, jakby volvo wyciągało przed sobą jakiś prymitywny bagnet.

70

71

I w ostatnim geście zemsty ci sfrustrowani gwałciciele, te pieprzone gnojki z Joliet — a może to byli jacyś goście motelowi, rozeźleni obcą tablicą rejestracyjną, może mieli coś przeciwko Yermontowi... chociaż wszystko jedno — w ostatnim, okrutnym i bezsensownym akcie pożegnania ktoś wziął jakieś narzędzie (korkociąg z noża myśliwskiego) i na jędrnej masce volvo wydłubał wyraz na cztery litery, zdzierając lakier, wycinając szramę w samej stali. Wypisał PIZDA.

— Pizda? — zawołał kierowca. Zakrył ranę dłonią. — Skurczybyki — krzyczał. — Świnie, brudni zbrodniecy! — darł się. W jego skrzydle motelu musiało spać co najmniej dwustu podróżnych. Koszarowe pokoje mieściły się na parterze i na piętrze z balkonem. — Tchórze! Samochodowe pedały! — wył kierowca. — Kto to zrobił? — Otworzyło się kilkoro drzwi na balkonie. Przestraszeni, nie całkiem rozbudzeni mężczyźni spoglądali w dół — jakaś kobieta terkotała im za plecami: — Kto to? Co się dzieje? — Pizda! — wykrzykiwał kierowca — Pizda!

— Stary, jest szósta rano — zamamrotał ktoś z parteru, szybko wycofał się do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Nie należy żartować z prawdziwej rozpacz. Gdyby kierowca był pijany lub zachowywał się po chamsku, ci wyrwani ze snu goście rozsmarowaliby go na chodniku. Ale on oszalał — to było widać — i nic nie można było na to poradzić.

— Fred, co się dzieje?

— Jakiś facet szaleje. Idź spać.

Kierowca dotknął naoliwionego zawiasu kulowego w miejscu, gdzie kiedyś było lustro. — Zobaczysz, nic ci nie będzie — powiedział. — Będziesz jak spod igły, nic się nie bój.

PIZDA! Ten nieprzyzwoity wyraz wryty w jego maskę był tak widoczny, że jakby go obnażał — jego grubiańska, lubieżna brzydota zawstydziała go. Widział Dereka Marshalla, jak zbliża się do jego żony: — Hej, podwieźć cię do domu?

— Już dobrze — powiedział kierowca do volvo przez ściśnięte gardło. — Już dobrze, już wystarczy. Zabieram cię do domu.

Delikatność kierowcy chwyciła za serce. Aż się wierzyć nie chce, że czasami można spotkać u ludzi tyle dyskrecji; niektórzy na balkonie rzeczywiście zamykali drzwi. Dłoń kierowcy przykryła słowo wryte na masce; z oczu ciekły mu łzy. Przebył taką drogę, aby porzucić żonę, a udało mu się tylko skrzywdzić swój samochód.

Ale nikt nie może dojechać aż do Joliet w Illinois i nie doznać pokusy zobaczenia Missisipi — głównego szlaku komunikacyjnego Środkowego Zachodu i bramy na prawdziwy Dzikie Zachód. Nie, nie było się na Zachodzie, jeśli nie przekroczyło się Missisipi; nigdy nie będziesz mógł powiedzieć, że byłeś „hen, tam”, póki nie dotkniesz ziemi Iowy. Jak się widziało Iowę, widziało się początek.

Kierowca o tym wiedział; błagał volvo, by pozwoliło mu choć na jeden rzut oka. — I zaraz zawrócimy. Obiecuję. Chcę ją tylko zobaczyć — mówił. — Missisipi. I Iowę... — Miał tam przecież zamiar pojechać. W ponurej ciszy volvo powiozło go przez Illinois: park Starved Rock, Wenonę, Mendotę, Henry, Kewanee, Geneseo, Rock Island i Moline. Przed wielkim mostem spinającym Missisipi, mostem, który wprowadza do Iowy, znajdował się obszerny parking dla potrzebujących wytchnienia podróżnych. Ach, Davenport, West Liberty i jezioro MacBride!

Ale teraz ich nie zobaczy; nie tym razem. Stał obok volvo i patrzył, jak toczą się przed nim herbaciane, szeroko rozlane wody Missisipi; dla kogoś, kto widział Atlantycką rzekę to nic nadzwyczajnego. Ale tam, za rzeką... tam była Iowa... i wyglądała całkiem inaczej niż Illinois! Widział pędzelki kukurydzy rozciągające się aż po horyzont, jak armia młodziutkich tancerek potrząsających pióropuszcami. Tam hodowano wielkie wieprze — to wiedział — ale musiał je sobie wyobrazić, bo po drugiej stronie Missisipi nie było widać żadnych stad wieprzy.

72

73

— Kiedyś... — powiedział kierowca, z odrobiną zadumy i obawy, że się nie sprawdzi. Odarte z czci volvo stało i czekało na niego; z wybitą kratownicą i słowem PIZDA skierowanym na wschód.

— Już dobrze, dobrze — powiedział kierowca.

Bądźcie zadowoleni nawet z tej odrobiny zmysłu orientacji, jaka wam przypadła w udziale. Weźcie pod uwagę, że ten kierowca mógł stracić orientację; w zamęcie wschodnio--zachodnich decyzji mógł skierować się na północ — wybierając nitkę prowadzącą na południe!

Raport Policji Stanowej Missouri Nr 459: „Czerwone volvo sedan, jadące w kierunku północnym pasmem z ruchem w kierunku południa, najwidoczniej cierpiało na brak zmysłu orientacji. Kierowca gruszki z cementem, która w nie uderzyła, był absolutnie pewien, że miał pierwszeństwo przejazdu na pasie mijania. W wyniku przeszukania wraku znaleziono numer telefonu. Kiedy skontaktowano się z żoną kierowcy, słuchawkę podniósł jakiś mężczyzna. Twierdził, że nazywa się Derek Marshall i że przekaże wiadomość żonie tego faceta, jak tylko ta się obudzi.”

Nie powinno nas to dziwić: mogło być gorzej.

Oczywiście, kłopoty dopiero nadejdą. Trzeba będzie bezpiecznie pokonać zjazdy na Sandusky, a kierowca czuł się co najmniej nieświeży. Tam leżało Ohio, czekając na niego jak te wszystkie lata małżeństwa, których jeszcze nie przeżył. Ale trzeba było pomyśleć jeszcze o volvo; tym volvo, które nigdy nie miało już dotrzeć do Yermontu. I będą jeszcze delikatne rozmowy z Derekiem Marshalllem; to na pewno. Często musimy stracić z oczu to, co dla nas najważniejsze, by to dostrzec.

Widział Missisipi i bujne, żyzne równiny rozciągające się po drugiej stronie. Któż zgadnie, jakie słodkie, ciemne tajemnice mogła odkryć przed nim Iowa? Nie mówiąc już o Nebrasce! Albo o Wyoming! Kierowcę rozboleło gardło. I nawet nie zauważył, że po raz drugi będzie musiał przejeżdżać przez Joliet, Illinois.

Powroty do domu są trudne. Lecz co w takim razie powiedzieć o przebywaniu poza domem?

W La Salle, Illinois, kierowca oddał volvo do przeglądu. Trzeba było umocować wycieraczki (wcześniej nawet nie zauważył, że zostały ukradzione), wstawić tymczasowo boczne lusterko i zasklepić ranę wyrytego PIZDA odrobiną gojącego podkładu antykorozyjnego. Volvo miało olej pod kreskę, ale kierowca odkrył, że wandale próbowali wcisnąć kamyki we wszystkie zawory powietrza, aby opony opróżniły się w czasie jazdy. Mechanik na stacji benzynowej musiał rozbić zamek na wlewie paliwa, by dać volvo choć odrobinę benzyny. Zużycie dziewięć przecinek dziewięć na sto — w obliczu trudności ten samochód to tygrys.

— W domu cię odmalujemy — powiedział kierowca do niego z ponurą miną. — Tylko wytrzymaj jeszcze trochę.

Była jeszcze przecież czarująca Indiana. Niektórzy mówią, że pewne rzeczy są „lepsze za drugim podejściem”. Jego małżeństwo wydało mu się jak niekończąca się wojna pomiędzy Ohio i Indianą — krucha równowaga sił, znaczone zawieranymi od czasu do czasu traktatami. Wciąganie do tego Iowy doprowadziłoby do gwałtownego zachwiania równowagi. A może pewnych mostów lepiej nie przekraczać? Średnia krajowa wynosi mniej niż czterdzieści tysięcy kilometrów przebiegu na jednym komplecie opon, a i to nie zawsze. On na volvo zrobił siedemdziesiąt siedem tysięcy siedemset jeden kilometrów; na oryginalnym komplecie opon.

Nie, mimo czarującego, odpływającego w dal obrazu przyszłości w Iowa, nie można prowadzić samochodu z oczami utkwionymi we wsteczne lusterko. I racja, w tej fazie podróży kierowca podjął mocne postanowienie wykonania skrętu na wschód. Ale trudno zachować poczucie godności. Wytrwałość trzeba ciągle w sobie pielęgnować. Powtórki nudzą. A za zbyt miękkie serce trzeba płacić.

74

75

Królestwo zmęczenia

Minna Barrett, lat pięćdziesiąt pięć, wyglądała dokładnie na swój wiek, a jej figura nie zdradzała w żaden sposób, jak mogła wyglądać „w swoim czasie.” Można było tylko założyć, że zawsze tak wyglądała — nieco wydłużona, delikatnie zaokrąglona, i choć wcale nie surowa, to prawie bezpłciowa. Miła stara panna od czasów szkoły podstawowej, schludna i cicha; bez nadmiernie surowego wyrazu twarzy czy nadmiernie zaciętych ust, ale z postawą, która teraz, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, odzwierciedlała historię licznych przypadków chłodu i konserwatywnego kroczenia własną drogą.

Minna zajmuje osobny pokój w bursie Kolegium Niższego dla Młodych Panien im. Fairchild, gdzie piastuje godność gospodyni małej, akademickiej stołówki, sprawując pieczę nad parooosobową załogą kuchni i odpowiadając za właściwy strój dziewcząt w czasie posiłków. Jej pokój ma prywatne wejście i prywatną łazienkę. Rano chroni go cień uniwersyteckich więzów i leży w odległości paru przecznic od Boston Common — nie tak daleko, by nie mogła zrobić tam sobie spaceru w ładny dzień. Pokój był dziwnie nie zagracony; dziwnie, bo w tym małym pokoiku trudno było *znaleźć* ślady dziewięciu lat życia, które w nim spędziła. Nie żeby miała czy chciała coś pokazywać; było to dla niej równie stałe

miejsce pobytu jak wszystkie inne, w których mieszkała od czasu opuszczenia rodzinnego domu. W pokoju był telewizor i Minna często nie spała do późna oglądając nocne filmy. Nigdy nie oglądała

76

programów cyklicznych; do jedenastej, gdy nadawali dziennik, czytała. Lubiła biografie, wołała je od autobiografii, bo własne opowieści ludzi o ich przeżyciach krępowały ją w niezrozumiały dla niej sposób. Miała szczególną skłonność do biografii kobiet, chociaż czytywała też Iana Fleminga. Kiedyś na przyjęciu dla absolwentek i członków rady nadzorczej szkoły ktoś, jakaś pani w lawendowym kostiumiku, która mówiła, że chciałyby poznać cały personel szkoły, dowiedziała się o jej zainteresowaniu biografiami. Lawendowa dama poleciła jej książkę Gertrudy Stein, którą Minna kupiła i nigdy nie skończyła. Nie było to coś, co Minna nazwałaby biografią, ale książka nie zgorszyła jej. Po prostu nie pozostawiła na niej żadnego śladu.

Tak więc Minna czyta do jedenastej, następnie ogląda dziennik i film. Załoga kuchni przychodzi wcześniej rano, ale Minna nie musi pojawiać się w jadalni, póki nie zjawią się tam dziewczęta. Po śniadaniu zabiera filiżankę kawy do swojego pokoju, a potem czasami ucina sobie drzemkę trwającą do lunchu. Również jej popołudnia są spokojne. Parę dziewcząt z akademika odwiedza ją od czasu do czasu o jedenastej, żeby obejrzeć dziennik wieczorny — do pokoju Minny jest również wejście od strony korytarza akademika. Dziewczęta przychodzą raczej obejrzeć telewizję, niż spotkać się z Minną, choć są bardzo uprzejme, a Minnę bawi obserwowanie, do jakiego stopnia nieubrane pojawiają się o tej porze. Kiedyś interesowało je, jak długie byłyby włosy Minny, gdyby opuściła je luźno na plecy. Spełniła ich prośbę, rozkręcając i rozwijając swe długie, siwe włosy — trochę sztywne, ale opadające jej do bioder. Dziewczęta były pod wrażeniem ich grubości i mięsistości; jedna z nich, z włosami prawie tak długimi jak Minny, zaproponowała, by ta nosiła je zaplecione w warkocz. Następnego wieczoru dziewczęta przyniosły pomarańczową wstążkę i zaplotły jej warkocz. Minna była pokornie zadowolona, ale powiedziała, że w żaden sposób nie mogłaby chodzić z tak upiętymi włosami. Może miałyby i na to ochotę, tym bardziej, że dziewczęta tak ją podziwiała, ale

77

byłaby to zbyt wielka rewolucja, zmieniać uczesanie z ciasno zwiniętego koka, który przez tyle lat nosiła. Po wyjściu dziewcząt, po filmie, Minna zwykle siada na łóżku myśląc o przejściu na emeryturę. Przychodzi jej na myśl gospodarstwo, w którym wyrosła, w South Byfield. Jeśli myślała o nim z jakąś nostalgią, nie była tego świadoma; myślała tylko o rym, o ileż spokojniejsza jest jej praca w szkole, o ileż łatwiejsza, niż życie na farmie. Mieszka tam teraz jej młodszy brat, a za kilka lat ona sama wróci na farmę i zamieszka z jego rodziną, przywożąc ładną sumkę, którą wraz z sobą powierzy braterskiej opiece. Nie dalej jak w zesze Boże Narodzenie odwiedziła jego rodzinę, a oni pytali ją, kiedy sprowadzi się na dobre. Zanim poczuje, że czas, by się przeprowadziła, za jakiś rok czy dwa, nie wszystkie dzieci brata zdążą już dorosnąć, więc będzie miała co robić. Nikt, oczywiście, nie uzna jej za niepotrzebny ciężar.

Myśli o South Byfield, o przeszłości i przyszłości — po dzienniku, po filmie — i w danym momencie nie czuje żadnego żalu do chwili obecnej. Nie trapią jej żadne wspomnienia bolesnej straty rozstania czy niepowodzenia. Miała przyjaciół w South Byfield, którzy się pożenili lub po prostu zostali, kiedy ona spokojnie przeprowadziła się o trzydzieści mil dalej, do Bostonu; jej matka umarła, cicho i pokornie, ale nie było nic, czego brak sprawiałby jej jakiś szczególny ból. Nie uważa się za osobę, której szczególnie śpieszy się do emerytury, chociaż oczekuje chwili, kiedy stanie się częścią zdrowej rodziny swojego brata. Nie mogłaby powiedzieć, że w Bostonie ma wielu przyjaciół, ale dla Minny przyjaciółmi zawsze byli ludzie mili, znani i kojarzący się z regularnymi epizodami w jej życiu; nigdy nie byli to ludzie, z którymi była związana szczególnymi więzami emocjonalnymi. Teraz na przykład jest tu kucharz, Flynn, Irlandczyk z pokaźną rodziną w południowym Bostonie, który żali się Minnie na mieszkania w Bostonie, na bostoński ruch, bostońską korupcję, bostońskie to-i-tamto. Minna niewiele na ten temat wie, ale słucha go z przyjemnością; jego przekleństwa przypominają jej ojca. Minna

sama nie przeklina, ale nie uważa przeklinania w wykonaniu Flynna za nieprzyjemne. Ma taki sposób przemawiania do przedmiotów, że Minna czuje, iż te jego przekleństwa odnoszą skutek. Codzienne boje z automatem do kawy nieodmiennie wygrywa Flynn, który po długich i groźnych przekleństwach pod jego adresem, ostrych potrąceniach i gwałtownych groźbach rozebrania tego tałałajstwa na części, wychodzi z nich zwycięsko. Jego ożywione obelgi wydają się Minnie konstruktywne, tak jak okrzyki ojca, które w zimowe miesiące zmuszały traktor do wystartowania, więc Minna uważa, że Flynn jest miły.

Poza tym była tam pani Elwood, wdowa, o zmarszczkach na twarzy głębszych niż u Minny — bruzdach, które poruszały się jak gumowe ściągacze, jakby jej podbródek był na nich zawieszony. Pani Elwood jest akademikową matką, mówi z brytyjskim akcentem; dobrze wiadomo, że pochodzi z Bostonu, ale po ukończeniu college'u spędziła jedno lato w Anglii. Podobno szampańsko się bawiła. Minna zawsze mówi pani Elwood, kiedy ma być nocny film z Alekiem Guinnessem i pani Elwood przychodzi, dyskretnie, po

wiadomościach, kiedy dziewczęta wrócą już do swoich pokoi. Często mija ponad połowa filmu, zanim pani Elwood przypomni sobie, czy już go widziała.

— Musiałam obejrzeć już chyba wszystkie — mówi pani Elwood.

— Zawsze uciekają mi te, które puszczaają na Boże Narodzenie — odpowiada Minna. — U brata zwykle grywamy wtedy w karty lub przyjmujemy gości.

— Naprawdę, Minno — mówi pani Elwood — powinnaś częściej wychodzić.

No i jest też Angelo Giannini. Angelo jest bladej i drobny, mężczyzna czy może chłopiec o zaskoczonyj twarzy i szarych oczach, które są jedynie trochę ciemniejsze od jego karnacji, i nic poza nazwiskiem nie wskazuje, by był Włochem. Gdyby miał na imię Cuthbert albo Cadwallader, niczego by to nie sugerowało. Gdyby był jakimś Devereaux albo Hunt-Jonesem, nie byłoby tego widać w jego niezdarnym, zażenowanym ciele — wyczekującym

78

79

z przerażeniem najdrobniejszego spięcia, i za każdym razem reagującym utratą języka w gębie. Angelo równie dobrze mógłby mieć dwadzieścia, jak trzydzieści lat; mieszka w suterenie akademika, obok schowka dozorca. Czyści popielniczki, zmywa naczynia, nakrywa i sprząta ze stołu, zmiata; robi to, gdy tylko jest potrzebny, a gdy go poproszą i dokładnie wyjaśnią mu parę razy, jak ma to zrobić, wykonuje też inne, bardziej skomplikowane zadania. Jest nadzwyczaj łagodny, a w stosunku do Minny zachowuje się z dziwną mieszaniną najgłębszego szacunku — czasami nazywając ją nawet „panną Minną” — i dziwnych, nieśmiałyj, zalotnyj gestów autentycznego uczucia. Minna lubi Angela: jest w stosunku do niego czuła i radosna, tak jak w stosunku do dzieci brata, i dostrzega w nim wszystko, co mogłoby niepokoić. Czuje, że Angelo stoi na niepewnym gruncie, i że w każdej chwili jego proste, delikatne życie — pozbawione ochrony, jak sądzi — może być narażone na najokrutniejszą z krzywd. Krzywdy nie mają imion, ale Minna potrafi sobie wyobrazić ten legion cierpień czyhających na Angela, który żyje jak na kruchym lodzie, bez fałszu, w izolowanym świecie dobroci i ufności. Chciałaby chronić Angela, chciałaby go uczyć, choć jego cierpienia jawią się jej jakoś bardzo mgliście: nie może sobie przypomnieć żadnej wielkiej krzywdy, żadnej wielkiej, groźnej i niszczącej siły, która kiedykolwiek wisiałaby nad nią. A mimo to boi się, że coś takiego może przytrafić się Angelowi, więc opowiada mu swoje pouczające historyjki, za każdym razem kończąc przysłowiem (jednym z tych, które wycina z gazet i przypina szarą pinezką do grubych kart jej albumu z fotografiami; jedna zbrazowała fotografia rodziców w skamieniałyj pozach i jedna kolorowa fotografia dzieci brata). Sama tworzy historyjki, które opowiada; nie mają wstępu, miejsca ani czasu, nawet imion bohaterów, i z pewnością nie ma w nich ani krzty jej własnego zaangażowania, które może by i w tej chwili odczuwała, może jeszcze pamiętała — może — gdyby Minna była w stanie zapamiętać cokolwiek wraz z jego barwą uczuciową lub gdyby cokolwiek mogło ją dotknąć osobiście. Przysłowia sięgały

80

od „Rozum bez cnoty — miecz w ręku szalonego” po cały rój aforyzmów sławiących kompromis.

Niebezpiecznie ufać za dużo, wierzyć za dużo. Angelo potakuje jej radom; często solenna powaga jakby murowała mu oczy, zatrzymywała w pół ruchu usta, póki Minna, zaniepokojona bolesną koncentracją Angela, nie powie mu (tak na marginesie), by nie brał wszystkiego, co ktoś mówi, aż tak poważnie. To wprawia Angelo w jeszcze większe zakłopotanie, co widząc, Minna zmienia temat na mniej poważny.

— I wiesz, któregoś dnia — mówi — dziewczęta przekonywały mnie, żebym nosiła włosy związane w warkocz, długi warkocz.

— Fajnie by pani wyglądała — mówi jej Angelo.

— Ale, wiesz, Angelo, jakoś nie byłoby właściwe zmieniać uczesanie po tylu latach.

— Powinna pani robić, co uznaje pani za stosowne, panno Minno — mówi Angelo, a Minnie nie starcza sił, by przerwać tę przeszywającą i niebezpieczną dobroć, którą Angelo wszystkich otacza, obarczając ich ciężarem odkrytego serca, z którym mogą robić, co im się podoba. — Ach — myśli Minna — już czas, żebyśmy oboje wzięli się do roboty.

Minna nie skarży się na swoją pracę. Poprosiła o kobietę do pomocy, o dodatkową gospodynię do jadalni — tak aby gdy ma wolne, w poniedziałki, dziewczęta i obsługa kuchni nie czuły się samotne.

Najwidoczniej jednak nikomu prośba nie wydała się zbyt ważna. Pani Elwood uznała, że to wspaniały pomysł i że porozmawia z dyrektorem do spraw mieszkaniowych. A później, gdy Minna ją o to zapytała, pani Elwood powiedziała, że uznała, iż będzie lepiej, jeśli Minna sama porozmawia z dyrektorem albo kimś takim. Minna napisała do dyrektora, wiele tygodni temu, i nie dostała odpowiedzi. To przecież nie jest aż tak ważne, myślała, więc nie ma co narzekać. Byłoby, co prawda, przyjemnie mieć do pomocy jakąś kobietę, dojrzałą, oczywiście, z doświadczeniem w wychowywaniu młodych panienek. W akademiku jest nawet dla niej dodatkowy pokój, gdyby kolegium znalazło kobietę, która chciałaby mieć

81

własny pokój — w końcu pokój za darmo, i to tak bezpieczny, jak tylko można by sobie życzyć. Byłoby miło mieć kogoś takiego, ale Minna nie nalega. Z przyjemnością poczeka.

Pierwsze znużone kaczkę łączyły w kółko, gdy Minna, w dzień wolny od pracy, szła powoli przez Boston Common. Idąc to okręcała się chustą, to znów pozwalała jej zwisać swobodnie z ramion, na przemian drząc z zimna lub grzejąc się w słońcu i przyglądając się optymistom w koszulach z krótkimi rękawami z zimnej indyjskiej bawełny. Kilka dzikich kaczek człapało majestatycznie z niezgrabną, zadziwioną godnością człowieka, który został publicznie znieważony na dużym przyjęciu pełnym obcych ludzi. Robiące wiosenne zakupy matki z okutanymi jak na zimę dziećmi, smagane ostrymi podmuchami wiatru, przystawały, by znaleźć coś dla kaczek. Dzieci za daleko się wychylały, wchodziły w kałuże, dostawały burę, starały się nadażyć za wyciągniętą ręką i spoglądały przez ramię na unoszące się na wodzie kawałki chleba i obojętne na wszystko ptaki. Późną wiosną kaczki będą już umiały się zachować, ale teraz, tak krótko po rozpoczęciu beznadziejnej walki o zachowanie intymności, za nic nie zjadłyby czegokolwiek wiedząc, że ktoś na nie patrzy. Starsi panowie w całorocznych płaszczach, ściskający pod pachą gazety i szorstkie bochenki żydowskiego chleba, ciskali w kaczki ciężkimi ułomkami — ostrożnie sprawdzali, czy ktoś zauważył, że kawałki były za duże (miały kaczkę trafić i zatopić). Minna wyniośle ignorowała ich osłabłe ramiona i brak celu. Nie została tu długo; zeszła z Common w Boylston Street. Obejrzała wystawę u Shreve'a, grzejąc się w blasku eleganckich kryształów i srebra, i zastanawiając się, co wyglądałoby najładniej na stole jej brata. Za rogiem był Schraft. Zjadła tam skromny lunch. Przed restauracją zastanawiała się przez chwilę, co teraz zrobić: dochodziła druga, a pogoda była niezdecydowana, jak to w marcu. Wtedy zobaczyła dziewczynę wychodzącą od Shreve'a. Dziewczyna uśmiechnęła się do Minny: dzinsowa spódniczka powyżej kolan, sandały, zielony sweter pod szyję, niewątpliwie należący do jakiegoś chłopca. Sweter zwisał jej na biodrach,

a rękawy, podwinięte i wypchane w miejscu, gdzie zapewne znajdowały się łokcie chłopaka, falowały jak wielkie podgardle bawołu przy każdym ruchu jej szczupłych nadgarstków. Zawołała: — Cześć, Minna — i Minna poznała ją: była to jedna z dziewcząt, które przychodziły oglądać dziennik w jej pokoju. Nie pamiętając imienia, imiona zawsze sprawiały jej kłopot, Minna nazwała ją „Kochana”. Kochana jechała do Cambridge, metrem, i chciała wiedzieć, czy Minna nie pojechałaby z nią połączyć trochę po sklepach. Pojechały razem. Minna, bardzo zadowolona, spostrzegła, jak ludzie w metrze spoglądali na nią; czy myśleli, że jest jej babcią, a może nawet matką? Posyłali jej uśmiechy, bo miała taką ładną towarzyszkę, a Minna czuła się, jakby jej gratulowano. W Cambridge wstąpiły do nadzwyczajnych małych delikatesów, gdzie Minna kupiła kilka puszek egzotycznych dań, z nalepkami w jakimś obcym języku, oklejonych wykwinnymi znaczkami. Było to jak prezent od wymyślonego wujka, wielkiego podróżnika, poszukiwacza przygód. W sklepie pełnym kurzu, skrzyń po pomarańczach, markiz oraz szerniałej i powyginanej cyny, Minna kupiła srebrny widelec do przekąsek, który, jak powiedziała jej Kochana, będzie najlepiej pasował do egzotycznych potraw. Dziewczyna była bardzo uprzejma, tak uprzejma, że Minna wyczuła, iż inne dziewczyny muszą niezbyt ją lubić. O czwartej dzień znowu zrobił się posępny i zimny, więc poszły na jakiś zagraniczny film w kinie przy Brattle Square. Musiały usiąść bardzo blisko ekranu, bo Minna miała trudności z czytaniem dialogów. Minnę krępował fakt, że Kochana oglądała taki film, ale później dziewczyna mówiła

0 nim z takim znanstwem i powagą, że Minnie nieco ulżyło. Po filmie zjadły przyjemny obiad — ciemne piwo, kwaszoną kapustę i faszerowaną paprykę — w niemieckiej restauracji zaproponowanej przez dziewczynę. Powiedziała, że nie podaliby piwa, gdyby nie było z nią Minny. Było już dobrze po zmierzchu, kiedy wróciły do akademika i Minna powiedziała dziewczynie, że był to wspaniały dzień. Z siateczką pełną śmiesznych potraw

1 widełcem do zakąsek, z przyjemnym uczuciem zmęczenia,

82

83

Minna wróciła do pokoju. Choć była dopiero dziewiąta, poczuła, że mogłaby pójść spać natychmiast. Ale gdy delikatnie stawiała siatkę na biurku, zobaczyła dziwną beżową teczkę do akt z przyczepioną karteczką. Kartkę napisała pani Elwood.

Droga Minno, zostawiam ci to w twoim pokoju dziś po południu. Dyrektor d/s akademików zadzwonił do mnie dziś rano, aby powiedzieć, że znalazł ci pomocnicę, drugą gospodynię do jadalni, i to z doświadczeniem. Dyrektor powiedział, że ją nam przysyła. Ponieważ cię nie było, oprowadziłam ją po budynku i umieściłam w jej pokoju — trochę szkoda, że musi używać tej samej łazienki, co dziewczęta z tego piętra, ale wydawała się całkiem zadowolona. Jest bardzo atrakcyjna — chyba spodobała się Angelo — i powiedziałam jej, że ty zajmiesz się wszystkim jutro rano. Jeśli byś chciała zobaczyć się z nią jeszcze dzisiaj, to powiedziała, że jest zmęczona, i że będzie w swoim pokoju.

A więc, pomyślała Minna, w końcu mi kogoś znaleźli. Nie miała pojęcia, co mogłaby zawierać teczka, i otwierając ją delikatnie, zobaczyła, że był tam duplikat podania o pracę. Przeglądając je czuła się trochę nieswojo — wydawało się dokumentem tak osobistym — ale jej oczy powędrowały do siatki pełnej światowych potraw i to w jakiś sposób dodało jej odwagi, by przeczytać podanie. Nazywała się Celesta i miała czterdzieści jeden lat. Posiadała duże doświadczenie w „obsługiwaniu stołu”, była wychowawczynią na obozie dla dziewcząt i pochodziła z Heron's Neck w Maine — gdzie jej brat prowadził teraz letni zajazd dla turystów. Ona też w nim pracowała. Zajazd należał kiedyś do jej rodziców. Brzmi całkiem dobrze, pomyślała Minna i zapomniała o swoim zmęczeniu. Zaczęła się krzątać — ustawiła z dumą puszczerki śmiesznych potraw na półce wiszącej nad biurkiem. Następnie sprawdziła program telewizyjny, czy przypadkiem w nocnym programie nie dają filmu z Alekiem Guinnessem. Pani Elwood chciała by to wiedzieć, a ta nowa kobieta też mogła czuć się samotna. No i patrz, tego ekscytującego dnia faktycznie dawali film z Guinnessem. Minna otworzyła drzwi na korytarz akademika

i nucąc pod nosem poszła do pokoju Celesty. Myślała o swoim kończącym się, wspaniałym dniu. Żałowała tylko, że nie знаła imienia Kochanej, ale o to zapyta panią Elwood. Minna zapukała cicho do drzwi Celesty i usłyszała, albo zdawało jej się, że usłyszała, wymruczane „Proszę”. Otworzyła drzwi, zawahawszy się na progu, bo pokój był pogrążony w ciemności — absolutnej ciemności, z wyjątkiem trzymającej się na niepewnej nóżce lampie na biurku, która kierowała swoje słabe światło na siedzenie stojącego obok krzesła. Pokój, jak większość narożnych pomieszczeń w akademiku, nie był ani kwadratowy, ani nawet prostokątny. Wszelka symetria wyglądała tu na przypadek. Było pięć rogów, w których sufit spływał prawie do podłogi, i kilka alków naprzeciw rogów. W jednej z tych nisz znajdowało się łóżko czy raczej prycza, a Minna zauważyła, że ktoś próbował zrobić coś, żeby odgrodzić łóżko od reszty pokoju. Z gzymsu zwieszał się ciężki purpurowy koc, rozwieszony tak, by odgrodzić alkowę od reszty pokoju. Minna spostrzegła, że koc się poruszył i domyśliła się, że okno znajdujące się nad łóżkiem było otwarte. W ogóle pokój był jakby pełen wiatru i chłodu wczesnego wieczoru. Mimo to, czuąc w nim było woń ciężkiego piżma, pełny jak zapach kawy, który, o dziwo, przywiódł jej na myśl pewien późny wieczór zeszłego lata, kiedy pojechali z bratem do Bostonu i poszli do teatru. Wracali metrem, sami, kiedy do przedziału weszła masywna Murzynka w strojonej, kwiecistej sukni i usiadła o kilka ławek dalej. Murzynka wniosła ze sobą woń rześkiego deszczu, wilgotnych podziemi i nagle przedział wypełnił się przyjemnym zapachem — zapachem gorącego dnia w ziemnej piwnicy, zamkniętej na całą zimę, wypełnionej słodkimi ziemniakami i marynowaną fasolą. Minna szepnęła — Celesta? — Usłyszała jeszcze jeden szmer spoza szkarłatnego koca i znowu poczuła zapach, teraz jakoś podniecający i zły. Delikatnie odchyliła róg koca: mdłe światło małej lampy na biurku wydobyło z mroku długie, duże ciało Celesty pogrążone w dziwnym śnie. Poduszka leżała pod łopatkami, co odchyliło jej głowę do tyłu i wyciągało

84

85

długą, pełną gracji szyję — delikatną, a mimo to muskularną,

o czym świadczyły nabrzmiałe ścięgna dochodzące do obojczyków

1 kości klatki piersiowej — Minna widziała to nawet w tym słabym świetle. Piersi miała twarde, pełne, ale nie obwisłe. Minna dojrzała, widząc tylko piersi, że Celesta była naga. Biodra miała szerokie, pośrodku miednicy tworzyły się symetryczne, płytkie wklęsnięcia, ale pomimo pewnej ciężkości każdej części ciała — silnej, wiejskiej ciężkości kostek, toczzonej gładkości ud — długość jej ciała, niewiarygodna długość nóg sprawiała, że wydawała się prawie wiotka. Minna przemówiła do niej ponownie, tym razem głośniejsze, a następnie, gdy tylko usłyszała własny głos, pożałowała, że w ogóle cokolwiek powiedziała, myśląc: „Jakżeby to było straszne, gdyby ta biedna kobieta zbudziła się i zobaczyła mnie tutaj.” Mimo to Minna nie odeszła. To straszne ciało — straszne w jego intymnej obietnicy siły i ruchu — przykuło Minnę do miejsca. Celesta zaczęła się poruszać, odrobinę — najpierw ręce. Szerokie, płaskie palce zgięły się, dłonie zwinęły w pucharki, jakby chciały schować drobne, ranne zwierzątko. Następnie ręce zwróciły się dłońmi ku pościeli, a palce zaczęły szczytać zagięcia i fałdy prześcieradła. Minna chciała wyciągnąć rękę i uspokoić te dłonie, bojąc się, że mogą obudzić Celestę, ale jej własne dłonie, całe ciało, było jakby zeszywniałe. Celesta obróciła się na bok, wygięła kark, a dłonie spadły z cichym kłasnieniem na jej szeroki brzuch. Najpierw lekko i powoli, a później z większą siłą i naciskiem, Celesta pocierała sobie brzuch środkiem dłoni. Dłonie przesunęły się do płytkiego zagłębienia pomiędzy kośćmi biodrowymi i zaczęły rolować luźną jak na szczeniaku skórę; pociągnęły ku dołowi skórę z bioder, ześliznęły się po nich, wsunęły pod uda, w górę pod pośladki, aż do zagłębienia powyżej. Celesta uniosła się, znów wygięła grzbiet, tylko wyżej; powrozy na szyi znów jej stężały, zaczerwienione od wysiłku, a jej usta, jeszcze chwilę temu bez życia — uniosły się w kącikach w bezsensownym uśmiechu. Celesta otworzyła oczy, mrugnęła, nie zobaczyła niczego (Minna widziała tylko białka) i zamknęła je z powrotem. Całe jej ciało miękko się odprężyło,

zdawało się głębiej zapadać w materac i pograżyło w głębszym śnie; długie, spokojne dłonie spoczywały lekko pomiędzy udami. Minna wycofała się z alkowy, zauważyła lampę na biurku i zgasiła ją. Następnie wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi, by nie stuknęły.

W jej pokoju znad biurka uśmiechały się do niej kolorowe puszeki radosnych potraw. Minna usiadła i popatrzyła na nie. Czuła się dziwnie wyczerpana, a byłoby tak miło, gdyby pani Elwood i Celesta wpadły do niej na film i poczęstunek — wykwinny — z puszek. No, ale wtedy nie dla wszystkich starczyłoby widelców do przekąsek. Nawet gdyby pani Elwood przyszła sama, nie byłoby dla niej widelca. I, pomyślała Minna, nie mam otwieracza do konserw. Musiałaby również powiedzieć pani Elwood o filmie i znowu poczuła się dziwnie wyczerpana, i nie ruszyła się z miejsca. Celesta, pomyślała Minna, rzeczywiście wygląda na mniej niż czterdzieści jeden lat. To prawda, światło było słabe, a we śnie zmarszczki wokół oczu zawsze łagodnieją i wygładzają się. Ale przecież ona tak naprawdę nie spała. I nie wyglądało to na marzenie senne. I jak czarne ma włosy! Może sobie farbuje. Biedactwo, musiała być bardzo zmęczona albo zdenerwowana. Mimo to Minny nie opuszczało uczucie zażenowania. Było to trochę jak czytanie czyjejś autobiografii. Dla Minny zażenowanie to uogólnione uczucie, którego doznawała w odniesieniu do innych, prawie nigdy do siebie; chyba nie ma różnych rodzajów zażenowania, a stopień, w którym Minna je czuła, można było mierzyć tylko czasem jego odczuwania.

No, ale było jeszcze tyle *rzeczy* do zrobienia i lepiej, żeby się do nich zabrała. Najpierw pani Elwood i film. Drugi widelec i otwieracz do puszek. Spyta panią Elwood o tę Kochaną i dowie się, jak ma na imię. Ale pani Elwood z pewnością spyta ją o Celestę, czy już się z nią widziała — i co wtedy powie? No, oczywiście, poszła się z nią przywitać, ale ta biedna kobiecina już spała. Wtedy Celesta dowie się, że Minna tam była; i ta lampa na biurku — nie powinna była jej gasić. Powinna zostawić

86

87

wszystko tak, jak było. Przez moment Minna myślała w panice, że powinna wrócić do pokoju Celesty i zapalić lampę. I wtedy pomyślała: — Co za bzdury! — przecież Celesta spała, nie była świadoma niczego co Minna widziała. Z wyjątkiem, oczywiście, tego, że była naga; z pewnością będzie pamiętać, że była naga. No i co z tego? Celeście nie będzie to przeszkadzało. I Minna zdała sobie sprawę, że myślała tak, jakby już знаła Celestę; nie mogła uwolnić się od tej myśli. Z jednej strony zdawało jej się, że znała Celestę, a z drugiej, że to głupie tak myśleć. Dla Minny znać kogoś oznaczało długą, nie spieszną zażyłość. Na przykład dziewczyna, z którą spędziła tak miłe popołudnie — wcale jej nie znała.

Znowu, radośnie, powitały ją puszeki nad biurkiem. Ale przyszło też to dziwne wyczerpanie. Jeśli nie powie pani Elwood o filmie, będzie mogła pójść spać od razu; oczywiście, na drzwiach musiałaby się *znaleźć* kartka: „Dziś nie ma dziennika”. Ale myśl

o spaniu nie była tym, czego domagało się jej wyczerpanie; wprost przeciwnie — pójście do łóżka absolutnie nie wchodziło w grę. Filmy z Alekiem Guinnessem sprawiają taką radość pani Elwood. „Ale jak w ogóle mogę o tym myśleć”, zastanawiała się Minna. Znowu popatrzyła na puszeki i coś w zagraniczności tych małych nalepek odstręczyło ją. Ktoś zapukał do drzwi — dwa stuknięcia — i Minna podskoczyła — jak gdyby uderzyło ją to uczucie, przyłapano ją na czymś niegodziwym.

— Minna? Minna, jesteś tam? — To była pani Elwood. Minna otworzyła drzwi, zbyt wolno, zbyt ostrożnie i zobaczyła zdziwioną twarz pani Elwood.

— Na Boga, Minno, już śpisz?

— Ależ nie — zawołała Minna.

Pani Elwood weszła i zauważyła — Boże, jak tu ciemno! —

1 Minna spostrzegła, że nie zapaliła górnych świateł. Włączona była tylko lampa na biurku — samotny, wąty promień światła padający na barokowe puszeki.

— O, co to? — spytała pani Elwood, podchodząc ostrożnie do biurka.

— Miałam wspaniałe popołudnie — powiedziała Minna.

— Spotkałam w mieście jedną z dziewcząt i pojechaliśmy do Cambridge na zakupy i poszliśmy do kina, i jadliśmy w takiej niemieckiej restauracji. Właśnie wróciłam. Może ze dwadzieścia minut temu.

— Chyba raczej więcej niż dwadzieścia minut temu — powiedziała pani Elwood. — Widziałam, jak wracałyście.

— Więc ją pani widziała? Jak ona ma na imię?

— Spędziłaś z nią całe popołudnie i nie wiesz, jak ma na imię?

— No, oczywiście, powinnam wiedzieć. Ogląda tu telewizję. Ale jakoś głupio było mi ją spytać.

— Boże, Minno! — powiedziała pani Elwood. — Ta dziewczyna to Molly Cabot i spędza chyba więcej czasu na zakupach i w kinie niż na zajęciach.

— Och, dla mnie była bardzo miła — powiedziała Minna.

— Nie myślałam o jej zajęciach, była taka słodka. Choć wydawała mi się samotna. Nie ma chyba kłopotów?

— A, kłopotów — powtórzyła pani Elwood, obracając w dłoniach dziwną puszkę, badając nalepkę i stawiając na powrót w rzędzie z grymasem potępienia. — Chyba będzie je miała, jeśli nie zaczniesz chodzić na zajęcia.

— Och, tak mi przykro — powiedziała Minna. — Była bardzo miła. Spędziłam wspaniały dzień.

— No — powiedziała pani Elwood ze zdecydowaniem w głosie — może nie będzie miała kłopotów, jeśli się weźmie w garść.

Minna przytaknęła zmartwiona, żalując, że nie może jakoś pomóc. Pani Elwood dalej przyglądała się puszkom, a Minna miała nadzieję, że nie zauważy zbytowego widelca do przekąsek.

— Co w nich jest? — spytała pani Elwood, trzymając kolejną puszkę w pulchnej dłoni.

— To delikatesy z obcych krajów. Molly mówiła, że są bardzo dobre.

88

89

— Nigdy nie kupuję nic do jedzenia, jeśli nie wiem, co to jest — powiedziała pani Elwood. — Boże, przecież to może być nieczyste! To może być z Włoch czy podobnego kraju!

— Och, po prostu spodobały mi się — powiedziała Minna, a znajome wyczerpanie zdawało się sprowadzać odrętwienie na całe jej ciało i mowę. — To był miły sposób spędzenia popołudnia

— powiedziała cicho i coś gorzkiego w jej głosie zdziwiło ją, zdziwiło też panią Elwood, sprowadzając niepokojącą ciszę do małego pokoiku.

— Jesteś chyba bardzo zmęczona — powiedziała pani Elwood. — Wywiesz karteczkę dla dziewcząt, a ty idź spać. — Zdecydowanie w jej głosie zdawało się tak idealnie uzupełniać zmęczenie Minny, że nie było sensu protestować. Minna nawet nie wspomniała o filmie z Alekiem Guinnessem.

Ale we śnie męczyły ją jakieś niewyraźne majaki, jakby w zмовie z dochodzącymi z korytarza szmerami — prawdopodobnie były to dziewczęta, które przysły obejrzeć wiadomości i zdziwione szurały nogami czytając kartkę na drzwiach. Minna była pewna, że Celesta, wciąż strasznie naga i olbrzymia, otoczona groteskowymi karłami — jak ci okropni ludzie-slimaki i ludzie-ryby, prymitywne skorupiaki z epoki sylurskiej, wyłaniające się jak koszmary z obrazu Breughela czy Boscha — była w pokoju. Potem się zbudziła, czując ciężar zmęczonych dłoni na biodrach, pełna odrazy do własnego dotyku. Położyła się z powrotem, z rękami wyciągniętymi wzdłuż brzegów łóżka, z palcami wepchniętymi pod materac, jakby była przywiązana do stołu tortur. Gdyby zjadła zawartość którejs z tych dziwnych puszek, a przecież nie jadła, temu właśnie przypisałaby swoje koszmary. Ale w tej sytuacji, niewytłumaczalnej, ten sen pełen koszmarów wydał jej się *rzeczą* zastanawiającą.

Jeśli Minna miewała jakieś przebliski zażenowania, jakieś trwalsze wątpliwości co do Celesty, to było to całkiem niewidoczne. Jeśli była zazdrosna o naturalną żywotność Celesty

— jej natychmiastową zażyłość z dziewczętami, z mrukliwym Flynnem, a szczególnie z Angelem — była tego całkiem

nieświadoma. A tak naprawdę, dopiero w kilka tygodni po tej pierwszej, okropnej nocy Minna przypomniała sobie, że pani Elwood nawet nie spytała jej, czy widziała się z Celesta. Poza tym Minna miała okazję do częstszych spotkań z Molly Cabot — czuła się do nich zobowiązana, do nieśmiałego matkowania jej; a poczucie obowiązku w żaden sposób nie zmniejszało przyjemności, jaką odczuwała w towarzystwie Molly. Radowała ją nieśmiała, ukradkowa bliskość dni spędzanych z tą dziewczyną. A im częściej się z nią widywała, tym rzadziej widywała się z Angelem — nie żeby przestała się nim przejmować. Angelo, jak ujęła to pani Elwood, był „pod znacznym urokiem” Celesty. Przynosił jej kwiaty — kosztowne, krzykliwe i pozbawione smaku kwiaty, których nie można było ukraść z kwietników Boston Common, a trzeba było kupić. Celesta odbierała też inne, mniej otwarte dowody admiracji. Dziewczęta mogły przyprowadzać swoich chłopaków na lunch, a Celesta była przez nich co najmniej zauważana.

Rzucali na nią bynajmniej nie przelotne, lecz wnikliwie, wyważone spojrzenia, jakimi obdarzał ją również Flynn, gdy tylko odwracała się do niego plecami — ponuro i ukradkiem obserwujący ją spoza garnków i stołów. Minna, jeśli w ogóle zwracała na to uwagę, uważała zachowanie takie za nie przystojące Flynnowi, a ze strony chłopców za wprost niegrzeczne. Jeśli martwiła się adoracją okazywaną Celeście przez Angela, to tylko jako jeszcze jednym przykładem odsłaniania się chłopca na ciosy. Celesta z pewnością nie stanowiła żadnego zagrożenia dla Angela. On, jak dotychczas, sam dla siebie stanowił zagrożenie.

W stosunkach z Celesta Minna była zupełnie nieskrępowana. W ciągu dwu miesięcy Celesta całkowicie się zadomowiła; była wesoła, trochę rozchukana i zawsze miła. Na dziewczętach najwyraźniej robiła spore wrażenie albo były zazdrosne o to, co Molly nazwała „urokiem kobiet Modiglianiego”, a Flynn zdawał się czerpać wiele przyjemności ze swych ponurych obserwacji. Pani Elwood uważała Celestę za osobę czarującą, choć czasami zanadto odważną. Minna ją lubiła.

W czerwcu, gdy do końca semestru pozostało już tylko kilka tygodni zajęć, Celesta kupiła stary samochód — powgniatanego weterana bostońskiego ruchu ulicznego. Kiedyś podwiozła Minnę i Molly Cabot do Cambridge na popołudniowe zakupy. Samochód czuć było olejkami do opalania i papierosami, i jak zauważyła Minna, dziwnym, ciężkim, przesyconym piżmem zapachem zakrytych przed kurzem mebli w nieużywanym domku letniskowym. Celesta prowadziła jak mężczyzna, z jedną ręką wystawioną za okno, zdecydowanymi pociągnięciami kierownicą, z przyjemnością schodziła z trzeciego na drugi bieg, chętnie konkurując z taksówkarzami. Samochód męczył się i kołatał przy gwałtowniejszych przyspieszeniach; Celesta wyjaśniła, że gaźnik był brudny albo rozregulowany. Minna i Molly kiwnęły głowami z zakłopotanym szacunkiem. Celesta spędzała wolne dni na Revere Beach; zafundowała sobie ładną opaleniznę, ale narzekała na „sikowatą” wodę. Był to okres pełen aktywności i zabiegania.

Czerwiec sprowadził na dziewczęta jakąś niecierpliwość, a na Flynna, który zawsze wspaniale się poccił i najbardziej cierpiał w czasie tych wczesnych i długich bostońskich upałów, jakąś irytację. Minna przyzwyczała się do upałów: zdawały się nie robić na niej wielkiego wrażenia i pocila się już tylko z rzadka. Angelo, oczywiście, jak zawsze był blady i suchy — miał twarz i ciało całkowicie niestosowne na tę porę roku. Celesta wyglądała na zgrzaną i rozgrzaną.

Czerwiec to okres prawie-już-końca, kiedy dziewczęta były bardziej rozświetlone i nierzadko w przystojnym towarzystwie, a jadalnia wyglądała w weekendy tak, jakby odbywało się w niej jakieś niespokojne, nadmiernie skrępowane przyjęcie. Już niedługo w akademiku pojawią się inne dziewczyny, studiujące w sesji letniej, a sesje letnie i tak były zupełnie inne; lżejsze, bardziej beztrudne — i z perspektywy kuchni ludzie jedli mniej. Teraz wszyscy zdawali się traktować wszystko trochę lżej. Angelo, ofiarując Celeście jakiś okropny bukiet, poprosił ją, by poszła z nim do kina. Ich głowy walczyły po przeciwnych stronach

kwiatów: Angelo — starając się dojrzeć odpowiedź; Celesty — rozbawiona, zarówno rozmiarami bukietu, jak i prośbą Angela.

— A co to za film, Angelo? — Jej szerokie, silne usta i te piękne, zdrowe zęby.

— A, jakiś tam. Będziemy musieli poszukać czegoś blisko. Nie mam samochodu.

— No to pojedziemy moim — powiedziała Celesta. I wtedy, spoglądając na ten idiotyczny bukiet — I gdzie ja to postawię? Koło okna, żeby nie wadziło Flynnowi? Lubię kwiaty w oknie.

A Angelo już biegł zrobić miejsce na parapecie. Śledzące ich spoza kłębów pary oczy Flynna odnalazły długie plecy i silne nogi Celesty — jej szerokie, jędrne pośladki pracujące pod ciężarem krokusów i zielonych liści o nieznanym nazwie, gałęzi bżów i nie otwartych jeszcze pąków.

W ten piątek, ostatni piątek roku akademickiego, piątek przed sesją egzaminacyjną, tylko parę dziewcząt przyszło obejrzeć wiadomości. Dziewczęta chyba uczyły się, a inne postanowiły zrobić sobie wolne i naprawdę nie robić nic (a nie iść na kompromis z wiadomościami). Tego popołudnia padało tak, że pachniało deszczem parującym z chodników, tak że zostawały prawie suche — zostało tylko kilka ciepławych kałuż, a wieczorne powietrze przypominało wilgotny zaduch pralni. Upał był tego zmysłowego, żarłocznego rodzaju, jaki, w wyobraźni bostończyków, wypełnia podcienia otoczonych bagnami rezydencji głębokiego Południa, gdzie nagie kobiety wyciągają się w kołyszących hamakach. Minna czuła się przyjemnie zmęczona. Siedziała przy oknie, spoglądając na kolisty podjazd przed akademikiem. Droga była mało uczęszczana, z wysokimi krawężnikami, a z okna wyglądała jak wyrzeźbiona, prawie wyczelowana pośród rzędów wiązów i zielonego, bardzo zielonego trawnika. Zobaczyła Celestę, siedzącą z założonymi rękami, opartą plecami o drzewo. Nogi miała wyciągnięte wprost przed siebie w taki sposób, że kostki wystawały nad krawężnikiem podjazdu. Byłaby to pozycja nieprzystojna u prawie każdej kobiety, ale Celesta w jakiś sposób potrafiła nadać jej godność relaksu, postaci pólężącej, która

nie trąciła niechlujstwem, a emanowała raczej jakąś niechęcią do jakiegokolwiek ruchu. Była ubrana trochę arogancko; dres podchodzący wysoko pod szyję, bez rękawów, wypuszczony na jedną z tych owijających się wokół bioder spódnic — tych, co to zawsze mają gdzieś jakieś rozcięcie, a rozcięcie u Celesty wypadło trochę z tyłu jej twardego, krągłego uda. Byłaby wspaniałą chińską madame, leniwie wypoczywającą nad brzegiem jakiegoś niemrawego kanału, czekającą, by powitać sampana wylaniającego się spośród drzew eukaliptusa.

Dziewczęta zostały jeszcze po dzienniku, żeby posłuchać prognozy pogody i zobaczyć tego szarmanckiego człowieczka ze stacji meteorologicznej na lotnisku Logana, jak mozoli się interpretując skomplikowaną

mapę baryczną. Najwidoczniej swoje plany na weekend uzależniły od dobrej pogody. I były tam jeszcze wszystkie, Minna przy oknie, Celesta pod drzewem, kiedy motocykl z bakiem w kolorze angielskiej zieleni zgrabnie wykonał ostry skręt na podjazd, z gracją pochylił się na żwirowanym kręgu i zatrzymał (z drobnym poślizgiem) naprzeciw akademika. Motocyklistą był młody mężczyzna, opalony, o bardzo jasnych włosach, z ujmująco dziecięcą twarzą. Ramiona miał prawie spiczaste, a głowa zdawała się zbyt mała w porównaniu z tułowiem; długie, cienkie ramiona i nogi swobodnie wypełniały beżowy letni garnitur, przy którym puszyła się krzykliwa, jedwabna chusteczka, wetknięta w małą kieszonkę na piersi. Był bez krawata, w koszuli rozpiętej pod szyją. Jego pasażerką była Molly Cabot. Molly lekko zeskoczyła z motoru na krawężnik i zaczęła, by kierowca również zsiadł z maszyny, co uczynił dość sztywno i powoli. Wszedł z Molly do frontowego holu, poruszając się jak kontuzjowany atleta stoicko znoszący swój stan. Minna odwróciła się, by zobaczyć, co dzieje się z pogodą i zobaczyła, że wszystkie dziewczyny otaczały ją przy oknie.

Jedna z dziewcząt powiedziała: — A więc udało jej się umówić z nim na randkę!

— Teraz dopiero będzie się puszyła — dodała inna.

Wszystkie siedziały, a raczej wisały w oknie czekając, aż motocyklista pojawi się znowu. Nie zabawił długo, a kiedy wyszedł, rozejrzał się wokoło i pogmerał coś przy śrubach przy motorze. Ruchy miał spieszne, jakby wcale nie chciał niczego naprawiać; były to ruchy człowieka świadomego, że jest obserwowany. Wyprostował się na siodełku i przysiadł ciężko kopiąc rozrusznik; wystrzał, jaki nastąpił po pierwszym odgłosie ssania, poderwał stojące w oknie dziewczyny. Zwrócił nawet uwagę Celesty, która wyprostowała się z pozycji niedbałego odpoczynku pod drzewem i siadła trochę dalej na krawężniku. Motor objechał podjazd w kierunku Celesty i kiedy minął ją

o kilka kroków, rozblęskło światło stopu, tylne koło przesunęło się delikatnie w kierunku krawężnika, a motocyklista postawił nogę na ziemi, gdy tylko maszyna się zatrzymała. Następnie wyprostował się nad siodełkiem i odpychając się nogami, skierował maszynę tyłem w kierunku Celesty. Jedna z dziewcząt odeszła od okna i wyłączyła telewizor, a następnie pospiesznie zajęła swoje miejsce w gromadce. Nie było słyhać, co chłopak mówił do Celesty, bo silnik dalej chodził, a ona chyba nic nie odpowiedziała. Tylko się uśmiechnęła i spojrzała z doświadczeniem na motocykl i chłopaka. Następnie podniosła się, przeszła przed motorem, przejechała ręką raz lub dwa przed lampą, dotknęła jednego z zegarów na kierownicy, odstąpiła na krok od chłopca i jego maszyny — rzucając, przynajmniej tak to wyglądało z okna, ostatnie taksujące spojrzenie na obiekt znajdujący się przed nią. W tej chwili, a w każdym razie tak wydawało się tym przy oknie, Molly Cabot zastukała do drzwi Minny, weszła i powiedziała: — Jej! — Wszystkie się poderwały i zaczęły udawać, że coś robią. Jedna rzuciła się nawet do telewizora, ale Molly podeszła prosto do okna

I wyrzła na podjazd pytając — Pojechał już? — Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Celesta podaje rękę motocykliście i sprawnie wsuwa się na siedzenie za nim; wykonała to zadziwiająco płynnie jak na jej wzrost i wagę. Drobnym problem stanowiła spódnica, którą musiała tak okręcić, by rozcięcie znalazło się

94

95

z tyłu. Następnie silnymi nogami oplótła siodełko i kierowcę, objęła go długimi rękami; jej głowa górowała nad nim o całe pięć centymetrów, a ramiona i plecy zdawały się być szersze i silniejsze od jego.

Motocyklista przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, utrzymując motocykl w pionie z pewną trudnością i prawą stopą wrzucił bieg. Odjechali powoli, podskakując nieco przy końcu podjazdu; kiedy zjechali już ze żwiru, motocyklista z ledwie zauważalnym chybotaniem tylnego koła włączył się w ruch uliczny. Z okna widzieli go jeszcze przez zmiany trzech następnych biegów; potem maszyna i jej *jeźdźcy* albo zostali na tym samym biegu, albo zginęli obserwatorom i stojącym w oknie słuchaczom w przypadkowych dźwiękach klaksonów i innych nocnych odgłosach ruchu ulicznego.

— A to łajdak — powiedziała Molly Cabot spokojnie, analitycznie, a sądząc po twarzach dziewcząt, zasadnie.

— Może tylko zabrał ją na przejażdżkę wokół akademika — powiedziała któraś bez wielkiego przekonania, i nawet bez nadziei w głosie.

— Akurat — powiedziała Molly, odwróciła się i wyszła dumnie z pokoju.

Wszystkie dziewczęta wróciły do okna. Czekwały jeszcze przez dwadzieścia minut, po prostu patrząc w ciemność, aż w końcu Minna powiedziała: — Chyba już najwyższy czas na film. Czy któraś zostanie i obejrzy go ze mną? — Nagle zrobiła się noc i Minna poczuła, że właśnie teraz powinno zdarzyć się coś nadzwyczajnego; zatem zaproszenie ich wszystkich na film uznała za ekstrawagancję. Gdyby przyszła pani Elwood, co mogło się zdarzyć, nie byłaby zadowolona i zamieniłaby słówko z Minna — ale dopiero po wyjściu dziewcząt.

— Czemu nie? — powiedziała któraś.

Film, jakby świat nie był wystarczająco okrutny, okazał się być starą komedią muzyczną. Dziewczeta komentowały zgrzytliwie każdą nową scenę i piosenkę. W trakcie reklam odchodziły i siadały przy oknie, a gdy tylko z ulicy dochodził jakiś dźwięk, podbiegały, wszystko jedno jakie nowe okropieństwa

96

dokonywały się akurat na ekranie telewizora. Kiedy film się skończył, dziewczyny nie miały ochoty opuszczać pokoju (niektóre zajmowały pokoje, których okna nie wychodziły na podjazd) i zdawały się zdecydowane czuwać nawet całą noc. Minna spytała uprzejmie i nieśmiało czy mogłaby pójść spać i dziewczęta, ociągając się, wyszły na korytarz zlorzecząc pod nosem. Jednak nie ze złości na Celestę ani dlatego, że żal im było Molly; wprost przeciwnie, Minnę uderzyło, że prawie cieszyły się z tego zajścia, a na pewno były nim podniecone. Ich złość zrodziła się z uczucia, że zostały perfidnie pozbawione prawa do obejrzenia finału spektaklu. Będą czekały całą noc, pomyślała Minna. Jakie to okropne.

Ale Minna także nie poszła spać. Od czasu do czasu drzemała przy oknie, za każdym razem budząc się gwałtownie — wstydząc się myśli, że ktoś mógłby ją zobaczyć. Było już po trzeciej, kiedy poszła do łóżka, ale nie spała dobrze. Była zbyt zmęczona, by podrywać się na każdy dźwięk, ale każdego nasłuchiwała z wytężoną uwagą. W końcu zbudził ją warkot motocykla, choć może nie tego właśnie. Zatrzymał się, to na pewno, przy wjeździe na podjazd, ale jeszcze na ulicy, bez wyłączania silnika. Warczał tam sobie ostrożnie, wydając śmieszne, zmęczone odgłosy. Potem usłyszała, jak odjeżdża, słyszała, jak znowu trzykrotnie zmienia biegi, a potem zgubiła go, tak jak wcześniej wszystkie straciły jego ślad wiele przecnic lub mil od akademika. Słuchała teraz dochodzących z podjazdu, cichych chrzęstów, odgłosów delikatnych kroków. Słyszała szelest kamyków, skrzypiące odgłosy stóp i kamieni na cementowych schodach. Słyszała, jak otwierają się pierwsze drzwi, potem drzwi główne (pomyślała z przerażeniem i zaciekawieniem, co by było, gdyby okazały się zamknięte), a następnie, w jakąś chwilę potem, odgłos drzwi otwieranych w końcu korytarza. W pokoju było już jasno i zauważyła, że dochodzi piąta. Angelo i Flynn wkrótce zjawią się w kuchni, może już tam są. Usłyszała, jak otwierają się i zamykają inne drzwi wzdłuż całego korytarza, a potem pospieszne odgłosy bosych stóp dziewcząt

97

— Ratując Proška

przechodzących z pokoju do pokoju. Słyszała, jak szeptały i wtedy usnęła.

W sobotę rano padało. Był to drobniutki, letni pseudo-deszcz, który tylko zraszał szyby i pozostawiał drobne kropelki na górnej wardze przechodniów. Jeśli chodzi o temperaturę, a także nastrój Flynna, równie dobrze mogło świecić słońce na bezchmurnym niebie. Chwilę przed lunchem Flynn stwierdził, że tak mało ludzi na śniadaniu nie było od czasu epidemii grypy w grudniu. Zawsze irytowało go, że przygotował tyle jedzenia i nie było komu tego zjeść. Złościło go też menu na lunch, a przede wszystkim to, że dalej podawali zupę, choć było tak cholernie gorąco (a ludzie zamiast jeść tylko ją rozlewali). Pomimo pogody w jadalni było wielu gości; chłopców i rodziców. Minnę zawsze zastanawiał fakt, że wszyscy przez cały rok mówią wyłącznie o egzaminach końcowych, a weekend przed egzaminami jest zawsze najbardziej huczny ze wszystkich.

Tego ranka Minna obserwowała Celestę dość bacznie. Miała ochotę coś powiedzieć, ale nie mogła przypomnieć sobie, co też miałyby to być. Oczywiście, Celesta nie zrobiła nic złego, ale Minna po prostu musiała przyznać, że tym razem Celesta nie najlepiej wyglądała. Było to przykre tylko dlatego, że wszyscy to widzieli, i musieli odczuwać żal lub złość z tego powodu. Lecz co tu można było powiedzieć. Minnę ogarnęło dziwne skrępowanie — coś, jakby ciepłe wspomnienie wszędobylskiego zapachu, żywności i ciężkiego, który szybko się rozpląwał.

Trzeba było przygotować lunch. Większość dziewcząt wypełniła jadalnię, zanim jeszcze zupa znalazła się na wszystkich stołach. Angelo obserwował ze smutkiem przywiedle kwiaty na parapetach okien i wysłuchiwał gniewnych poleceń Flynna, by w końcu uwinął się z podawaniem zupy. Celesta pracowała spokojnie, nosząc tace pełne sałatki ziemniaczanej i waz z zupą; za każdym razem, gdy wracała z jadalni do kuchni, zaciągała się z lubością papierosem, który wychodząc zostawiała na krawędzi lady. Minna sprawnie układała sałatę na brzegach półmisków, starannie ukrywając przywiedle i zbrązowiałe listki pod kartoflami.

Celesta zaciągała się po raz ostatni papierosem, kiedy Molly Cabot z rozmachem otworzyła aluminiowe drzwi kuchni; wkroczyła do środka zagryzając wargi i pozwoliła, by drzwi zamknęły się za nią. Angelo, z rękami pełnymi kwiatów, spojrzał, by sprawdzić kto to. Flynn patrzył bez większego zainteresowania. A Minna poczuła wielki ciężar na przeponie, który na przemian to ugniatał, to rozsadzał jej piersi — trudno było zorientować się, skąd pochodziła ta siła. Molly Cabot, drobniutka i niepewnie trzymająca się na nogach, postąpiła parę kroków od drzwi. Spojrzała spod przymrużonych powiek na Celestę wzrokiem pełnym bólem, który chyba miał zmieszać tę wysoka, opanowaną kobietę.

— Ty suko, ty kurwo! — krzyknęła Molly głosem tak przenikliwym i delikatnym, jak dźwięk łyżeczki do kawy opadającej na spodeczek. — Ty cholerna, parszywa dziwko!

A Celesta tylko popatrzyła na nią z delikatnym uśmiechem — z pytającym, jeszcze zaskoczonym wyrazem twarzy, który zachęcał Molly by, proszę, nie przerywała sobie.

Molly uspokoiła się nieco, tak jak to zaleca podręcznik sztuki konwersacji, i powiedziała: — Nie zniżę się do twojego poziomu i nie będę z tobą konkurować! — Nie było to wyniosłe, dalej łyżeczka o spodek.

Minna odrzekła — Molly, kochanie, proszę. — A ta, nie spuszczać wzroku z Celesty, zrobiła parę szybkich kroków do tyłu, starając się wyczuć ręką drzwi, a kiedy oparła się o nie plecami, pchnęła je i razem z nimi wypadła z kuchni. Drzwi wahały się do środka, nie wpychając ze sobą żadnych nowych niespodzianek, i zakołysały się jeszcze dwukrotnie, zanim stanęły skrzypiąc. Minna spojrzała przepaszająco na Celestę. — Celesto, moja droga — zaczęła, ale ta odwróciła się do niej z tym samym przesywającym spokojem i tym samym zdziwionym wyrazem twarzy, jakim obdarzyła Molly.

98

99

— Już dobrze. Nic się nie stało — powiedziała łagodnie, jakby przemawiała do dziecka.

Minna potrząsnęła głową i odwróciła wzrok; wydawało się, że w każdej chwili może się rozplakać. Wtedy Flynn zatrzęsł się, aż zagrzecotały aluminiowe półki. — Jezu — zawołał — co się tu dzieje?

Przez długą chwilę nikt się nie odezwał, a potem pojawił się Angelo; z dziwnie wystudiowaną wściekłością, która nie mogła pochodzić od niego, tylko z małpowania niezliczonych, miernych filmów i spektakli uniwersyteckich, wystąpił niezgrabnie na środek kuchni i stracił równowagę, rzucając z rozmachem przywiedle kwiaty na podłogę.

— I kimże ona jest? — zaintonował. — Do kogo ona mówi? I w ogóle kto to?

— To dziewczyna, której się wydaje, że ukradłam jej chłopca — powiedziała Celesta. — Pojechaliśmy sobie wczoraj na przejażdżkę, a potem on odwiózł mnie do akademika.

— Ale jej nie wolno tak mówić! — zawołał Angelo, a Minna zauważyła, że jego normalnie blada twarz pokryła się głębokim rumieńcem.

— Mam córkę w jej wieku — powiedział Flynn. — Gdyby to na mnie trafiło, za taką mowę wyszorowałbym jej ten pysk mydłem.

— No i jeszcze co! — warknęła Celesta. — To dobre, że właśnie ty to mówisz! Lepiej się zamknij i siedź cicho!

Ale Angelo, a powinni byli o tym wiedzieć, w końcu spotkał swoje bezsensowne przeznaczenie, które każde z nich mogło być dla niego wymyślić. Wykonał kilka szybkich, ukradkowych ruchów dłońmi, po czym podszedł do aluminiowych drzwi jak ktoś, kto zobaczył swego ducha opiekuńczego wzywającego go, by poszedł za nim. Opuścił kuchnię w upiornym milczeniu; zniknął, nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, nim jeszcze ktokolwiek zdążył się poruszyć.

Wtedy Flynn powiedział: — Zabrał mydło ługowe ze zlewu. Wziął je ze sobą. — Celesta, szybsza niż Flynn i Minna, wysunęła się przed nich i wypadła przez wahadłowe drzwi.

Jadalnia była pełna ludzi, ale dziwnie cicha. Słychać było tylko przypadkowy brzęk kostki lodu o ścianki szklanki z mrożoną herbatą albo nerwowe skrzypienie krzesel. Pani Elwood siedziała przy głównym stole, otoczona rodzicami odzianymi w stroje wizytowe i dziećmi z serwetkami opadającymi z kołnierza koszuli na piersi. Minna spojrzała bezradnie na panią Elwood, której podbródek drgał nieregularnymi skurczami.

Angelo stał w przejściu pomiędzy dwoma rzędami stołów w przeciwnym końcu jadalni, z kostką żółtozielonego mydła ługowego w prawej dłoni — trzymaną jak coś bardzo ciężkiego lub niebezpiecznego, jak kula do rzutu lub granat. Stał niczym Odyseusz, który wrócił do Penelopy, by wyrzucić precz ze swego domu ciżbę zalotników — by ich posiekać i ściąć im głowy — który wrócił z wściekłością, by szerzyć wielkie spustoszenie. Molly utkwiała wzrok w zupie, skrupulatnie licząc ziarenka ryżu czy nitki makaronu.

Angelo pochylił się nad stołem tak, że jego nos prawie dotykał jej włosów.

— Przepraszaj teraz pannę Celestę^ mała — powiedział cicho. — Wstaniesz teraz i zrobisz to natychmiast. Molly nie odrywała wzroku od zupy. Odpowiedziała: — Nie.

— A potem, bardzo spokojnie, dodała: — A ty teraz wrócisz do kuchni. Natychmiast.

Angelo położył dłoń na brzegu talerza Molly, wewnętrzną stroną do góry, i pozwolił, by mydło ługowe zsunęło mu się z dłoni do zupy.

— Natychmiast — rozkazał jej cicho Angelo. — Przepraszaj albo dokładnie wyszoruję ci ten niewyparzony język.

Molly odepchnęła swoje krzesło i zaczęła wstawać, ale Angelo chwycił ją za ramiona, przyciągnął nad stołem ku sobie i zaczął przygniatać jej głowę niżej, niżej, do talerza z zupą. Dziewczyna siedząca obok Molly zaczęła przeraźliwie krzyczeć

— świdrujący, bezsensowny krzyk — a Angelowi udało się

100

101

chwycić Molly za kark i wepchnąć jej twarz do talerza. Zrobił to szybkim ruchem i tylko raz, a następnie przyciągnął ją do siebie za ramię, drugą ręką starając się *znaleźć* mydło. Po drugiej stronie przejścia, naprzeciwko stołu Molly, siedział jakiś chłopak. Poderwał się na nogi i krzyknął: — Hej, ty! — Ale Celesta pierwsza dorwała się do Angela: chwyciła go wpół, podniosła do góry, rozluźniła uchwyt, w którym trzymał Molly, próbując przetoczyć go po swoim biodrze i wynieść do kuchni. Ale Angelo wywinął się jej i wpadł prosto na włochatego Flynna. Flynn schwycił go w niedźwiedzi uścisk tak, że wszyscy usłyszeli, jak Angelo stęknął. Flynn zwyczajnie obrócił się i wyprowadził Angela w kierunku kuchni, zginając w plecach jego wątłe ciało pod kątem prostym. Celesta biegła przed nimi, pierwsza dotarła do drzwi i otworzyła je na oścież. Angelo kopał i drapał, rzucał głową próbując dojrzeć, co dzieje się z Molly. — Ty dziwko! — krzyczał Angelo głosem zmienionym z braku tchu w sopranik. I wtedy przeszli przez wielkie drzwi — Angelo tocząc wściekłym wzrokiem ponad barkiem Flynna, na końcu Celesta; drzwi ciężko wahnęły się za nimi.

Minna zdążyła zauważyć Molly Cabot opuszczającą jadalnię z twarzą zakrytą serwetką, w bluzce opryskanej zupą i przyklejonej do ptasiej piersi. Jej oparzone, skromne piersiątko zdawały się wskazywać kierunek zdecydowanego odwrotu. Wtedy pani Elwood chwyciła Minnę za ramię i wyszeptła, sekretnym głosem: — Muszę wiedzieć, o co tu chodzi. Co też go napadło? Musi natychmiast stąd odejść.

Natychmiast!

W kuchni Angelo siedział bezwładnie na podłodze opierając się o metalową szafkę. Flynn brutalnymi ruchami ścierał mu mokrym ręcznikiem krew z warg. Angelo siedział załamany, zbryzgany zupą, a krew ściekała mu po brodzie. Wydawał z siebie wysoki, skarżący się jęk — jęk porzuconego szczeniaka; oczy miał zamknięte.

— Coś ty mu zrobił? — spytała Flynna Celesta.

— Chyba ugryzł się w język — wymamrotał Flynn.

— Tak, tak — powiedział Angelo głosem zduszonym przez ręcznik, przyciśnięty przez Flynna do jego ust.

— Cholera, co za głupi makaroniarz — mruknął Flynn. Celesta zabrała Flynnowi ręcznik i odepchnęła go od

Angela. — Ja to zrobię — powiedziała. — Zedrzesz mu twarz tym ręcznikiem.

— Powiniennem ją walnąć — wyrzucił z siebie Angelo. — Powiniennem po prostu ją sprać.

— O Boże, i co jeszcze? — krzyknął Flynn.

— Zamknij się Flynn — powiedziała Celesta.

A Minna, przez cały czas milcząca, zaszyła się w rogu kuchni.

— Będzie musiał odejść. Pani Elwood powiedziała, że będzie musiał odejść natychmiast.

— Boże, i co on ze sobą zrobi? — spytał Flynn. — Gdzie on, do diabła, się podzieje?

— O mnie się nie martw — oznajmił Angelo. Zamrugał powiekami i uśmiechnął się do Celesty. Klęczała przed nim, otworzyła mu usta, żeby zobaczyć język. Z kieszeni sukienki wyjęła czystą chusteczkę, którą delikatnie zbadała język, potem zamknęła mu usta, wzięła go za rękę i kazała trzymać mokry ręcznik przy wargach. Angelo znowu zmrugał oczy, pochylił się do przodu, a głowa opadła mu na ramię Celesty.

Kucnęła wygodniej, silną ręką objęła go za ramiona i kołysała spokojnie, w przód i w tył, aż zwinął się w kulkę na jej piersi — znowu słyhać było to dziwne skomlenie, tylko że teraz brzmiało, jakby ktoś próbował nucić piosenkę.

— Zamknę drzwi na klucz — powiedział Flynn — żeby nikt nie wszedł.

Minna obserwowała to ze ściśniętym gardłem — zapowiedzią wielkiego płaczu i żalu; a wraz z pojawiającym się bólem jej stopy i dłonie stawały się coraz zimniejsze. To nienawiść

— o dziwo, pomyślała — nienawiść do właścicielki Angela, do Celesty, jego zdobywczyni, która tuliła go teraz, jakby był dzikim, schwytanym zajączkim. Uspokajała go, jeszcze go oswoi; a Angelo, posłuszny, był jej maskotką albo dzieckiem, jej

102

103

podopiecznym — i posiadała to wielkie, zmysłowe ciało, które od tej chwili miało być dla niego wspianiałym, nieosiągalnym celem. I nawet nie będzie miał pojęcia, co go do niej przyciąga.

— Angelo — powiedziała cicho Celesta — mój szwagier ma zajazd w Ma ine. Tam jest bardzo ładnie. Ten zajazd leży nad oceanem, znajdzie się też praca dla ciebie i darmowe mieszkanie. Zimą jest spokojnie; trzeba tylko odgarnąć trochę śniegu i od czasu do czasu coś naprawić. Latem przyjeżdżają turyści popływać i żeglować, są tam łodzie i plaże. I spodoba ci się moja rodzina.

— Nie — powiedziała Minna. — To za daleko. Jak tam dojedzie?
— Sama go zawiozę — odpowiedziała Celesta. — Zawiozę go dziś wieczorem. Stracę tylko jeden dzień, jutrzejszy,
— Nigdy nie był poza Bostonem — powiedziała Minna. — Nie spodoba mu się.
— Jasne, że mu się spodoba — zawołał Flynn. — Będzie bardzo dobrze.
— Celesta? — spytał Angelo — Ty też tam będziesz?
— W weekendy, latem — powiedziała — I przez cały urlop.
— Jak to się nazywa? — spytał ją Angelo. Wyprostował się, oparł plecami o szafkę i dotknął jej włosów. Błądzące, pełne uwielbienia oczy przesunęły się po jej gęstych, czarnych włosach, mocnej twarzy i szerokich ustach.
— Nazywa się Heron's Neck — powiedziała mu Celesta. — Wszyscy są bardzo mili. Niedługo wszystkich ich poznasz.
— Na pewno bardzo ci się spodoba, Angelo — powiedział Flynn.
— Pojedziemy dziś wieczorem — ciągnęła Celesta. — Pojedziemy, jak tylko spakujesz swoje rzeczy.
— Nie zrobisz tego — powiedziała Minna. — Nie możesz go tam wywieźć.
— Przecież straci tylko jeden dzień — krzyknął Flynn. — Chryste, Minna, nie dasz sobie rady przez jeden dzień?
Minna przesunęła ręką po twarzy, po pudrze zwilgotniałym i zbitym w grudki przy kącikach oczu. Spojrzała na Celestę.
— Nie dam ci wolnego dnia — powiedziała. — Mamy teraz bardzo dużo pracy.
— Jezu — ryknął Flynn. — Porozmawiaj z panią Elwood.
— Ja rządzę kuchnią! — zawołała Minna. — To ja dopilnowałam, żeby dostała tę pracę i ja też się tym zajmę. — Flynn unikał wzroku Minny, a w kuchni zrobiło się bardzo cicho.
— A jeśli po prostu wyjadę wieczorem z Angelem? — spytała Celesta.
— To możesz już nie wracać — odparła Minna.
— Wsadź go do autobusu — ryknął Flynn. Na policzkach pojawiły mu się podobne do pęcherzy fioletowe guzy.
— Nie chcę jechać tam sam! — zawołał Angelo. — Nikogo tam nie znam — dodał potulnie.
Znowu zrobiło się cicho, tylko tym razem Flynn unikał wzroku Celesty. Celesta spojrzała na swoje kolana, a potem dotknęła wilgotnych włosów Angela.
— Zaraz tam pojedziemy — powiedziała powoli.
— I będziemy razem — dodał Angelo, gwałtownie potrząsając głową. — Oprowadzisz mnie po okolicy.
— Tak będzie dobrze — powiedziała mu Celesta. — Tak zrobimy.
— Powinienem pożegnać się z panią Elwood — przypomniał sobie Angelo.
— A może po prostu wyślemy jej pocztówkę, jak już dojedziemy na miejsce — zaproponowała Celesta.
— No jasne — powiedział Angelo. — I pošlemy też kartki Flynnowi i Minnie. Flynn, jaką chciałbyś pocztówkę?
— Może taką z morzem i skałami — odpowiedział z czułością w głosie.
— Ze skałami, hmm? — spytał Celestę.
— Jasne — powiedziała.
— A ty jaką chcesz, Minna? — spytał Angelo, ale ona już na nich nie patrzyła. Schyliła się, by podnieść kwiaty z podłogi.

104

105

— Jaką tylko będziesz chciał — powiedziała.
— No to zbierajmy się — zdecydowała Celesta.
— Wyjdziecie zewnętrznymi drzwiami? — spytał Flynn. — Żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem?
— Otworzył drzwi wychodzące na dziedziniec kampusu. Przestało padać. Trawa lśniła i pachniała intensywnie.
Kiedy już poszli, a Flynn zamknął za nimi drzwi, Minna powiedziała: — No, to będziemy mieli mnóstwo roboty, tylko we dwójkę, ale chyba damy sobie radę.
— Pewnie, że damy — odpowiedział jej Flynn. A następnie dodał: — To było jednak świństwo.
— Tak mi przykro, Flynn — powiedziała cichym, łamiącym się głosem i wtedy zobaczyła wazy z zupą, i tace pełne sałatki ziemniaczanej. Boże, pomyślała, i oni tam wszyscy czekali? Ale kiedy zajrzała do jadalni, lekko opierając się o drzwi, zobaczyła, że nikogo już tam nie ma. Pani Elwood musiała ich wszystkich wyprosić.

— Tam nikogo nie ma — powiedziała do Flynna.

— No i tylko popatrz na to jedzenie — odparł.

Przed wiadomościami, przed filmem, Minna siedzi w swoim pokoju czekając, aż w końcu zrobi się ciemno. Miękkie, szare światło spowija podjazd i wiązy, a Minna nasłuchuje odgłosów z pokoju Celesty; szuka wzrokiem jej samochodu na podjeździe. — Już chyba wyjechali — myśli. Musieli załadować samochód gdzie indziej; to podobne do Celesty. W pokoju było już ciemno; słabe światło wczesnego wieczoru muskało tylko kilka kolorowych przedmiotów na biurku i nocnym stoliku, na komodzie i telewizorze, na stoliku okolicznościowym. Najdziwniejsze były te nie zjedzone, nie otwarte puszki z zagranicznymi potrawami. Widelec do zakąsek odbija mętne, wieczorne światło w kierunku stojącej przy oknie Minny. — Biedna Molly — myśli Minna — jaka szkoda, że ona musi dalej tu być, na oczach wszystkich. I nagle czuje takie samo

106

współczucie dla siebie. Ale jest to uczucie żalu bardzo ulotnego i już po chwili cieszy się, że rok szkolny wkrótce się skończy.

Zapaliły się lampy uliczne, całe szeregi oświetlające kampus, oblekające wiązy i trawnik w ten sam metaliczny poblask, który zauważyła poprzedniego wieczoru: chiński pejzaż z kanałami, w którym brakowało tylko Celesty. Minna odsuwa się od okna, włącza lampkę na biurku i mechanicznie szuka książki. Potem zapada się głęboko w poduszki skórzanego fotela. Po prostu siedzi, nie nasłuchując już niczego, nie czytając, nawet nie myśląc. Jakby gdzieś zapodziały się wszystkie rozrywki zmęczonego umysłu.

Zauważyła ćmę. Przyleciała skądś; skądś, gdzie było bezpiecznie, ' *teraz* trzepocze skrzydłami wokół jedyne źródła światła w pokoju. I co to może być; to co tak wyciąga ćmy z bezpiecznej ciemności na niebezpieczeństwa światła? Skrzydła trzepoczą w podnieceniu, tłuką o gorące szkło lampy — na pewno się przypiecze. Niezgrabnie, bezmyślnie obija się

0 przedmioty w bezsensownym szale. Minnie przelatuje przez głowę, że powinna wstać i zgasić światło, ale nie lubi siedzieć w ciemności — nie chce jej się szukać gazety, by zatłuc owada. Siedzi, jest coraz ciemniej, bzyczenie ćmy zaczyna koić nerwy

1 przynosić ulgę. Minna zapada w krótką, spokojną drzemkę.

Budzi się, wyrwana nagle ze snu, i wydaje się jej, że wcale się nie zbudziła, lecz dalej śni. Wtedy dostrzega tę upartą ćmę i wie, że już nie śpi. Za oknem jest całkiem ciemno i słyszy znajomy, niecierpliwy warkot motocykla. Wstaje z krzesła i przez okno widzi, że to ten sam, angielska zieleń. Motor czeka na początku podjazdu. Minna myśli, że jeśli przyjechał po Molly, to wjedzie na podjazd. Motocyklista rozgląda się, podkręca gaz, spogląda na zegarek, podskakuje lekko na siodełku. Przyjechał zabrać Celestę, Minna to wie, i obserwuje go świadoma, że inne okna wokół są również otwarte i że inne oczy też go śledzą. Nikt nie wychodzi z akademika; Minna słyszy szepty przesuwające się od jednej siatki w oknie do drugiej, jak ptak szukający otworu, którym mógłby wlecieć lub wylecieć. Motocyklista znów

107

podkręca gaz, przytrzymuje go na wysokich obrotach, a potem pozwala silnikowi opaść do zrezygnowanego luzu. Nic się nie dzieje, chłopak bardziej zdecydowanie przysiadł na siodełku, znów spogląda na zegarek. Minna zastanawia się, czy dziewczęta wiedzą, że Celesta wyjechała? Oczywiście, one wszystko wiedzą; niektóre zapewne też wiedziały, że motocyklista wróci tu dzisiaj, i to nie po Molly. Ale on traci już cierpliwość, może wyczuwając, że Celesta nie przyjdzie. Minna chciałaby zobaczyć jego twarz, ale jest zbyt ciemno. Przed oknem połyskują tylko te jasnoblonde włosy, błyszczący zielenią bak motocykla mieni się jak woda; potem silnik zwiększa obroty, tylne koło robi boczny ślizg na żwirze i piszczy na asfalcie. Szepczące siatki w oknach milkną, czekając na pierwsze trzy zmiany biegów. Każda zmiana zdaje się dochodzić z odległości nieco większej niż poprzedniego wieczoru. Minna została sama ze swoją ćmą. Zastanawia się, czy dziewczęta przyjdą na wiadomości i która to godzina. A jeśli dziewczęta przyjdą, czy będzie z nimi Molly? Och, Minna ma nadzieję, że nie, przynajmniej nie dziś. Ćma znów przynosi jej ulgę, ukołysana jej buczeniem zapada w drzemkę czy półdrzemkę. Przed zapadnięciem w głęboki sen dręcząca myśl wprowadza ją w panikę. Co ma powiedzieć pani Elwood? Ale ćmie udaje się pokonać nawet tę myśl. Mały pokoik Minny zapełniają szczęśliwe, umorusane twarze dzieci brata, wśród których jest gdzieś też Angelo. Motocykl znowu podjeżdża, zatrzymuje się, warczy, wściekle rzuca się do przodu, wyprawiony w swą ciemną podróż chichotami siatek w oknach. Ale tego Minna już nie słyszy. Śpi, ukołysana brzęczącą, włochatą muzyką ćmy.

lyrada Brennbara

Mój mąż, Ernest Brennbar, pracował intensywnie nad swoim drugim cygarem i trzecim koniakiem.

Powolne, wzrastające ciepło pokryło mu policzki rumieńcem. Język wydawał się leniwy i zbyt ciężki.

Wiedział, że jeśli zaraz nie zacznie mówić, to jego usta wypełnią się i beknie — albo jeszcze gorzej. W żołądku poruszył mu się wolno zwierzęce poczucie winy i wtedy przypomniał sobie tę butelkę *Brauneberger Juffer Spdtlese*, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty, która towarzyszyła dużej porcji *truite Metternich*. Jego zaczerwienione uszy pulsowały idealną pamięcią *Potnmard Rugiens*, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty pierwszy, którą zalał *boeuf Crespi*.

Brennbar spojrzął na mnie poprzez poobiednie pobojuwisko stołu, ale byłam zatopiona w rozmowie na temat grup mniejszościowych. Człowiek, który do mnie mówił, zdawał się do jednej z nich należeć. Z jakiegoś powodu kelner również brał udział w naszej rozmowie — może w geście, który miał oznaczać odrzucenie różnic klasowych. A może dlatego, że i kelner, i człowiek, który ze mną rozmawiał, byli członkami tej samej mniejszości.

— Skąd ty możesz cokolwiek o tym wiedzieć — zwrócił się do mnie, ale ja obserwowałam męża, któremu na twarzy zaczynały pojawiać się kolorowe plamy; szkoda, że nie zaczęłam obserwować go wcześniej.

— No — powiedziałam broniąc się — z pewnością mogę sobie wyobrazić, jak to było.

108

109

— Wyobrazić! — krzyknął mężczyzna. Dla zdobycia sojusznika pociągnął za rękaw kelnera. — Taka była prawda. Żadne wyobrażenie sobie nie da ci nawet bladego pojęcia o tym, jak myśmy się czuli. Musieliśmy tak żyć, dzień w dzień. — Kelner domyślił się, że powinien przytaknąć.

Jakaś kobieta siedząca obok Brennbara, powiedziała ni stąd, ni zowąd: — To niczym się nie różni od sytuacji, w jakiej zawsze znajdowały się kobiety — musimy sobie z tym radzić również dzisiaj.

— Tak — dorzuciłam szybko, zwracając się przeciwko mężczyźnie. — Na przykład teraz stara się pan mnie przygwoździć.

— Słuchajcie, nie ma jednak prześladowań tak bolesnych, jak prześladowania z powodów religijnych — powiedział mężczyzna, ciągnąc kelnera za rękę, by przytaknąć.

— No to niech pan spyta o to czarnego — zaproponowałam.

— Albo dowolnej kobiety — uzupełniła kobieta obok Brennbara. — Mówi pan tak, jakby posiadał monopol na dyskryminację.

— Wszystko to gówno prawda — powiedział Brennbar, powoli rozwijając swój rozleniwiony język. Inni przerwali rozmowy i spojrzeli na mojego męża, jakby był wypaloną przez papierosa dziurą, która powoli rozszerza się na kosztownym kobiercu.

— Kochanie — wyjaśniłam — rozmawiamy o grupach mniejszościowych.

— A co, czy to mnie wyłącza z rozmowy? — spytał Brennbar. Zniknęłam na chwilę w kłębie dymu z cygara. Ale kobieta siedząca obok niego poczuła się sprowokowana; odpowiedziała bez namysłu.

— Nie wydaje mi się, żeby był pan Murzynem — powiedziała — ani kobietą, ani Żydem. Nie jest pan nawet Irlandczykiem czy Włochem, czy kimś w tym rodzaju. A może się mylę? To znaczy:

Brennbar — co to w ogóle jest? Niemieckie?

— *Oui* — odpowiedział kelner — to niemieckie nazwisko, wiem na pewno.

A mężczyzna, który łaskawie mnie obrażał, powiedział: — No, a to ci dopiero mniejszość! — Inni — ale nie ja — roześmiali się. Dość dobrze wyczuwałam oznaki towarzyszące utracie kontroli nad dyskusją; chmura dymu wypuszczona wprost w moją twarz oznaczała, że sprawy zaszły już dosyć daleko.

— Mój mąż pochodzi ze Środkowego Zachodu — oznajmiłam ostrożnie.

— Och, mój ty biedaku — powiedziała kobieta siedząca obok Brennbara. Jej ręka spoczęła z żartobliwym współczuciem na jego ramieniu.

— To doprawdy straszne: ze Środkowego Zachodu — mruknął ktoś siedzący kilka krzeseł dalej.

A mężczyzna trzymający rękaw kelnera tak delikatnie, jakby to był co najmniej wykrywacz min, powiedział: — To dopiero mniejszość co się zowie! — Śmiech ogarnął cały stół, a ja tylko obserwowałam, jak towarzyska rozmowa wymyka się mojemu mężowi spod kontroli: sztywny uśmiech, któremu towarzyszyło wystudiowane wychylenie trzeciego koniaku i nadmierne ostrożne nalanie sobie czwartego. Byłam tak objedzona, że chwilowo straciłam talię, ale zaproponowałam: — Poproszę o deser. Czy ktoś zjadłby coś jeszcze? — zapytałam, patrząc jak mój mąż z rozmysłem wypija swój czwarty koniak i z fantastycznym skupieniem nalewa sobie piąty.

Kelnerowi przypomniało się, że ma pewne obowiązki: pobiegł przynieść menu. A mężczyzna, który w kelnerze poszukiwał etnicznego ziomka, odważnie zwrócił się do Brennbara i powiedział z obłudną pobłażliwością: — Chciałem tylko, byśmy zgodzili się, że prześladowania religijne, przynajmniej z historycznego punktu widzenia, to forma dyskryminacji subtelniejsza i bardziej powszechna niż formy, na temat których ostatnio robimy tyle hałasu, z całą tą naszą gadką o społeczeństwie rasistowskim, seksizmie...

110

111

Brennbar beknął — ostry wystrzał, jak miedziana kula z wezglowia łóżka rzucona na oślep w kuchenne gary. Znałam ten dźwięk, a jakże; wiedziałam już, że deser nadejdzie za późno i że mojemu mężowi nie będzie potrzebna teraz nawet pauza, by rzucić się w wir rozmowy.

Brennbar zaczął. — Pierwsza forma dyskryminacji, z jaką zetknąłem się dorastając, jest tak subtelna i tak powszechna, że do dzisiaj nie utworzyła się żadna grupa, by przeciwko niej zaprotestować, żaden polityk nie odważył się o niej nawet wspomnieć, żadna sprawa nie została skierowana do sądu przez organizacje broniące praw obywatelskich. W żadnym większym ani mniejszym mieście nie ma odpowiedniego azyłu, gdzie ofiary tej formy dyskryminacji mogłyby dodawać sobie wzajemnie odwagi. Ich dyskryminacja jest tak totalna, że praktykują ją nawet względem siebie nawzajem; wstydzą się tego, kim są, wstydzą się tego, gdy są sami, a jeszcze bardziej wstydzą się pokazywać w grupie.

— Słuchaj pan — wtrąciła kobieta obok Brennbara — jeśli mówi pan o homoseksualizmie, to sprawa wygląda już całkiem inaczej...

— Mówię o pryszczach — odparł Brennbar. — Trądzik

— dodał, wodząc dookoła znaczącym i zbolalym wzrokiem. — Syfy — wyjaśnił. Inni, ci, którzy mieli odwagę, przyglądali się dziobatej twarzy mojego męża tak, jakby zaglądali z ciekawością na oddział intensywnej terapii w jakimś zagranicznym szpitalu. W obliczu tego strasznego dowodu rzeczowego fakt, że deser zamawialiśmy po brandy i cygarach, nie miał praktycznie żadnego znaczenia. — Wszyscy znaleźcie ludzi z pryszczami na twarzy

— oskarżał ich Brennbar. — Brzydzicie się pryszczycy, prawda?

— Biesiadnicy odwrócili od niego wzrok, ale dzioby na jego twarzy musiały zrobić na nich wrażenie. Te ślady po zadziarach, te kratery wyglądały jak blizny po uderzeniach kamieni. Mój Boże, ależ był śliczny.

112

W pobliżu, ale nie za blisko, stał niezdecydowany kelner i trzymał kartę deserów tak, jakby się obawiał, że to dziwne towarzystwo ma zamiar zjeść nie deser, a samo menu.

— Czy myślicie, że łatwo było pójść do drogerii? — spytał Brennbar. — Cały dział kosmetyczny stworzony po to, by przypominać ci o pryszczach, ekspedientka szczerząca zęby do twoich syfów i pytająca na cały głos: „Czym mogę służyć?” Jakby sama nie wiedziała. Nawet rodzice wstydzi się was. Subtelne wzmianki, że powłoczka z twojej poduszki będzie prana osobno i matka mówiąca przy śniadaniu: „Kochanie, wiesz chyba, że twoja jest ta niebieska myjka?” Potem widzisz, jak błędnie twarz twojej siostry, która szybko wstaje od stołu i biegnie ponownie wymyć twarz. I kto tu mówi o mitach związanych z dyskryminacją. Boże, można by pomyśleć, że pryszczami łatwiej się zarazić niż tryprem! Jakiś dzieciak po wuefie pyta, czy ktoś ma grzebień — podajesz mu swój i widzisz, jak kolana się pod nim uginają, jak się modli o to, by podsunięto mu inny i już widzi, jak całą tę jego śliczną skórę pokrywają twoje syfy. *Znana* to bajka; jak zobaczysz pryszczycy, zakładasz, że to brud. Ludzie wytwarzający wydzielinę ropną nigdy się nie myją.

— Przysięgam na słodką dupcię własnej siostry — powiedział Brennbar (nie miał siostry) — szorowałem się cały trzy razy dziennie. Któregoś dnia myłem twarz jedenaście razy. Każdego ranka podchodziłem do lustra, by odczytać świeże informacje. Jak informacje o liczbie zabitych w czasie wojny. Może plaster na trądzik zgładził ze dwa w ciągu nocy, ale na ich miejsce pojawiały się cztery nowe. Człowiek uczy się oczekiwać największych upokorzeń w najmniej odpowiednim momencie; rankiem tego dnia, kiedy masz w końcu pójść na swoją pierwszą randkę w ciemno, znajdujesz nowy pryszcz, który defasonuje ci wargi. I któregoś dnia, czy to z mylnie pojętej litości, czy z powodu bezbrzeżnego i niezgłębionego okrucieństwa, ludzie, którzy uchodzą za twych przyjaciół, załatwiają ci randkę z drugim pryszczatym dziwadłem.

Ostatecznie upokorzony czekasz, aż to

113

8 — Ratując Prośka

się skończy. Czy oni myślą, że będziemy się wymieniać środkami na trądzik albo liczyć trwałe blizny?

— Syfizm — krzyknął Brennbar. — To właśnie to, syfizm! A wy jesteście syfistami, wszyscy jak jeden, jestem tego pewien

— mrucał pod nosem. — Nawet nie możecie sobie wyobrazić, jak straszne... — Cygaro mu zgasło.

Najwidoczniej poruszony do głębi, próbował nieporadnie rozżarzyć je na nowo.

— Nie — powiedział mężczyzna siedzący obok mnie — to znaczy tak... Jestem w stanie wyobrazić sobie, jakie to musiało być dla pana straszne, naprawdę.

— Nie ma co porównywać z pańskimi kłopotami — odparł ponuro Brennbar.

— Znaczący tak, nie... chodzi mi o to, że naprawdę właśnie

0 to mi chodzi — mężczyzna próbował znaleźć właściwe słowa.

— Zapewniam pana, że mogę dokładnie wyobrazić sobie, jak straszne...

— Wyobrazić sobie? — zapytałam, z czujną twarzą

I ustami składającymi się do najładniejszego uśmiechu z mojego repertuaru. — No, a to, co mówił mi pan przed chwilą? W żaden sposób nie może pan odczuwać tego tak, jak on to odczuwał. Musiał z tym żyć każdego dnia. — Uśmiechnęłam się do Brennbara. — To były prawdziwe pypcie — zwróciłam się do swego byłego adwersarza. — Ich nie można sobie wyobrazić.

— I wtedy pochylałam się nad stołem i pogładziłam męża czule po dłoni. — Dobra robota, kochanie — powiedziałam. — Dostałeś

go-

— Dzięki — rzucił Brennbar, całkiem już odprężony. Cygaro

znów się ćmiło; podniósł kieliszek z koniakiem, jakby to był kwiat. Kobieta obok Brennbara nie była całkiem pewna. Dotknęła go delikatnie, ale z pewną natarczywością i powiedziała: — Ach, rozumiem, pan tylko tak żartował. Coś jak gdyby żartował, prawda? — Brennbar otoczył ją chmurą dymu z cygara, zanim mogła wyczytać mu z oczu odpowiedź; mnie to się zawsze udaje.

— Ech, właściwie to nie żartowałeś, prawda kochanie? — spytałam. — Wydaje mi się, że była to po prostu

114

metafora — wyjaśniłam pozostałym, a ci spojrzeli na Brennbara z jeszcze większą podejrzliwością. —

Była to metafora mówiąca

0 dorastaniu inteligentnego człowieka w głupim świecie. Oznaczała, że inteligencja jest czymś tak szczególnym, tak rzadkim, że ci z nas, którzy mają choć odrobinę oleju w głowie, ciągle natykają się na dyskryminację ze strony otaczającej nas masy głupców. — Cały stół wydawał się bardziej zadowolony. Brennbar palił; umiał doprowadzać do szewskiej pasji.

— Oczywiście — ciągnęłam dalej — ludzie obdarzeni inteligencją stanowią w rzeczywistości jedną z najmniejszych mniejszości. Muszą znosić to tarzanie się w mentalności baranów

1 bezbrzeżnym idiotyzmie tego, co aktualnie jest popularne. Popularność to chyba największa zniewaga, jaką można wyrządzić człowiekowi inteligentnemu. Stąd — powiedziałam, czyniąc gest w kierunku Brennbara, który przypominał teraz martwą naturę — trądzik jest idealną metaforą dla uczucia braku popularności, jakiego doznaje każdy inteligentny człowiek. Oczywiście, inteligencja jest niepopularna. Nikt nie lubi człowieka inteligentnego. Ludziom inteligentnym nie można ufać. Podejrzewamy, że w ich inteligencji kryje się coś perwersyjnego. To trochę tak jak myśleć, że ludzie z wypryskami się nie myją.

— Taak... — zaczął mężczyzna obok mnie; zamierzał włączyć się do rozmowy, która, jak chyba wyczuwał, schodziła na bezpieczniejszy grunt. — Oczywiście, pojęcie intelektualistów tworzących swego rodzaju grupę etniczną, to raczej nic nowego. Ameryka jest w większości krajem antyintelektualizmu. Popatrzcie na telewizję. Jeżeli profesor, to stuknięty ekscentryk o mentalności zramolałej babci. Wszyscy idealisci to fanatycy lub święci, młodzi Hitlerzy czy młodzi Jezusowie. Dzieci, które czytają książki, noszą okulary i w tajemnicy marzą, by pograć w baseball jak ich rówieśnicy. Wolimy oceniać ludzi po zapachu potu. I lubimy, żeby ich umysłami rządziła taka sama uparta lojalność, jaką podziwiamy u psów. Ale muszę zauważyć, panie Brennbar, że sugerować, iż wypryski są jak intelekt...

115

— Nie intelekt — powiedziałam. — Inteligencja. Jest tyluż głupich intelektualistów, ilu jest głupich graczy w baseball. Inteligencja oznacza po prostu percepcję tego, co dzieje się wokół nas. — Ale Brennbar był spowity zagadkowo dymem z cygara i nawet kobieta obok niego nie była w stanie dojrzeć jego punktu widzenia.

Mężczyzna, który przez moment cieszył się złudzeniem powrotu na twarde grunto, ciągnął: — Nie zgodziłbym się z panią, pani Brennbar, że istnieje tyluż głupich intelektualistów, ilu jest głupich graczy w baseball.

Brennbar wydał ostrzegawcze beknięcie: długi, stłumiony odgłos, jak dźwięk pojemnika na śmieci spadającego w szybie windy, podczas gdy ty jesteś daleko, powiedzmy, pod prysznicem na trzydziestym pierwszym piętrze („Kto tam?” wołasz wtedy do pustego mieszkania).

— Deser? — spytał kelner, rozdając menu. Musiało mu się wydawać, że Brennbar o to właśnie poprosił.

— Poproszę *pommes Normande en belle vue* — zamówił siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna, któremu Środkowy Zachód wydał się taki straszny. Jego żona poprosiła o *pouding alsacien*, deser na zimno.

— A dla mnie *charlotte Malakoff aux fraises* — powiedziała kobieta obok Brennbara. Ja zamówiłam *mousseline au chocolat*.

— Kurwa mać — oznajmił Brennbar. Wszystko jedno, co miał na myśli używając swoich metafor, jego zrujnowana twarz nie była czczym wymysłem, to było widać gołym okiem.

— Chciałam ci tylko pomóc, kochanie — powiedziałam zaskakująco nowym tonem.

— Przemądrzała dziwka — odparł Brennbar. Mężczyzna, dla którego bezpieczny grunt był obecnie ryzykownym slcockiem bez asekuracji, siedział w niepewnej atmosferze walczących ze sobą uczuć mniejszościowych i modlił się o nieco więcej inteligencji niż posiadał. — Ja poproszę *dafouti awc pruneawc* — powiedział potulnie.

— Oczywiście, że poprosisz. Tak właśnie myślałem.

— Już też mu dołożyłam, kochanie — powiedziałam.

— A zgadłaś, co ona zamówi? — spytał mnie Brennbar, wskazując na kobietę obok niego.

— Och, to było proste — odpowiedziałam. — Odgadłam wszystkich.

— Pomyliłem się co do ciebie — odparł Brennbar. Wyglądał na zakłopotanego. — Byłem pewien, że spróbujesz podzielić się z kimś *savarin*.

— Brennbar nie jada deseru — wyjaśniłam innym. — To mu szkodzi na cerę.

Brennbar siedział prawie bez ruchu, jak zastygły ozór lawy. Wiedziałam, że już za chwileczkę udamy się do domu. Tak strasznie chciałam być z nim sam na sam.

116

Cudze sny

Fred nie przypominał sobie, by przed odejściem żony miewał sny. Potem zaczęły mu się przypominać jakieś niejasne koszmary z dzieciństwa, a czasami bardziej konkretne, bardziej lubieżne sny z okresu, który wydawał mu się absurdalnie krótkim odcinkiem czasu pomiędzy dojściem do okresu dojrzewania, a ślubem z Gail (pobrali się bardzo młodo). Tych dziesięć lat bez snów, jakie spędził w małżeństwie z Gail, stanowiło otwartą ranę, zbyt bolesną, by ją zbyt dokładnie badać, ale wiedział, że Gail w tym czasie śniła intensywnie — jedna przygoda po drugiej

— i że uważała to za rzecz bardzo dziwną, iż on nie miewa snów.

— Fred, albo miewasz sny — powiedziała kiedyś — i twoje sny są tak zboczone, że wolisz o nich nie pamiętać, albo jesteś faktycznie martwy. Ludzie, którzy nie miewają snów, są martwi.

W ciągu kilku ostatnich lat małżeństwa uznał, że ani pierwsza, ani druga teoria nie jest zupełnie nieprawdopodobna.

Po odejściu Gail czuł się faktycznie martwy. Nawet jego znajoma, która, według Gail, była „ostatnią deską ratunku”, nie była w stanie go ożywić. Wydawało mu się, że wszystko, co przytrafiło mu się w małżeństwie, było jego winą: Gail zdawała się być szczęśliwa i wierna — póki nie narozrabiał i nie poczuła się zmuszona „odpłacić mu z nawiązką”. Na koniec, gdy za często się już powtarzał, przestała się nim przejmować. Nazywała go „dobrym-zakochaj-się-we-mnie-Fredem”. Zakochiwał się w kimś prawie co roku. Gail mówiła: — Mogłabym to nawet znieść,

gdybyś po prostu poszedł sobie i trochę sobie pociupciał, ale dlaczego musisz się tak angażować?

Nie wiedział. Po odejściu Gail jego znajoma wydała mu się tak głupia, pozbawiona seksu i odrażająca, że nie był w stanie wyobrazić sobie, co mogło być przyczyną tego ostatniego, niepokojącego związku. Gail tak dawała mu w kość za ten romans, że właściwie nawet mu ulżyło, kiedy odeszła, ale brakowało mu dziecka — chociaż ich małżeństwo trwało dziesięć lat, mieli tylko jedno dziecko — dziewięcioletniego chłopca imieniem Nigel. Oboje uważali, że ich imiona są tak bardzo pospolite, że swemu biednemu synowi przyczepili taką właśnie etykietkę. Nigel zajmował sporą część jego tłustego serca, jak zahamowany w rozwoju rak. Fred nie mógł znieść spotkań z synem (w rzeczywistości nie układało się między nimi od czasu, gdy Nigel ukończył piąty rok życia), ale nie mógł też znieść myśli, że chłopiec może go nienawidzić, a był pewien, że Nigel nienawidził go — albo, w miarę upływu czasu, nauczy się go nienawidzić. Gail przecież się nauczyła.

Czasami Fredowi wydawało się, że gdyby tylko miał własne sny, nie musiałby rok w rok nawiązywać tych swoich okropnych romansów.

Przez wiele tygodni po zakończeniu sprawy rozwodowej nie mógł spać w łóżku, które dzielili przez dziesięć lat. Gail zgodziła się na gotówkę i Nigela. Fred zatrzymał dom. Sypiał tylko na kanapie i męczył go noce pełne niewyraźnej niewygody — był zbyt rozbity, by śnić. Rzucił się na kanapie, jego jęki przeszkadzały psu (psa też wziął), a rano miał w ustach smak kaca, chociaż poprzedniego wieczora nie pił. Którejś nocy wyobrażał sobie, że wymiotuje w samochodzie; pasażerką była pani Beal, która biła go torebką, podczas gdy on ciągle wymiotował bluzgając na kierownicę. — Zawieź nas do domu, zawieź do domu! — krzyczała pani Beal. Fred oczywiście nie

118

119

wiedział wtedy, że miał sen należący do pana Beala. Pan Beal często zapadał w pijacki sen na kanapie Freda i Gail; niewątpliwie ten okropny sen tam mu się przyśnił, a on zostawił go w tym miejscu dla następnej osoby.

Fred w końcu zrezygnował z kanapy i wybrał wąskie, twarde łóżko w pokoju Nigela — dziecięce łóżko marynarskie, z wbudowanymi pod spodem szufladkami na bieliznę i kowbojskie rewolwery. Na kanapie nabawił się bólów krzyża, ale nie był jeszcze gotów, by podjąć na nowo życie w łożu, które wcześniej dzielił z Gail.

Pierwszej nocy spędzonej w łóżku Nigela zrozumiał, jak straszną zdolność opanował — albo jak straszna zdolność nagle opanowała jego. Miał sen dziewięcioletniego chłopca — sen Nigela. Nie zrobił na nim wrażenia, ale uświadomił mu, że dla Nigela musiał to być czysty horror. Fred-jako-Nigel był uwięziony na jakimś polu przez wielkiego węża. Wąż od razu wzbudził śmiech we Fredzie-jako-Fredzie, bo miał skrzydła jak smok i ział ogniem. Wąż raz po raz atakował pierś Freda-jako-Nigela, który był tak przerażony, że nawet nie mógł krzyczeć. Gdzieś daleko na polu Fred zobaczył Freda tak, jakby go widział Nigel. — Tato! — szepnął Fred-jako-Nigel. Ale prawdziwy Fred stał nad dymiącym żarem ogniska: najwidoczniej właśnie skończyli barbecue. Fred sikał na ognisko silnym strumieniem uryny i nie słyszał krzyków syna.

Rano Fred doszedł do wniosku, że sen dziewięciolatka był oczywisty i trywialny. Nie bał się już dalszych snów, kiedy tej nocy zdecydował się na własne łóżko; przynajmniej, kiedy sypiał z Gail, nigdy w tym łóżku nie miewał snów. I chociaż Gail miewała sny regularnie, Fred nigdy dotychczas nie doświadczał w tym łóżku jej snów. Ale spanie samemu to coś innego, niż spanie z kimś.

Wsunął się do zimnego łóżka w pokoju odartym z zasłon uszytych przez Gail. Oczywiście, przytrafił mu się jeden ze snów Gail. Patrzył w długie, ściennie lustro, ale widział Gail. Była naga i przez sekundę wydawało mu się, że śni własny

120

sen — może z tęsknoty, jakieś erotyczne wspomnienie, jakieś pożądlive pragnienie, żeby wróciła. Ale Gail w lustrze nie była tą Gail, jaką znał: stara, brzydka, a oglądanie jej nagości było jak oglądanie rany na skórze, którą należałoby jak najszybciej zaszyć. Szlochała, a jej ręce unosiły się po bokach jak mewy — podnosząc to tę, to inną część garderoby, a każda z nich była jeszcze większą zniewagą dla jej karnacji i rysów niż poprzednia. Ubrania spadały na stos u jej stóp, na który w końcu sama się osunęła, kryjąc twarz. Widoczne w lustrze guzowate żebra na jej plecach przypominały mu (jej) stare schody na pustej uliczce, które kiedyś odkrył w czasie podróży poślubnej po Austrii. W wiosce z kopułami w kształcie cebul ta uliczka była jedynym brudnym, podejrzanie wyglądającym zaułkiem, jaki znalazł. A schody, które ginęły zakrętami z oczu, im obojgu wydały się groźne; było to jedyne wyjście z alejki, chyba żeby zawrócili, i Gail powiedziała nagle: — Wracajmy. — Natychmiast się zgodził. Ale zanim odeszli, jakaś stara kobieta wyłoniła się zza załomu na szczycie schodów i, jakby tracąc równowagę, ciężko stoczyła się w dół. Chyba coś niosła — jakieś marchewki, guzowate kartofle i żywą gęś, której błoniaste nogi pętał rzemień. Kobieta spadając uderzyła się w twarz i leżała z otwartymi oczami i czarną suknią zadartą do kolan. Marchewki rozsypały się po jej płaskiej, nieruchomej piersi jak kwiaty. Kartofle były wszędzie, a gęś, nadal spętana, gęgała i próbowała ulecieć. Fred, nawet nie dotykając kobiety, od razu starał się schwytać gęś, choć z wyjątkiem psów i kotów nigdy dotychczas nie dotykał żywego stworzenia. Próbował rozwiązać rzemień, który pętał jej nogi, ale był przy tym niezgrabny, a gęś syczała na niego i boleśnie uszczypnęła go w policzek. Rzucił więc ptaka i pobiegł za Gail, uciekającą z alejki — tą samą drogą, którą przyszli. Teraz Gail w lustrze zasnęła na stosie rzuconych na podłogę ubrań, tak znalazł ją Fred — tej nocy, kiedy wrócił po swojej pierwszej zdradzie.

Obudził się w łóżku sam. Wcześniej był przekonany, że Gail nienawidzi go z powodu jego skoków w bok, ale teraz po

121

raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jego niewierność wpędziła ją w nienawiść do samej siebie.

Czy w jego własnym domu nie było już miejsca, gdzie mógłby spędzić noc nie przeżywając snów należących do kogoś innego? Gdzie mógłby zbudować swoje własne sny? W pokoju telewizyjnym była druga kanapa, ale zwykle sypiał na niej ich pies, stary labrador. — Misiu? — zawołał. — Chodź tu, Misiu. — To Nigel nazwał psa „Misiem”. Ale wtedy Fred przypomniał sobie, jak często widywał Misia w napadach jego własnych snów: szczekającego przez sen, ze zjeżoną na karku sierścią, z nogami pędzącymi w miejscu i różowym kutasem objającym się o brzuch

— i pomyślał, że chyba nie upadł jeszcze tak nisko, by zgadzać się na sny o pościgu za królikiem, walce z

weimarczykiem czy pokrywaniu smutnej bullterierki Bealów. Co prawda, na kanapie sypiały też piastunki do dzieci, więc może należało się spodziewać jakichś smakowitych snów ich produkcji? Ale czy warto ryzykować spotkanie z którymś ze snów Miśka dla słodkich marzeń małej filigranowej Janey Hobbs? Zastanawiając się nad psimi kłakami i przypominając sobie niezbyt atrakcyjne piastunki, Fred zapadł w sen w fotelu, fotelu bez snów; miał szczęście. Przekonywał się, że jego nowo odkryta, cudowna zdolność była darem równie męczącym co podniecającym. Często okazuje się prawdą, że oferuje się nam wiele niepokojów obcej osoby, z którą śpimy, a mało z jej radości.

Kiedy zmarł ojciec, cały tydzień spędził z matką. Ku jego przerażeniu, przeniosła się na kanapę, a jemu zaproponowała małżeńską sypialnię z obszernym, historycznym łóżem. Fred rozumiał niechęć matki do sypiania w nim, ale samo łóżko i jego potencjalne, epickie sny przerażały go. Rodzice zawsze tu mieszkali, zawsze — odkąd pamiętał — spali w tym łóżu. Tak ojciec, jak i matka byli tancerzami — ludźmi szczupłymi i poruszającymi się z gracją nawet na emeryturze. Fred pamiętał ich poranne ćwiczenia gimnastyczne; powolne, podobne do jogi ruchy na dywanie w słonecznym pokoju, zawsze do muzyki Mozarta. Fred patrzył na ich stare łóżo z przerażeniem. Jakie i czyje żenujące sny spowijają go na nim?

Poznał, z odrobiną ulgi, że był to sen jego matki. Jak większość ludzi, Fred szukał jakichś reguł w chaosie i myślał, że jedną już znalazł: nie można śnić snów osób, które zmarły. Matka przynajmniej żyła. Ale Fred spodziewał się emeryckich sentymentów i czułości względem ojca; jakichś ciepłych wspomnień, które, jak sobie wyobrażał, miewali ludzie starsi; absolutnie nie spodziewał się takiej krzepkości w snach własnej matki. Widział ojca baraszkującego pod prysznicem, namydlonego pod pachami, namydlonego i wyprężonego poniżej. I nie był to nawet jakiś sen z młodości: ojciec był już stary: białe włosy na rozdętych starością piersiach — jak worki otaczające sutki młodej dziewczyny. Fred śnił gorącą, wilgotną reakcję matki na lubieżność ojca, której nigdy u niego nie dostrzegał. Zaszokowany ich pomysłowymi, zwinnymi, a nawet wręcz akrobatycznymi sposobami kochania się, Fred zbudził się z poczuciem trywialności własnego seksualizmu, jego niezdarnej prostolinijności. To jego pierwszy sen erotyczny w roli kobiety; czuł się idiotycznie, że uczy się dopiero teraz — mężczyzna po trzydziestce, i to od własnej matki — jak kobieta chce, żeby jej dotykano. Śnił przeżywanie orgazmu przez matkę. Jakże ona radośnie nad nim pracowała!

Zbyt zażenowany, by spojrzeć jej rano w oczy, Fred czuł wstyd, że wcześniej nigdy mu nawet nie przyszło do głowy wyobrazić ją sobie w takiej sytuacji; że przypuszczenia, które snuł na temat Gail i jej, były aż tak ograniczone. Miał jednak jeszcze

122

123

dość tego pobłażliwego stosunku, jaki syn czuje względem matki, by założyć, że jeśli apetyty jego matki były aż tak wybujałe, to z pewnością apetyty jego żony były jeszcze bardziej rozwinięte. Nawet nie przyszło mu do głowy, że to nie musi być prawda.

Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że matka nie była w stanie zmusić się do porannych ćwiczeń sama i przez cały tydzień, który z nią spędził — świadom, że jego obecność raczej nie przynosi jej ulgi — zdawała się stawać coraz sztywniejsza w stawach, mniej sprężysta, a nawet przybierać na wadze. Chciał zaproponować, że będzie jej w tych ćwiczeniach towarzyszył, nalegać, by kontynuowała swoje zdrowe nawyki, ale przecież widział jej inne fizyczne nawyki, a poczucie własnej niższości po prostu onieśmielało go.

Niepokoilo go także, że jego instynkt podglądacza okazywał się silniejszy, niż instynkt dobrego syna. Choć wiedział, że będzie musiał znosić erotyczne wspomnienia matki, i to co noc, za nic nie chciał opuścić łóżka i przenieść się na, jak myślał, pozbawioną marzeń sennych podłogę. Gdyby tam się przespał, napotkałby na przynajmniej jeden sen swego ojca z okresu, gdy od czasu do czasu sypiał na podłodze. Zadałoby to kłam jego teoryjce, że sny zmarłych nie przechodzą na żyjących. Po prostu, sny matki były silniejsze niż sny ojca i zdominowały łóżko. Na podłodze Fred na przykład odkryłby prawdziwe uczucia ojca do ciotki Blanche. Ale ludzie jakoś nie mają w zwyczaju badać do końca wszystkich konsekwencji odkryć, które przyszły im zbyt łatwo. Jesteśmy powierzchownymi poszukiwaczami przygód, którzy ograniczają swoje sądy o gorze lodowej do tego, co widać nad wodą.

Fred dowiadywał się czegoś na temat istoty snów, ale jeszcze więcej mu umykało. Dlaczego, na przykład, śnił zwykle sny historyczne? To znaczy, sny, które faktycznie były wspomnieniami lub wyolbrzymionymi wspomnieniami rzeczywistych zdarzeń z przeszłości, albo snami z drugiej ręki. Są też inne rodzaje snów — sny o sprawach, które nigdy nie miały miejsca. O nich Fred wiedział niewiele. Nawet nie brał pod uwagę możliwości,

że sny, które go teraz nachodziły, mogłyby należeć do niego — że zbliżyły się doń tak blisko, jak tylko on śmiał się do siebie zbliżyć.

Wrócił do swego rozwiedzionego domu, nie czując już poprzedniego drżenia i niepokoju. Był człowiekiem, który choć przez chwilę widział ranę własnej podatności na przeciwności losu. Jest wiele niezamierzenie okrutnych talentów, którymi świat, na chybił trafił, nas obdarza. A to, czy potrafimy skorzystać z darów, o które nigdy nie prosiliśmy, to już świata nie obchodzi.

124

Pensjonat Grillparzer

Ojciec pracował dla Austriackiego Biura Turystyki. Matka wpadła na pomysł, żeby rodzina podróżowała wraz z nim, kiedy udawał się w drogę jako szpieg Biura. Matka, brat i ja mieliśmy mu towarzyszyć w jego tajnych misjach, by odkrywać nieuprzejmość, kurz, niedogotowane posiłki i innego rodzaju skrót, którymi chadzały austriackie restauracje, hotele i pensjonaty. Polecono nam na każdym kroku stwarzać najróżniejsze trudności, nigdy nie zamawiać tego, co było w karcie, naśladować dziwaczne potrzeby zagranicznych turystów: nietypowe godziny, na które chcieliśmy mieć gotową kąpiel, prosić o aspirynę czy wskazanie drogi do zoo. Polecono nam zachowywać się grzecznie, ale sprawiać kłopoty, a po skończonej wizycie zdawać ojcu raport w samochodzie.

Matka w takich sytuacjach mawiała na przykład: — Salon fryzjerski rano zawsze zamknięty. Ale kierowali do odpowiedniego zakładu poza hotelem. Chyba nieźle, pod warunkiem, że nie będą twierdzić, że mają fryzjera na miejscu.

— No, ale tak właśnie twierdzą — odpowiadał ojciec. I pisał w swym olbrzymim notatniku.

Ja zawsze służyłem jako kierowca. Mówiłem: — Samochody nie parkują na ulicy, ale kiedy odbierałem nas z parkingu, na liczniku było o czternaście kilometrów więcej niż wtedy, kiedy oddawałem kluczyk portierowi.

— To sprawa, którą należy zgłosić kierownictwu bezpośrednio — powiedział ojciec, robiąc odpowiednią notatkę.

— W toalecie ciekło — powiedziałem.

— Ja nie mogłem otworzyć drzwi do w.c. — dodał mój brat, Robo.

— Robo — powiedziała matka — ty zawsze masz problemy z drzwiami.

— To miała być kategoria C? — spytałem.

— Obawiam się, że nie — powiedział ojciec. — Dalej klasyfikują ich jako kategorię A. — Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu; najpoważniejsze decyzje zawsze dotyczyły zmian w klasyfikacji hotelu czy pensjonatu. A zmian w klasyfikacji nigdy nie sugerowaliśmy bez głębokiego zastanowienia.

— To chyba wymaga listu do dyrektora — zaproponowała mama. — Niezbyt miłego, ale też niezbyt ostrego. Po prostu stwierdzającego fakty.

— Tak, raczej mi się podobał — powiedział ojciec. Zawsze starał się spotkać z dyrektorem.

— I nie zapomnij o jeźdźeniu naszym samochodem — powiedziałem. — To absolutnie niewybaczalne.

— Jajka też były nieświeże — powiedział Robo; nie miał jeszcze dziesięciu lat i jego zdanie nie było brane poważnie pod uwagę.

Kiedy zmarł nasz dziadek i odziedziczyliśmy babkę — matkę naszej mamy, która odtąd towarzyszyła nam w tych wyprawach — staliśmy się zespołem o wiele ostrzejszym w ocenach niż dotychczas. Jako prawdziwa dama, Johanna była przyzwyczajona do podróży kategorii A, lecz obowiązki ojca częściej nakazywały mu odwiedzanie przybytków klasy B i C. Turystów przecież najbardziej interesowały obiekty (hotele i pensjonaty) klasy B i C. Z restauracjami szło nam trochę lepiej. Ludzi, których nie było stać na spanie z klasą, interesowały jednak miejsca, gdzie można było nie najgorzej zjeść.

— Nie pozwolę, by wypróbowywano na mnie dania wątpliwego pochodzenia — zakomunikowała nam Johanna. — To dziwne zajęcie wam może sprawiać przyjemność, bo macie przez to darmowe wakacje, ale musicie zapłacić straszną cenę:

126

127

niepewność, w jakiejż to kwaterze przyjdzie wam spędzić noc. Amerykanom może to wydawać się czarujące, że u nas wciąż można znaleźć pokoje bez prywatnej łazienki czy toalety, ale ja jestem starą kobietą i nie pociąga mnie chodzenie po hotelowych korytarzach w poszukiwaniu czystości i ulgi. A niepokój to tylko połowa problemu. Możliwe są również poważne choroby — i to nie tylko powodowane przez żywność. Jeśli łóżko będzie wątpliwej jakości — oświadczam, że nie złożę w nim głowy. A dzieci są małe i wrażliwe; powinniście pomyśleć o klienteli niektórych z tych hoteli i zadać sobie poważne pytanie, jaki wpływ może to wywrzeć na ich psychikę. — Matka i ojciec przytaknęli, ale nic nie powiedzieli. — Zwolnij — powiedziała do mnie ostro babka. — Jesteś jeszcze młodzikiem, który lubi się popisywać. — Zwolniłem. — Wiedeń — westchnęła babcia. — W Wiedniu zawsze mieszkałam w Ambasadorze. — Johanno, Ambasador nie jest przedmiotem naszej oceny.

— No, ja myślę — powiedziała Johanna. — Czy bardzo się pomyłę, jeśli powiem, że naszym celem nie jest jakiś obiekt kategorii A?

— Eee, to podróż kategorii B — przyznał ojciec. — W większości.

— Ufam — powiedziała babka — iż *znaczy* to, że po drodze będzie choć jeden obiekt klasy A.

— Nie — przyznał się ojciec. — Jest jeden klasy C.

— Nie szkodzi — powiedział Robo. — W kategorii C się biją.

— Tego można się było spodziewać.

— To pensjonat kategorii C, bardzo mały — powiedział ojciec, tak jakby rozmiary miały tu jakieś znaczenie.

— I zwrócili się o przeszerogowanie ich do kategorii B.

— No, ale było przecież kilka skarg — dodałem.

— Musiały być — powiedziała Johanna.

— I zwierzęta — dodałem. Mama rzuciła mi znaczące spojrzenie.

— Zwierzęta? — spytała Johanna.

128

— Zwierzęta — przyznałem.

— Prawdę mówiąc, to tylko podejrzenia — poprawiła mnie mama.

— Tak. Bądź fair.

— Och, wspaniale — powiedziała babka. — Podejrzenie, że są to zwierzęta. Zostawiają kłaki na dywanach? Te ich straszne odchody w rogach. Czy wiesz, że dostaję ataków astmy, i to bardzo poważnych, w każdym pomieszczeniu, w którym ostatnio przebywał jakiś kot?

— Skargi nie dotyczyły kotów — wyjaśniłem. Mama ostro szturchnęła mnie łokciem w żebra.

— Psów? — spytała Johanna. — Wściekle psy! Pokąsają nas w drodze do łazienki.

— Nie, nie psów — powiedziałem.

— Niedźwiedzi! — krzyknął Robo.

Ale mama zaoponowała: — Nie wiemy na pewno, czy chodziło o niedźwiedzia, Robo.

— Chyba nie mówicie poważnie? — spytała Johanna.

— Oczywiście, tylko żartują — odparł ojciec. — Skąd w pensjonacie mógłby *znaleźć* się niedźwiedź?

— Pisali o tym w jednym z listów — powiedziałem. — Oczywiście, Biuro Turystyki uznało, że to skarga jakiegoś czubka. Ale potem widziano go jeszcze raz — był drugi list, w którym pisano o niedźwiedziu. Ojciec użył wstecznego lusterka, by skarcić mnie wzrokiem. Ale mnie się wydawało, że jeśli wszyscy mamy zajmować się badaniem usług hotelowych, to byłoby dobrze, żeby babcia też miała na wszystko baczenie.

— Eech, to na pewno nie jest prawdziwy niedźwiedź — powiedział Robo z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

— Człowiek w niedźwiedzim kostiumie — zawołała Johanna. — Cóż to za niesłychana perwersja! Człowiek-bestia skradający się po korytarzach. I do czego się tak skrada? To na pewno jakiś człowiek w niedźwiedziej skórze. Chcę, żebyśmy

129

9 — Ratując Prosta

tam najpierw pojechali. Jeśli w tej trasie musimy mieć przeżycia kategorii C, postarajmy się mieć to już za sobą.

— Ale nie mamy rezerwacji na dzisiaj — powiedziała mama.

— Nic nie szkodzi. Damy im możliwość pokazania się z najlepszej strony — odpowiedział ojciec. Choć nigdy nie zdradzał swoim ofiarom, że pracował dla Biura Turystyki, wierzył, że rezerwacja noclegów to po prostu przyzwoity sposób umożliwienia personelowi jak najlepszego przygotowania się.

— Z pewnością nie będziemy potrzebowali rezerwacji w przybytku uczęszczanym przez mężczyzn przebierających się za zwierzęta — zakomunikowała Johanna. — Zapewne zawsze mają wolne miejsca. Na pewno goście regularnie oddają ducha w ich pokojach: ze strachu albo z powodu jakichś innych obrażeń, o których nawet strach myśleć, zadanych im przez tego szaleńca w brudnym, niedźwiedzim futrze.

— To na pewno prawdziwy niedźwiedź — powiedział Robo z nadzieją, bo biorąc pod uwagę kierunek, w jakim zmierzała rozmowa, był pewien, że lepiej żeby to był prawdziwy niedźwiedź niż jakieś straszdyło, które wyobrażała sobie babcia. Coś mi się wydawało, że Robo nie bał się prawdziwego niedźwiedzia.

Podwoziłem nas tak zwyczajnie jak to tylko było możliwe na ciemny, niepozorny róg Planken i Seilergasse. Szukaliśmy pensjonatu kategorii C, który chciał być kategorią B.

— Nie ma gdzie zaparkować — powiedziałem do ojca, który już robił uwagi w swoim notatniku. Zaparkowałem na środku ulicy i przez jakąś chwilę siedzieliśmy w samochodzie przyglądając się Pensjonatowi Grillparzer; cztery wąskie piętra wznosiły się pomiędzy ciastkarnią i trafiką.

— Widzisz? — zapytał ojciec — Nie ma niedźwiedzi.
— Raczej ludzi, mam nadzieję — odparła babcia.
— Przychodzą nocą — powiedział Robo, ostrożnie rozglądając się po ulicy.
Weszliśmy do środka, żeby przywitać się z kierownikiem, Herr Theobaldem, którego obecność sprawiła, że Johanna natychmiast się nastroszyła.
— Trzy pokolenia podróżujące razem! — zawołał. — Jak za dawnych czasów — dodał, specjalnie na użytek babci — zanim przyszły te wszystkie rozwody i młodzież, która chce własnych pokoi. To pensjonat rodzinny! Szkoda tylko, że nie zrobiliście państwo rezerwacji, bo mógłbym wtedy umieścić was bliżej siebie.
— Przyzwyczailiśmy się już do tego, że nie śpimy w jednym pokoju — odparła babcia.
— Ależ oczywiście! — zawołał Theobald. — Chciałem tylko powiedzieć, że szkoda, że wasze pokoje nie mogą być bliżej siebie. — To najwidoczniej zaniepokoiło babcię.
— Jak daleko od siebie będziemy musieli mieszkać? — spytała.
— No, mam już tylko dwa wolne pokoje — powiedział. — I tylko jeden z nich jest dość duży, żeby chłopcy mogli w nim spać z rodzicami.
— A jak daleko od ich pokoju będzie mój? — spytała chłodno Johanna.
— Będzie na wprost w.c.! — odparł Theobald tonem, jakby to miał być wielki plus.
Ale kiedy szliśmy do naszych pokoi — babcia z ojcem pogardliwie trzymając się tyłu pochodu — słyszałem, jak . mamrotała pod nosem: — Nie tak wyobrażałam sobie emeryturę. Naprzeciwno w.c., słuchając tych wszystkich odgłosów.
— Nie ma dwóch identycznych pokoi — powiedział nam Theobald. — Wszystkie meble należały do mojej rodziny. — W to akurat byliśmy w stanie uwierzyć. Ten duży pokój, który Robo i ja mieliśmy dzielić z rodzicami, był miniaturowym muzeum bibelotów, a każda szafka miała okucia w innym stylu. Z drugiej jednak strony, zlew miał mosiężne kurki, a wezgielnie łóżka było rzeźbione. Widziałem, jak ojciec dokonuje szacunku plusów i minusów, by je potem zapisać w notatniku.
— To może pan zrobić później — powiedziała mu Johanna. — A gdzie jest mój pokój?
Jako że byliśmy rodziną, posłusznie poszliśmy za Theobaldem i babcią długim, rozgałęziającym się korytarzem. Ojciec

130

131

liczył kroki dzielące nas od w.c. Chodnik był wytarty, w kolorze cienia. Na ścianach wisiały stare fotografie łyżwiarzy; na nogach mieli dziwne łyżwy, o czubkach zawiniętych jak noski trzewików królewskiego błazna albo płozy starodawnych sanek.
Robo, który nas znacznie wyprzedził, obwieścił, że znalazł w.c.
Pokój babci wypełniała porcelana, meble z polerowanego drewna i lekko wyczuwalny zapach stęchlizny. Kotary na oknach były wilgotne. Przez środek łóżka, jak sierść zjeżona na grzbiecie psa, biegło niepokojące wybrzuszenie. Wyglądało to prawie tak, jakby pod kapą rozścieloną na pościeli leżało czyjeś szczupłe ciało.
Babcia nic nie powiedziała, a kiedy Theobald wytoczył się z pokoju jak ranny, któremu ktoś powiedział, że będzie żył, zapytała ojca: — Na jakiej podstawie Pensjonat Grillparzer ma nadzieję otrzymać B?
— Absolutnie zdecydowane C — powiedział ojciec.
— Urodzony jako C i umrze jako C — dodałem.
— Ja bym raczej powiedziała — obwieściła nam babka — że to E lub nawet F.
W mrocznej kawiarni człowiek w krawacie śpiewał jakąś węgierską piosenkę. — To wcale nie znaczy, że on sam jest Węgrem — uspokajał Johannę ojciec. Ale nie rozwiał jej podejrzeń.
— Powiedziałabym jednak, że wszystko przemawia przeciwko niemu — odparła. Nie chciała ani herbaty, ani kawy. Robo zjadł kawałek ciasta i stwierdził, że mu smakowało. Matka i ja wypaliliśmy papierosa; ona próbowała rzucić, ja próbowałem zacząć. Dlatego wypaliliśmy go na spółkę — przyrzekliśmy sobie nawet, że sami nigdy całego nie wypalimy.
— To wspaniały gość — szepnęła ojcu do ucha Herr Theobald, wskazując na śpiewaka. — Zna piosenki z całego świata.
— A przynajmniej z Węgier — odpowiedziała babka, ale się uśmiechnęła.
Z babcią rozmawiał drobny mężczyzna, wygolony, ale z trwałym niebieskawym cieniem zarostu na szczupłej twarzy. Miał na sobie czystą, białą koszulę (choć przyzółkłą z powodu wieku i licznych prań), spodnie od garnituru i nie pasującą do całości marynarkę.
— *Pardon?* — powiedziała babka.
— Powiedziałem, że opowiadam — poinformował ją mężczyzna.

— Pan opowiada — powiedziała babka. — Czy to znaczy, że pan je miewa?
— Miewam i opowiadam — odparł tajemniczo. Śpiewak umilkł.
— Chce pani poznać jakiś sen? — spytał śpiewak. — On może opowiedzieć.
— Dziękuję bardzo, ale z pewnością nie mam ochoty poznawać żadnych snów — powiedziała babka. Z wyraźnym niesmakiem przyglądała się płataninie ciemnych włosów wylaniających się z rozpiętej pod szyją koszuli śpiewaka. Na człowieka opowiadającego sny nie zwracała żadnej uwagi.
— Widać, że jest pani damą — powiedział jej człowiek od snów. — Nie reaguje pani na każdy sen, który się nawinie.
— Oczywiście, że nie — odparła babka. Rzuciła ojcu jedno ze swych spojrzeń typu: — Jak mogłeś dopuścić, by coś takiego mnie spotkało?
— Ale znam jeden — powiedział człowiek od snów. Zamknął oczy. Śpiewak przysunął krzesło i nagle zdaliśmy sobie sprawę, że siedzi bardzo blisko nas. Robo, choć był na to zdecydowanie za duży, siadł tacie na kolana. — W wielkim zamku — zaczął człowiek od snów — pewna kobieta leżała obok swego męża. Nagle, w środku nocy, zbudziła się. Zbudziła się, nie mając zielonego pojęcia dlaczego, ale czuła się tak przytomna, jakby nie spała już od wielu godzin. Bez słowa, spojrzenia czy dotyku wiedziała również, że jej mąż też nie spał, i że zbudził się równie gwałtownie.

132

133

— Mam nadzieję, że tę historię można opowiadać przy dzieciach, cha cha! — krzyknął Herr Theobald, ale nikt na niego nawet nie spojrzał. Babka złożyła dłonie na podolku i wpatrywała się w nie; kolana razem, pięty podciągnięte pod siedzenie krzesła

- z wysokim oparciem. Mama trzymała tatę za rękę.

Siedziałem obok opowiadacza snów, którego marynarka pachniała jak zoo. Mówił: — Kobieta i jej mąż leżeli nasłuchując dźwięków dochodzących z zamku, który tylko wynajmowali i niezbyt dobrze jeszcze znali. Nasłuchiwali odgłosów dochodzących z dziedzińca, na który wcześniej nawet nie spojrzeli. Ludzie z wioski zawsze starali się przejść koło zamku, a wiejskim dzieciakom wolno było się huścić na wielkiej bramie prowadzącej na dziedziniec. Cóż takiego mogło ich zbudzić?

— Niedźwiedzie? — spytał Robo, ale ojciec położył mu palec na ustach.

— Słyszeli konie — ciągnął opowiadacz. Johanna z zamkniętymi oczami, z pochyloną głową, zdawała się drzemać na twardym krześle. — Słyszeli oddech i lekki tupot koni wstrzymywanych przez jeźdźców — opowiadał mężczyzna. — Mąż wyciągnął rękę i dotknął żony. — Konie? — spytał. Kobieta wyszła z łóżka i podeszła do okna wychodzącego na dziedziniec. Do dziś mogłaby przysiąc, że dziedziniec był pełen rycerzy na koniach — ale cóż to byli za rycerze! Mieli zbroje! Przyłbice ich hełmów były opuszczone, a szemrzące głosy tak ciche i trudne do uchwycenia, jak głos umykającej stacji radiowej. Zbroje chrzęściły, kiedy konie pod nimi niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę.

Na zamkowym dziedzińcu znajdowała się stara sucha czasza dawnej fontanny, ale teraz kobieta zauważyła, że z fontanny płynęła woda — ściekała po wyszlifowanym rancie czaszy — i konie ją piły. Rycerze byli strudzeni, ale nie zsiadali z koni; spoglądali na ciemne okna zamku, jakby wiedzieli, że byli nieproszonymi gośćmi przy tym wodopoju — tym chwilowym odpoczynku po drodze dokądś.

Kobieta widziała, jak w poświacie księżyca błyskają ich wielkie tarcze. Wśliznęła się na powrót do łóżka i położyła sztywno obok męża.

— Co to? — spytał.

— Konie — odparła

— Tak też myślałem — powiedział. — Zjedzą kwiaty.

— Kto zbudował ten zamek? — spytała go. Zamek był bardzo stary, tyle wiedzieli oboje.

— Karol Wielki — odpowiedział; chciał spać.

Ale kobieta nie spała jeszcze długo, słuchając wody, która zdawała się płynąć po całym zamku, bulgocząc w każdej rynnie, jakby stara fontanna wysysała wodę skąd tylko się da. Słyszała też zniekształcone głosy szepczących rycerzy — rycerzy Karola Wielkiego rozmawiających w martwym języku. W jej uszach głosy żołnierzy były tak martwe jak wiek ósmy i lud nazywany Frankami. A konie piły dalej.

Kobieta długo leżała z otwartymi oczami; czekała, aż żołnierze odjadą; nie sądziła, by chcieli ich rzeczywiście zaatakować — była pewna, że dokądś podróżowali i w tym miejscu, które kiedyś znali, przystanęli tylko, by odpocząć. Ale póki płynęła woda, czuła, że nie powinna niczym zakłócić ciszy i ciemności. Kiedy usnęła, zdawało się jej, że żołnierze Karola Wielkiego jeszcze nie odjechali.

Rano mąż spytał ją: — Ty też słyszałaś tę płynącą wodę?

— Tak, oczywiście, słyszała. Ale fontanna była sucha i z okna widzieli, że kwiaty rosły nadal, a wszyscy przecież wiedzą, że konie jedzą kwiaty.

— Spójrz — powiedział jej mąż; poszedł z nią na dziedziniec.

— Nie ma tu żadnych śladów kopyt ani końskiego nawozu. Te konie musiały się nam przyśnić — Nie powiedziała mu, że byli tam też żołnierze ani, że według niej, było mało prawdopodobne, by dwoje ludzi śniło ten sam sen. Nie chciała mu przypominać, że dużo palił i nie był w stanie wyczuć nawet gotującej się zupy; zapach koni na świeżym powietrzu był dla niego zbyt subtelny.

134

135

W czasie ich pobytu w zamku widziała żołnierzy albo śniła o nich jeszcze dwa razy. Ale mąż już nie budził się razem z nią. Zawsze przychodziło to nagle. Którejś nocy zbudziła się czując w ustach smak metalu, jakby przytknęła do warg kawałek starego, kwaśnego żelaza — jakiś miecz, napierstnik, kolczugę czy stalowy kołnierz. Znowu tam byli, w tym zimnie. Gęsta mgła unosząca się nad fontanną spowijała ich jak całun; konie pokrywał biały szron. I nie było ich tym razem już tylu, jakby zima lub bitwy przerzedziły ich zastępy. Kiedy widziała ich po raz ostatni, konie wydały się jej wychudzone, a ludzie przypominali raczej opuszczone przez swych mieszkańców zbroje, delikatnie balansujące w siodłach. Końskie pyski pokrywały długie, lodowe maski. Ich oddech (lub oddechy ludzi) zmieniały się w lód.

— Jej mąż — mówił opowiadacz — zmarł później na zapalenie płuc. Ale kiedy kobieta śniła te sny, jeszcze o tym nie wiedziała.

Babka podniosła wzrok ze swego podołka i uderzyła dłonią szarą od zarostu twarz opowiadacza. Robo zeszywniał na kolanach ojca, mama chwyciła swoją matkę za rękę. Śpiewak gwałtownie odsunął krzesło i skoczył na równe nogi, czy to przestraszony, czy by się z kimś bić, ale opowiadacz snów po prostu skłonił się babci i opuścił mroczny pokój. Wyglądało to tak, jakby nawiązał z Johanną kontakt o wielkim znaczeniu, ale który ani jej, ani jemu nie sprawiał radości. Ojciec zapisał coś w swoim notatniku.

— No i co wy na to? Ależ to była historia? — powiedział Herr Theobald. — Cha, cha. — Poczochrał włosy Robo, czego ten nie znosił.

— Herr Theobald — odparła mama, w dalszym ciągu trzymając Johannę za rękę — mój ojciec zmarł na zapalenie płuc.

— O cholera! — stwierdził Herr Theobald. — Najmocniej przepraszam, *meine Frau* — zwrócił się do babci, ale stara Johanną nie miała ochoty z nim rozmawiać.

Zabraliśmy babcię do restauracji kategorii A, ale prawie nie tknęła jedzenia. — Ten człowiek to Cygan — oznajmiła — szatański pomiot i Węgier.

— Mamo, proszę — powiedziała moja mama. — Przecież nie mógł wiedzieć o tacie.

— Wiedział więcej niż ty — warknęła babcia.

— Ten sznycel jest wspaniały — powiedział ojciec notując w swym wielkim kapowniku. — A *Gumpoldskirchner* pasuje do niego jak ulał.

— *Kalbsnieren* też są dobre — dodałem.

— Jajka były okay — ocenił Robo.

Babcia nie odezwała się już aż do powrotu do pensjonatu, gdzie zauważyliśmy, że drzwi do w.c. kończyły się jakieś trzydzieści, czterdzieści centymetrów nad podłogą, tak że ich dół przypominał drzwi do amerykańskich kabin sanitarnych albo do westernowych saloonów. — No, to cieszę się, że skorzystałam z w.c. w restauracji — zauważyła babcia. — Jakież to obrzydliwe. Spróbuję spędzić noc bez wystawiania się na widok każdego przechodnia, który zechce obejrzeć sobie moje kostki!

W naszym pokoju rodzinnym ojciec spytał: — Czy Johanną nie mieszkała kiedyś w zamku? Kiedyś, dawno temu, jak mi się wydaje, wynajęli z dziadkiem jakiś zamek.

— Tak, ale to było, zanim ja przyszłam na świat — odparła marna. — Wynajęli Schloss Katzelsdorf.

Widziałam zdjęcia.

— Aaa, to dlatego sen tego Węgra tak babcię zdenerwował — powiedział ojciec.

— Ktoś jeździ rowerem po korytarzu — oznajmił Robo. — Widziałem przejeżdżające koło pod naszymi drzwiami.

— Idź spać, Robo — powiedziała mama.

— Robiło tak: *kwik, kwik* — uzupełnił Robo.

— Dobranoc, chłopcy — powiedział ojciec.

— Jak wy możecie rozmawiać, to my też — zaprotestowałem.

— To rozmawiajcie ze sobą — odparł ojciec. — Ja rozmawiam z mamą.

136

137

— Chcę spać — oznajmiła mama. — Wolalabym, żeby wszyscy już zamilkli.

Próbowaliśmy. Może nawet usnęliśmy. Ale wtedy Robo szepnął mi do ucha, że musi pójść do ubikacji.

— Przecież wiesz, gdzie jest — powiedziałem.

Robo wyszedł za drzwi, zostawiając je lekko uchylone. Słyszałem, jak szedł korytarzem sunąc palcami po ścianie. Ale wrócił bardzo szybko.

— W ubikacji ktoś jest — stwierdził.

— To poczekaj, aż skończy — powiedziałem.

— Nie było światła — odparł — ale pod drzwiami coś widziałem. Ktoś tam był i siedział po ciemku.

— Sam wolę to robić po ciemku — oznajmiłem.

Ale Robo chciał koniecznie opowiedzieć, co widział. Mówił, że pod drzwiami zauważył parę rąk.

— Rąk? — spytałem.

— Tak, i to tam, gdzie powinny być stopy — zauważył; twierdził, że po obu stronach toalety były ręce zamiast stóp.

— Przestań bajdurzyć — powiedziałem.

— Proszę, chodź sam, zobacz — błagał. Poszedłem z nim korytarzem, ale w ubikacji nikogo nie było. — Już ich nie ma — oznajmił.

— Na pewno odeszli na rękach — powiedziałem. — Idź sikaj, ja poczekam.

Wszedł do ubikacji i wysikał się w ciemności. Kiedy prawie dochodziliśmy do pokoju, obok nas przeszedł jakiś mały ciemny człowieczek, o tym samym kolorze twarzy i ubrania jak ten opowiadacz snów, który tak rozzłościł babcie. Puścił do nas oko, uśmiechnął się i nie mogłem nie zauważyć, że szedł na rękach.

— Widzisz? — szepnął Robo. Weszliśmy do pokoju i zamknęliśmy drzwi.

— O co chodzi? — spytała mama.

— Jakiś człowiek chodzi na rękach — powiedziałem.

— Jakiś człowiek sika stojąc na rękach — dodał Robo.

— Kategoria C — zamruczał ojciec przez sen. Ojciec często śnił, że robi notatki w swym wielkim notesie.

— Porozmawiamy o tym rano — powiedziała mama.

— To na pewno jakiś akrobata, który popisывał się przed tobą, bo jesteś dzieciakiem — poinformowałem Robo.

— Skąd wiedział, że jestem dzieciakiem, jak był w ubikacji? — spytał mnie Robo.

— Idźcie spać — szepnęła mama.

I wtedy usłyszeliśmy dobiegający z końca korytarza krzyk babci.

Mama nałożyła swój ładny, zielony szlafroczek; ojciec zaś płaszcz kąpielowy i okulary. Ja naciągnąłem spodnie na pizamę. Robo był w holu pierwszy. Zobaczyliśmy światło bijące spod drzwi do w.c. W ubikacji monotonicznie krzyczała babcia.

— Już idziemy — zawołałem.

— Mamo, o co chodzi? — spytała mama.

Zebrałiśmy się w szerokiej smudze światła. Pod drzwiami widzieliśmy fiołkoworóżowe pantofle babci i jej porcelanowobiałe kostki. Przestała krzyczeć. — Słyszałam szepty, kiedy byłam w łóżku.

— To był Robo i ja — powiedziałem.

— Potem, gdy wydawało się, że wszyscy jakby odeszli, poszłam do w.c. — powiedziała Johanna. — Światła nie włączałam. Zachowywałam się bardzo cicho — poinformowała nas. — I wtedy, mówię wam, zobaczyłam i usłyszałam koło od roweru.

— Koło? — spytał tato.

— Pod drzwiami parę razy przejechało koło — potwierdziła babcia. — Przetoczyło się i wróciło, przetoczyło i wróciło znowu.

Ojciec zrobił palcami ruch, jakby kółka toczyły mu się koło głowy; zrobił minę do mamy. — Komuś chyba przydałby się nowy komplet kółek — szepnął, ale mama zmroziła go spojrzeniem.

— Zapaliłam światło — powiedziała babcia — i wtedy koło odjechało.

138

139

— Mówiłem wam, że na korytarzu był rower — upierał się Robo.

— Zamknij się — zaproponowałem.

— To nie był rower — zaproponowała babcia — było tylko jedno koło.

Ojciec zamachał dłońmi wokół głowy. — Jej chyba zabrakło jednego czy dwóch kółek — syknął do mamy, ale ta dała mu kuksańca i przekrzywiła mu okulary na nosie.

— I wtedy ktoś przyszedł i zaczął zaglądać przez szczelinę pod drzwiami — powiedziała babcia — i wtedy zaczęłam krzyczeć.

— Ktoś? — spytał ojciec.

— Widziałam jego ręce, ręce mężczyzny — miał włosy na knykciach — powiedziała babcia. — Ręce

stały na dywanie przy samych drzwiach. Musiał mnie podglądać od dołu.

— Nie, babciu — powiedziałem. — On chyba tylko stał sobie tutaj na rękach.

— Nie bądź bezczelny — skarciła mnie mama.

— Ale my widzieliśmy mężczyznę chodzącego tu na rękach — powiedział Robo.

— Nic nie widzieliście — odrzekł ojciec.

— Ale widzieliśmy — powiedziałem.

— Zaraz wszystkich pobudzimy — ostrzegła nas mama. Babcia spuściła wodę w klozecie i wyszła szurając

pantoflami, zachowując jednak tylko szczątki swej dawnej godności. Miała na sobie szlafrok nałożony na szlafrok; ze swoją długą szyją i twarzą posmarowaną grubo kremem wyglądała jak zakłopotana geś. — On jest zły i nikczemny — powiedziała do nas. — Zna straszne czary.

— Ten mężczyzna, który cię podglądał? — spytała mama.

— Ten człowiek, który opowiedział mój sen — powiedziała babcia. Przez bruzdy w kremie zaczęła przedzierać się łza. — To był mój sen — dodała — a on go wszystkim opowiedział. To nie mieści się w głowie, że on mógł go znać — syknęła. — Mój sen

140

o koniach i rycerzach Karola Wielkiego, tylko ja powinnam go znać. Miałam ten sen jeszcze zanim się urodziłam — powiedziała mamie. — A ten okropny, zły czarownik opowiedział mój sen tak, jakby to była wiadomość z serwisu informacyjnego. Nawet twojemu ojcu nie opowiedziałam go w całości. Nigdy nie byłam całkiem pewna czy to faktycznie był sen. A teraz zjawiają się tu rudzie chodzący na rękach, z włosami na knykciach, i te magiczne koła. Chcę, żeby chłopcy spali ze mną.

No i w ten sposób Robo i ja zaczęliśmy dzielić duży pokój rodzinny, z dała od ubikacji, z babcią, której nakremowana twarz, świecąca jak twarz wilgotnego trupa, spoczywała na poduszkach mamy i taty. Robo leżał i obserwował ją. Jak mi się zdaje, Johanna nie sypiała najlepiej; chyba znowu śniła swój sen o śmierci, ponownie przeżywając ostatnią zimę zmarzniętych rycerzy Karola Wielkiego w niesamowitych, stalowych zbrojach, pokrytych szronem i zamkniętych na wieki lodem.

Kiedy stało się oczywiste, że muszę pójść do łazienki, śledziły mnie okrągłe, roziskrzzone oczy Roba. W ubikacji ktoś był. Spod drzwi nie było widać światła, ale przy ścianie obok w.c. stał zaparkowany monocykl. Człowiek, który go dosiadał, najwidoczniej siedział w ciemnej toalecie, bo ktoś raz po raz uruchamiał spłuczkę, jakby bawił się nią jakiś dzieciak. Rowerzysta nie dawał spłuczce czasu, by się nappełniła.

Podszedłem bliżej do szpary pod drzwiami toalety, ale ten, kto ją zajmował, nie stał na rękach. To, co zobaczyłem, to z pewnością były stopy, prawie w takiej pozycji, jak można by się tego było spodziewać, ale dziwnie nie dotykały podłogi. Podeszwy stóp były skierowane w moją stronę: ciemne poduszki w kolorze siniaków. Te olbrzymie stopy połączone z krótkimi, włochatymi gołeniami należały do niedźwiedzia, tyle że brakowało im pazurów. Niedźwiedź nie potrafi chować pazurów jak kot; jeśli niedźwiedź ma pazury, to je widać. Mieliśmy więc do czynienia z oszustem w kostiumie misia albo z niedźwiedziem, któremu usunięto pazury. Może to niedźwiedź domowy. A przynajmniej — jeśli sądzić po obecności w toalecie — niedźwiedź przyuczony

141

do poszanowania porządku w domu. Bo po zapachu łatwo było dojść do wniosku, że nie był to jednak człowiek w niedźwiedziej skórze; to coś było kompletnym niedźwiedziem. To był prawdziwy niedźwiedź. Wycofałem się do drzwi byłego pokoju babci, za którymi czał się mój ojciec, czekający na dalsze nocne hałasy. Otworzył szarpnięciem drzwi tak, że wpadłem do środka, czym i siebie, i mnie przestraszył. Mama usiadła na łóżku, a na głowę naciągnęła puchową pierzynę. — Złapałem go — zawołał ojciec padając na mnie. Podłoga zatrzęsła się; monocykl niedźwiedzia zsunął się po ścianie i wpadł na drzwi ubikacji, z której w tym momencie próbował wytoczyć się niedźwiedź. Potknął się o monocykl i usiłował złapać równowagę. Zaniepokojony, rozejrzał się po korytarzu, popatrzył w otwarte drzwi i na ojca siedzącego mi na piersi. Przednimi łapami podniósł swój monocykl. — *Grauf!* — mruknął. Ojciec zatrzasnął drzwi. Z drugiego końca korytarza jakaś kobieta wołała: — Gdzie jesteś, Duna?

— *Harff!* — odpowiedział niedźwiedź.

Słyszeliśmy z ojcem jak kobieta się zbliża. Powiedziała: — Oj, Duna, znowu ćwiczysz? Ty zawsze ćwiczysz. Ale przecież lepiej to robić za dnia. — Niedźwiedź nie odpowiedział. Ojciec otworzył drzwi.

— Nikogo już nie wpuszczaj — zakomunikowała mama spod pierzyny.

Na korytarzu, obok niedźwiedzia, który balansował na monocyklu jedną łapą opierając na jej ramieniu, stała ładna, starzejąca się kobieta. Miała na głowie turban w jaskrawoczerwonym kolorze i była ubrana w udrapowaną wokół pasa suknię, która wyglądała jak zasłona z okna. Na jej wysokiej piersi pysznił się

naszyjnik z niedźwiedzich pazurów; długie kolczyki sięgały ramiączka jej zasłono-sukni, a na drugim, odkrytym ramieniu, na które gapiliśmy się z ojcem, miała bardzo interesujący pieprzyk. — Dobry wieczór — powiedziała do ojca. — Przepraszam, jeśli

zakłóciliśmy państwu spoczynek. Dunie nie wolno ćwiczyć nocą, ale on tak kocha swoją pracę.

Niedźwiedź coś zamruczał i pojechał dalej. Bardzo dobrze utrzymywał równowagę, ale nie był zbyt uważny: ocierał się

o ściany korytarza, dotykał łapą zdjęć łyżwiarzy. Kobieta, ukloniwszy się ojcu na pożegnanie, poszła za niedźwiedziem wołając: — Duna, Duna — i poprawiając po drodze fotografię.

— *Duna* to po węgiersku Dunaj — poinformował mnie ojciec. — Niedźwiedź nosi imię naszego ukochanego *Donau*. — Czasami moją rodzinę jakby dziwiło to, że Węgrzy również mogli kochać jakąś rzekę.

— Czy ten niedźwiedź jest prawdziwy? — spytała matka, wciąż siedząc pod pierzyną — ale ja zostawiłem ojca, by sam mógł jej wszystko wyjaśnić. Wiedziałem, że rano Herr Theobald będzie musiał wiele wytłumaczyć i wtedy dostanę pełny raport.

Poszedłem korytarzem do w.c. Zrobiłem, co należało, poganiany pozostałością odoru niedźwiedzia i podejrzeniem, że na wszystkich są niedźwiedzie kłaki. Była to jednak tylko moja podejrzliwość, bo niedźwiedź zostawił wszystko w czystości — przynajmniej jak na niedźwiedzia.

— Widziałem tego niedźwiedzia — szepnąłem do Roba, wróciwszy do pokoju, ale Robo wczłogał się do łóżka babci

i zasnął obok niej. Stara Johanna jednak nie spała.

— Za każdym razem widziałam coraz mniej żołnierzy — powiedziała. — Kiedy zjawili się ostatni raz, było ich tylko dziewięciu. Wyglądali na bardzo wygłodzonych; chyba zjedli nawet resztę koni. Było tak zimno. Chciałam oczywiście im pomóc, ale żyliśmy w różnych czasach. Jak miałam im pomóc, skoro mnie nawet nie było na świecie? Oczywiście wiedziałam, że umrą. Ale to trwało tak długo.

Gdy przyjechali ostatni raz, fontanna była zamrznięta. Używali mieczy i pik, by pokruszyć lód na kawałki. Rozpalili ognisko i topili lód w kociołku. Z juków wyjęli kości — najróżniejsze kości — i wrzucili je do zupy. Musiał to być bardzo chudy rosół, bo z kości już dawno objedzono ostatnie ślady mięsa.

142

143

Nie wiem, co to *były* za kości. Może zajęcze, a może to były kości sarny lub dzika. Może zbędnych koni.

Wolę nie myśleć — powiedziała babka — że mogły to być kości żołnierzy, których z nimi już nie było.

— Babciu, idź spać — poprosiłem.

— Nie martw się tym niedźwiedziem — odparła.

W jadalni Pensjonatu Grillparzer zaatakowaliśmy Herr Theobalda zarzucając mu, że inni goście i ich menażeria nie dali nam w nocy spać. Wiedziałem, że (jak nigdy dotąd) ojciec zamierzał ujawnić się jako szpieg Biura Turystyki.

— Ludzie chodzący na rękach — rozpoczął ojciec.

— Ludzie podglądający pod drzwiami toalety — dodała babcia.

— Ten człowiek — powiedziałem i wskazałem drobnego, markotnego człowieczka przy stole w rogu, jedzącego śniadanie w towarzystwie swych siepaczy — opowiadacza snów i węgierskiego śpiewaka.

— On w ten sposób zarabia na życie — wyjaśnił Herr Theobald i, jak gdyby starając się nam to udowodnić, człowieczek stanął na rękach.

— Niech pan mu każe przestać — powiedział ojciec. — Wiemy, co potrafi.

— Ale czy wiecie, że nie może chodzić inaczej? — spytał nagle opowiadacz snów. — Czy wiecie, że nie może używać nóg? On nie ma kości piszczelowych. To wspaniałe, że może chodzić na rękach! Inaczej w ogóle nie mógłby chodzić. — Człowieczek, choć widać było, że przychodzi mu to z trudem w tej pozycji, przytaknął.

— Proszę, niech pan usiądzie — poprosiła mama.

— Nie ma nic złego w tym, że jest się kaleką — stwierdziła odważnie babcia. — Ale pan jest złym człowiekiem — powiedziała do opowiadacza snów. — Wie pan o rzeczach, o których nie powinien pan wiedzieć. On zna mój sen — oznajmiła Herr Theobaldowi, jakby zgłaszała kradzież dokonaną w jej pokoju.

144

— Wiem, że jest odrobinę zły — przyznał Theobald. — Ale nie zawsze. I coraz lepiej się zachowuje. Cóż na to poradzi, że wie.

— Chciałem tylko przemówić pani do rozsądku — zwrócił do babci opowiadacz. — Myślałem, że będzie to z korzyścią dla pani. W końcu pani mąż od dawna już nie żyje i chyba najwyższy czas, by przestać tak

bardzo się tym snem przejmować. Nie jest pani jedyną osobą, którą nawiedzają takie sny.
— Proszę przestać — zirytowała się babka.
— No, ja chyba wiem najlepiej — odparł opowiadacz.
— Nie, proszę o spokój — powiedział mu Herr Theobald.
— Jestem z Biura Turystyki — oświadczył ojciec chyba dlatego, że nic innego nie przychodziło mu do głowy.
— O mój Boże, cholera jasna! — zawołał Herr Theobald.
— To nie wina Theobalda — powiedział śpiewak. — To nasza wina. To bardzo miło z jego strony, że daje nam dach nad głową, choć płaci za to swoją reputacją.
— Poślubili moją siostrę — powiedział nam Theobald. — Więc widzicie państwo, są moją rodziną. Co ja mogę zrobić?
— Oni poślubili pańską siostrę? — spytała mama.
— Hmm, najpierw wyszła za mnie — wyjaśnił opowiadacz.
— A potem usłyszała, jak śpiewam — dodał śpiewak.
— Za tego trzeciego nigdy nie wyszła — oznajmił Theobald i wszyscy ze współczuciem popatrzyli na człowieka, który mógł chodzić tylko na rękach.
Theobald powiedział: — Kiedyś tworzyli trupę cyrkową, ale przez politykę znaleźli się w tarapatkach.
— Byliśmy najlepsi na Węgrzech — zakomunikował śpiewak. — Słyszeliście państwo o Cyrku Szolnok?
— Przepraszam, ale chyba nie — odparł poważnie ojciec.
— Graliśmy w Miszkolcu, Segedzie, Debreczynie — wyliczał opowiadacz.
— W Segedzie dwa razy — uzupełnił śpiewak.
— Dotarlibyśmy nawet do Budapesztu, gdyby nie Rosjanie — powiedział mężczyzna chodzący na rękach.

145

10 — Ratujać Proška

— Prawda. Rosjanie usunęli mu kości piszczelowe! — dorzucił opowiadacz.
— Mów prawdę — nakazał mu śpiewak. — Urodził się bez tych kości. Ale prawdą też jest, że nie mógł się dogadać z Rosjanami.
— Próbowali wsadzić niedźwiedzia do więzienia — rzucił opowiadacz.
— Mów prawdę — powiedział Theobald.
— Uratowaliśmy przed nimi jego siostrę — oznajmił człowiek, który chodził na rękach.
— Tak więc muszę dawać im dach nad głową — wyjaśnił Herr Theobald. — A oni pracują, jak tylko mogą. Ale kogo w tym kraju interesuje ich numer? To węgierski numer. Tutaj nie ma tradycji niedźwiedzi na monocykłach — zauważył Theobald.
— A dla nas, Wiedeńczyków, te cholerne sny nic nie znaczą.
— Mów prawdę — poprawił go opowiadacz. — Chodzi o to, że opowiadam niewłaściwe sny. Pracowaliśmy w klubie nocnym na Karntnerstrasse, ale zakazali nam występów.
— Nie powinieneś być nigdy opowiadać tego snu — stwierdził z powagą śpiewak.
— Twoja żona też za to odpowiada! — odparł opowiadacz.
— Wtedy była twoją żoną — powiedział śpiewak.
— Przestańcie, proszę — błagał Theobald.
— Teraz zaliczamy bale charytatywne na rzecz chorych dzieci — poinformował opowiadacz. — I niektóre szpitale państwowe, szczególnie na Boże Narodzenie.
— Gdybyście tylko mieli więcej numerów z niedźwiedziem — radził im Theobald.
— O tym porozmawiaj ze swoją siostrą — powiedział śpiewak. — To jej niedźwiedź; ona go tresowała, ona pozwoliła mu stać się leniwym niechlujem i nabrać tych wszystkich, złych nawyków.
— On jedyny z was nigdy ze mnie nie sztydzi — oznajmił człowiek, który mógł chodzić tylko na rękach.
— Chciałabym mieć to wszystko za sobą — westchnęła babcia. — Dla mnie to straszne przeżycie.
— Droga pani, proszę — powiedział Herr Theobald — chcieliśmy państwa tylko przekonać, że nikogo nie mieliśmy zamiaru obrażać. Mamy teraz ciężkie czasy. Potrzebuję kategorii B, by przyciągnąć więcej turystów, a nie mogę, nie mam serca, wyrzucić Cyrku Szolnok.
— Nie ma serca, niech go szlag — oburzył się opowiadacz. — Boi się siostry. Nawet nie może marzyć o wyrzuceniu nas.
— Gdyby o tym marzył, ty byś o tym wiedział! — zawołał człowiek na rękach.
— Ja się boję tego niedźwiedzia — powiedział Herr Theobald. — On robi wszystko, co ona mu każe.
— Mów o nim z większym szacunkiem — zaprotestował człowiek na rękach. — To wspaniały niedźwiedź i nigdy nikogo nie skrzywdził. Dobrze wiesz, że nie ma pazurów i już tylko parę zębów.
— Biedaczek, ma okropne problemy z jedzeniem — przyznał Herr Theobald. — Jest całkiem stary i

brudzi.

Ponad ramieniem ojca zobaczyłem, jak zapisywał w swoim wielkim notesie: — Niedźwiedź w depresji i bezrobotny cyrk. Głową rodziny jest siostra.

W tej chwili za oknem, na chodniku, zobaczyliśmy ją, jak zajmuje się niedźwiedziem. Był wczesny ranek i na ulicy nie znajdowało się zbyt wielu ludzi. Trzymała, oczywiście, niedźwiedzia na smyczy, zgodnie z prawem, ale było to panowanie czysto symbolicznie. W swym uderzająco czerwonym turbanie kobieta chodziła w tę i z powrotem po chodniku, podążając za leniwymi ruchami niedźwiedzia na monocyklu. Zwierzę pedałowowało niespiesznie od parkometru do parkometru, czasami opierając się o któryś łapą na zakręcie. Miał wielki talent do takiej jazdy, to było widać, ale było również widać, że monocykl stał się dla niego ślepą uliczką. Widać było, że niedźwiedź przeczuwał, iż dalej w swojej jeździe na monocyklu nie mógł się już posunąć.

146

147

— Powinna wreszcie zabrać go z ulicy — zaniepokoił się Herr Theobald. — Skarżą mi się ludzie z ciastkarni obok — powiedział, zwracając się do nas. — Mówią, że niedźwiedź odstrasza im klientów.

— Ten niedźwiedź ściąga im klientów — zauważył człowiek na rękach.

— Jednych przyciąga, innych odpędza — powiedział opowiadacz. Nagle spoważniał, jakby głębia jego własnych myśli go przytłoczyła.

I tak byliśmy zajęci pokazami Cyrku Szolnok, że całkiem zapomnieliśmy o starej Johannii. Kiedy mama zobaczyła, że babcia cicho płacze, kazała mi przyprowadzić samochód pod drzwi.

— To zbyt wiele dla niej — ojciec szepnął do Theobalda. Artyści Cyrku Szolnok wyglądali na zawstydzonych.

Na chodniku niedźwiedź podjechał do mnie i podał mi kluczyki; samochód był zaparkowany przy krawężniku. — Nie wszyscy lubią otrzymywać kluczyki w ten sposób — oświadczył siostrze Herr Theobald.

— Och, myślałam, że jemu to się spodoba — powiedziała, wicherząc mł włosy. Była równie pociągająca jak barmanka, co znaczy, że nocą była bardziej pociągająca; w dziennym świetle widziałem, że jest starsza od brata i starsza niż jej obaj mężowie i za jakiś czas, pomyślałem, przestanie być ich — odpowiednio — kochanką i siostrą, a stanie się matką. Dla niedźwiedzia już nią była.

— Chodź tutaj — poprosiła. Pedałował niespokojnie w miejscu, przytrzymując się dla równowagi parkometru. Lizała małe szkiełko osadzone na korpusie urządzenia. Szarpnęła lekko smyczą. Spojrzał się na nią. Szarpnęła znowu. Niedźwiedź bezczelnie zaczął pedałowac — najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Wyglądało to tak, jakby nagle się ożywił widząc, że ma widownię. Zaczął się popisować.

— Tylko nie próbuj żadnych sztuczek — powiedziała mu siostra, ale on pedałowac coraz szybciej, to w przód, to

w tył, robiąc ostre zakręty i wirując pomiędzy parkometrami. Siostra musiała puścić smycz. — Duna, przestań — wołała, ale niedźwiedź wymknął się już spod kontroli. Pozwolił, by koło toczyło się zbyt blisko krawężnika i monocykl zarzuciło na błotnik zaparkowanego samochodu. Niedźwiedź usiadł na chodniku obok monocykla; widać było, że nic mu się nie stało, ale wyglądał na bardzo zażenowanego, a nikt się nie śmiał. — Och, Duna — powiedziała siostra z naganą w głosie, ale podeszła i przykucnęła obok niego na krawężniku. — Duna, Duna — karciła go delikatnie. Potrząsnął swą wielką głową; nie chciał nawet na nią spojrzeć. Odrobina śliny spadła mu na futro koło pyska, a ona starła ją dłonią. Odepchnął jej rękę łapą.

— Zapraszamy ponownie — zawołał przybity Herr Theobald, kiedy już wsiedliśmy do samochodu.

Mama siedziała z zamkniętymi oczami, palcami masując sobie skronie. W ten sposób mogła udawać, że nie słyszy nic z tego, co mówimy. Twierdziła, że to jedyny sposób, by wytrzymać podróż z taką kłótliwą rodziną.

Nie chciałem składać sprawozdania na temat niezwyklego sposobu opiekowania się samochodem, ale widziałem, że tata próbuje zaprowadzić jakiś pozór ładu i porządku; na kolanach rozpostarł swój wielki notatnik tak, jakbyśmy właśnie zakończyli jakieś rutynowe badanie. — I co nam mówi licznik? — spytał.

— Ktoś nabił trzydzieści pięć kilometrów — powiedziałem.

— Ten straszny niedźwiedź tu był — oznajmiła babcia. — Tu, na tylnym siedzeniu są kudły z brzucha i czuć go tu jeszcze.

— Ja tam nic nie czuję — zauważył tata.

— I perfumy tej cyganki w turbanie — powiedziała babcia. — Czuć je w całym samochodzie — ojciec i ja pociągnęliśmy nosami. Mama dalej masowała sobie skronie.

Na podłodze, koło pedałów gazu i sprzęgła, dostrzegłem parę miętowozielonych wykałaczek, które węgierski śpiewak nosił jak bliznę w kąciку ust. Nie wspomniałem o nich. Można było sobie ich wszystkich wyobrazić — balujących po mieście naszym samochodem. Śpiewak prowadził, obok niego siedział

148

149

człowiek na rękach — machając do ludzi nogami przez okno. A na tylnym siedzeniu, pomiędzy opowiadaczem i jego była żoną — z wielką głową muskającą sufit i śmiercionośnymi łapami opuszczonymi na brzuch — stary niedźwiedź rozwalony jak jakiś niegroźny pijaczek.

— Tacy biedni ludzie — powiedziała mama, nie otwierając oczu.

— Kłamcy i kryminaliści — zaoponowała babcia. — Mistycy, polityczni uciekinierzy i stetryczale zwierzęta.

— Bardzo się starali — zauważył ojciec — ale nie ma tu zbyt wielu punktów.

— Lepiej by mu było w zoo — podsumowała babcia.

— Ja tam dobrze się bawiłem — stwierdził Robo.

— Trudno wyjść z kategorii C — dodałem.

— Spadli poniżej kategorii Z — oceniła stara Johanna. — Zniknęli w ogóle z ludzkiego alfabetu.

— Chyba będzie tu potrzebny list — powiedziała mama. Ale ojciec podniósł rękę — jakby chciał udzielić nam

błogosławieństwa — i wszyscy zamilkliśmy. Pisał w swoim wielkim notatniku i chciał, by mu nie przeszkadzano. Twarz miał srogą. Wiedziałem, że babcia była absolutnie spokojna o jego decyzję. Mama wiedziała, że nie ma sensu go przekonywać. Robo już się nudził. Ja wyjeżdżałem z tych wąskich uliczek; pojechałem Spiegelgasse do Lobkowitzplatz. Spiegelgasse jest tak wąska, że w szybach sklepów, które się mijają, można zauważyć odbicie własnego samochodu i nagle wydało mi się, że nasze wiedeńskie przeżycia zostały nałożone (tak właśnie) na obraz tego miasta — jak trickowe zdjęcia robione kamerą, jakbyśmy odbywali bajkową podróż przez miasto dla lalek.

Kiedy babcia zasnęła w samochodzie, mama powiedziała: — Nie wydaje mi się, żeby w tym przypadku klasyfikacja zmieniła cokolwiek, w tę czy inną stronę.

— Nie — odparł ojciec — zdecydowanie niewiele. — Pod tym względem miał rację, chociaż miało upłynąć wiele lat, zanim znowu zobaczyłem Pensjonat Grillparzer.

Kiedy zmarła babcia, we śnie i raczej nagle, mama oświadczyła, że ma dosyć podróżowania. Prawdziwym powodem było jednak to, że coraz częściej prześladował ją sen babci. — Konie są takie wychudzone — powiedziała mi kiedyś. — To znaczy, zawsze wiedziałam, że będą chude, ale nie aż tak. A ci żołnierze... wiedziałam, że będą wynędzniali — powiedziała — ale nie aż do tego stopnia.

Ojciec zrezygnował z pracy w Biurze Turystyki i znalazł zajęcie w miejscowej agencji detektywistycznej specjalizującej się w hotelach i domach towarowych. Praca mu całkiem odpowiadała, choć absolutnie odmawiał wykonywania obowiązków w okresie Bożego Narodzenia, kiedy to, jak mówił, niektórym ludziom powinno się pozwolić na drobne kradzieże.

Rodzice zdawali się odprężyć, w miarę jak stawali się starsi i naprawdę wydawało mi się, że pod koniec życia byli rzeczywiście szczęśliwi. Wiedziałem, że moc snu babci przyćmiła świat rzeczywisty, a przede wszystkim to, co przytrafiło się Robo. Poszedł do szkoły prywatnej i był tam lubiany, j ale na pierwszym roku studiów na uniwersytecie zginął od j wybuchu bomby domowej produkcji. Nie był nawet „polityczny”. i W pierwszym liście do rodziców napisał: „Powaga, z jaką różne i frakcje radykalne traktują siebie, jest zdecydowanie przesadzona, i A jedzenie ohydne”. Po czym poszedł na zajęcia z historii, i jego sala została rozerwana na kawałki.

Dopiero po śmierci rodziców rzuciłem palenie i wróciłem do podróżowania. Swoją drugą żonę zabrałem do Pensjonatu Grillparzer. Z pierwszą nigdy nie udało mi się dotrzeć aż do Wiednia.

Stary Grillparzer nie na długo utrzymał przyznaną mu przez ojca kategorię B, a w chwili, kiedy go odwiedzałem, nie miał już żadnej kategorii. Pensjonatem zarządzała siostra Herr Theobalda. Zniknął gdzieś ten urok szorstkości zastąpiony przez bezpłciowy cynizm starej ciotki. Była bezkształtna, a włosy miała pofarbowane na kolor przypominający brąz, tak że jej głowa wyglądała jak kłęb miedzianych drucików do szorowania

150

151

garnków. Nie pamiętała mnie i z wielką nieufnością traktowała wszystkie moje pytania. Ponieważ zdawałem się wiedzieć aż tyle

o jej byłych współnikach, prawdopodobnie domyślała się, że jestem z policji.

Węgierski śpiewak odszedł — inna kobieta zachwycała się jego głosem. Opowiadacz snów został odwieziony do zakładu. Jego własne sny zmieniły się w koszmary i co noc budził pensjonat przerażającym wyciem. Jego odejście z tego zapuszczonego budynku praktycznie zbiegło się, mówiła siostra Herr Theobalda, z utratą przez Grillparzer kategorii B.

Herr Theobald nie żył. Upadł na korytarzu, trzymając się za serce, gdy próbował sprawdzić, czy to nie jakiś rabuś kręci się po pensjonacie. Był to tylko Duna, niedźwiedź-malkontent, ubrany w garnitur w jodełkę należący do opowiadacza. Dlaczego siostra Theobalda ubrała niedźwiedzia w taki strój, nie zostało mi wyjaśnione, ale szok na widok zwierzęcia pedałującego na monocyklu w pozostawionym przez szaleńca garniturze wystarczył, by przyprawić Herr Theobalda o nagłą śmierć.

Najgorszy los spotkał człowieka, który mógł chodzić tylko na rękach. Zegarek na rękę uwiązał w rowku ruchomych schodów

I mężczyzna nie mógł w odpowiedniej chwili zeskoczyć; krawat, który rzadko wkładał, bo ciągnął się po ziemi, gdy szedł na rękach, dostał się pod pokrywą przy końcu ruchomych schodów, i tak się uduślił. Za nim utworzyła się kolejka ludzi — maszerowali w miejscu robiąc krok w tył i pozwalając, by schody poniosły ich w przód, by znowu zrobić krok w tył. Upłynęła dobra chwila zanim ktokolwiek odważył się przejść przez niego. Na świecie jest wiele niezamierzonego okrutnych mechanizmów, nie konstruowanych z myślą o ludziach, którzy chodzą na rękach.

Potem, powiedziała mi siostra Theobalda, Pensjonat Grillparzer spadł z kategorii C o wiele niżej. W miarę, jak ciężar zarządzania stopniowo spadał na nią, miała coraz mniej czasu dla Duni. Niedźwiedź dzieciłniał i zaczął się nieprzyzwoicie zachowywać. Kiedyś tak popędził listonosza po marmurowych schodach, że biedak upadł i złamał nogę w biodrze; atak został zgłoszony odpowiednim władzom i względem Duni zastosowano stare zarządzenie miejskie, zakazujące posiadania w miejscach dostępnych dla publiczności zwierząt nie znajdujących się pod kontrolą. Dunie zakazano pokazywania się w pensjonacie.

Przez jakiś czas siostra Theobalda trzymała niedźwiedzia w klatce na podwórzu budynku, ale tam dokuczały mu psy i dzieci, a z okien mieszkań wychodzących na podwórze wrzucano do klatki jedzenie (i jeszcze gorsze rzeczy). Stawał się w zachowaniu coraz mniej podobny do niedźwiedzia i bardzo podstępny; tylko udawał, że śpi i pewnego razu zjadł prawie w całości czyjś koci. Po tym próbowano go dwukrotnie otruć i Duna zaczął bać się jeść cokolwiek. Nie było wyjścia, tylko podarować go zoo w Schönbrunn, ale powstały jakieś wątpliwości, czy można go tam przyjąć. Nie miał zębów i był chory, może nawet na jakąś chorobę zakaźną, a długi okres traktowania go jak człowieka nie przygotował go do pędzenia mniej wygodnego życia w zoo.

Legowisko w podwórzu Grillparzera spowodowało gwałtowny rozwój reumatyzmu i w ten sposób Duna stracił swój jedyny talent — umiejętność jazdy na monocyklu. Kiedy spróbował tego w zoo, upadł. Ktoś zaśmiał się. Kiedy ktoś choć raz wyśmieje coś, co Duna zrobił, wyjaśniała siostra Theobalda, Duna za nic już tego nie powtórzy. Na koniec stał się swego rodzaju pensjonariuszem na łaskawym chlebie w Schönbrunn, gdzie zmarł po krótkich dwóch miesiącach od przeprowadzki z pensjonatu. Zdaniem siostry Theobalda, Duna zmarł ze wstydu i zmartwienia, spowodowanego wysypką na jego wielkiej klatce piersiowej, którą dlatego trzeba było ogolić. Wygolony niedźwiedź, powiedział jeden z pracowników zoo, umiera ze wstydu.

Na zimnym podwórzu budynku zajrzałem do pustej klatki po niedźwiedziu. Ptaki nie zostawiły nawet jednej pesteczki, ale w rogu wznosiła się górka skamieniałych odchodów niedźwiedzi, tak pozbawionych życia, a nawet zapachu, jak

152

153

ciała ofiar zagłady Pompei. Nie mogłem nie pomyśleć o Robo — z niedźwiedzia jednak więcej pozostało. W samochodzie jeszcze bardziej mnie przygnębił fakt, iż nikt nie nabił na licznik ani jednego kilometra, nie przejechał na mój rachunek nawet stu metrów. Nie było już nikogo, kto mógłby sobie na to pozwolić.

— Kiedy będziemy w bezpiecznej odległości od tego twojego cudownego Pensjonatu Grillparzer — powiedziała moja druga żona — chciałabym, byś mi wyjaśnił, dlaczego przywiozłeś mnie do takiej nory.

— To długa historia — przyznałem się.

Myślałem o tym, że w sprawozdaniu z dziejów świata, podanym mi przez siostrę Theobalda, dał się zauważyć jakiś dziwny brak czy to entuzjazmu, czy zgorzknienia. Jej opowieść charakteryzowała się tego rodzaju zwietrzałością, z jaką narrator przyjmuje nieuchronność smutnego zakończenia; jakby dla niej jej własne życie i życie jej towarzyszy nie było czymś egzotycznym, jakby nigdy nie przestawali grać widowiska, którego celem była reklasyfikacja pensjonatu.

Król powieści

1. Dlaczego lubię Karola Dickensa; dlaczego niektórzy go nie lubią

Wielkie nadzieje to pierwsza powieść jaką przeczytałem. Później żałowałem, że to nie ja ją napisałem. Była to pierwsza powieść, która sprawiła, że chciałem zostać pisarzem; a konkretnie, że poczułem pragnienie, aby wzruszyć czytelnika tak, jak ja się wzruszyłem. Uważam, że *Wielkie nadzieje* mają najwspanialszą i najlepiej skonstruowaną fabułę ze wszystkich anglojęzycznych powieści. Jednocześnie w książce przez cały czas widoczny jest zamiar doprowadzenia czytelnika do śmiechu i do łez. Ale jest w tej powieści wiele rzeczy, których ludzie nie lubią. A zwłaszcza jedna, której ludzie nie lubią u Dickensa szczególnie. Oto rzecz znajdująca się na pierwszym miejscu listy spraw, których ludzie nie lubią: celem powieści Dickensa jest pobudzenie w czytelniku emocji, a nie intelektu; Dickens, mówiąc o sprawach społecznych, odwołuje się do naszych emocji. Nie jest analitykiem; jego pisarstwo nie ma charakteru analitycznego — choć potrafi być dydaktyczne. Jego geniusz jest rodzaju opisowego; potrafi tak żywo i tak wzruszająco opisywać, że na rzecz przez niego opisaną można spoglądać wyłącznie w sposób przez niego narzucony.

Nie można spotkać się z więźniami z powieści Dickensa i dalej odczuwać to święte przekonanie, że powinni oni być tam,

155

gdzie ich miejsce; nie można poznać prawnika o przerażającej wieloznaczności pana Jaggersa i mieć jeszcze ochotę z własnej woli powierzyć mu swój los. Jaggers, choć jest tylko postacią drugoplanową w *Wielkich nadziejach*, jest prawdopodobnie największym oskarżeniem życia według abstrakcyjnych reguł. Dickens dał mi również niezarty obraz krytyka: jest to pan Bentley Drummle, „drugi dziedzic tytułu barona” i „człowiek tak nadąsany, że nawet książkę brał w rękę z taką miną, jakby pisarz wyrządził mu krzywdę”.

Choć doświadczenia z krzywdą społeczną były krótkie i przypadają na okres młodości, nigdy nie przestały prześladować Dickensa — upokorzenie ojca w więzieniu dla dłużników Marshalsea! Jego własna trzymiesięczna praca (w wieku lat jedenastu) w fabryce czernidła w Hungerford Stairs, gdzie przyklejał nalepki na butelki; i spowodowane kłopotami finansowymi ojca kilkakrotne przeprowadzki rodziny — szczególnie ta, kiedy Karol miał dziewięć lat, do podlegszego lokum w Chatham, i niedługo potem wyprowadzka z Chatham, w którym spędził dzieciństwo. Napisał: „Miałem nadzieję, że życie jest mniej uporządkowane, niż się spodziewałem”. Mimo to, jego wyobraźnia nigdy nie . zubożała; w *Dawidzie Copperfieldzie* napisał (mając w pamięci swoje czytelnicze doświadczenia w pokoju na poddaszu przy St Mary's Place w Chatham): „Byłem Tomem Jonesem (dziecięcym Tomem Jonesem, postacią nieszkodliwą)”. Był też Don Kichotem i wszystkimi jeszcze mniej prawdopodobnymi bohaterami wiktoriańskich baśni swoich czasów. Jak napisał Harry Stone: „Trudno powiedzieć, co było najpierw, zainteresowanie Dickensa baśniami, czy jego przez nie ukształtowanie”. Wspaniały biograf Dickensa, Edgar Johnson, w podobny sposób opisuje źródła wyobraźni tego autora, twierdząc ponadto, że Dickens stworzył „nową formę literacką, swego rodzaju baśń, która jest jednocześnie zabawna, heroiczna i realistyczna”.

Chatham z czasów dzieciństwa Dickensa opisane jest w *Wielkich nadziejach* bardzo wyraziście: groby na przykościelnym cmentarzu, które widział ze swego okna na poddaszu, i czarny kadłub okrętu skazańców, „jak niegodziwa Arka Noego”, który widywał na horyzoncie w czasie wycieczek statkiem po Medway do Tamizy. Tam też po raz pierwszy zobaczył skazańców. W pejzażu *Wielkich nadziei* jest bardzo wiele z krajobrazu Chatham: powleczone oparami bagna, zamglona rzeka, i żywy wzorzec Błękitnego Dzika z pobliskiego Rochesteru. Tam znajdował się również dom wuja Pumblechooka i Satis House, gdzie mieszka panna Havisham. W czasie przechadzek z ojcem z Gravesend do Rochester przystawali w Kent i oglądali pałac na szczycie ciągnącego się dwie mile zbocza Gad's Hill; ojciec powiedział mu, że jeśli będzie bardzo ciężko pracował, któregoś dnia może tam zamieszka. Biorąc pod uwagę położenie rodziny w czasie ich pobytu w Chatham, młodemu Karolowi trudno chyba było w to uwierzyć, ale pewnego dnia zamieszkał tam — na ostatnich dwanaście lat swego życia — tam napisał *Wielkie nadzieje* i tam zmarł. Ludziom, którym wyobraźnia Dickensa wydaje się być zanadto wybujała, przydałby się rzut oka na jego życie.

Rozpalało ją osobiste nieszczęście i żarliwość reformatora społecznego. Jak wielu ludzi, którym się powiodło, zrobił dobry użytek ze swych życiowych rozczarowań — reagując na nie z energią, prawie szaleńczą aktywnością, bez potrzeby przychodzenia po nich do siebie. W wieku piętnastu lat opuścił szkołę; w wieku lat siedemnastu został dziennikarzem specjalizującym się w sprawach prawnych; w wieku dziewiętnastu lat został sprawozdawcą parlamentarnym. W wieku lat dwudziestu, w czasie zimy 1831/32 był świadkiem bezrobocia, głodu i cholery, a jego pierwszy sukces literacki w wieku dwudziestu

jeden lat przyćmiła nieszczęśliwa pierwsza miłość. Ona była córką bankiera, a jej rodzina unikała Dickensa; wiele lat później wróciła do niego w swej żenującej dojrzałości — była wówczas pulchna i męcząca, teraz on jej unikał. Ale kiedy spotkał ją po raz pierwszy, fakt, że go odrzuciła, kazał mu pracować jeszcze ciężiej; Dickens nigdy się nie mazgał.

156

157

Miał to, co Edgar Johnson nazywa „niezmierzoną wiarą w siłą woli”. Jedną z najwcześniejszych recenzji na temat twórczości Dickensa (napisana, wyobraźcie sobie, przez jego przyszłego teścia!) uchwyciła absolutnie poprawnie talent młodego autora: „Dokładna obserwacja charakteru i obyczajów”, napisał George Hogarth o dwudziestoczteroletnim Dickensie, „połączona z silnym zmysłem absurdalności i malarską zdolnością pokazywania głupoty i absurdów ludzkiej natury w najbardziej kapryśnych i zabawnych blaskach światła. Ma również zdolność wywoływania tak łez, jak i śmiechu. Jego obrazy wad i podłości, które wypełniają to wielkie miasto wystarczają, by chwycić za serce najbardziej nieuważnego i niewrażliwego czytelnika”.

I rzeczywiście, gwiazda młodego Dickensa tak przyćmiła blask Roberta Seymoura, pierwszego ilustratora *Klubu Pic-kwicka*, że ten strzelił sobie w łeb. W 1837 Dickens był już sławny, dzięki panu Pickwickowi. Miał dopiero 25 lat; wziął pod swoje skrzydła nawet swych nieszczęsnych rodziców. Po dwukrotnym wykupieniu ojca z więzienia dla dłużników, Dickens przeniósł rodziców siłą z Londynu do Exeter, próbując w ten sposób zapobiec zaciąganiu przez niesfornego tatę niespłacalnych długów na konto sławnego syna.

W kategoriach politycznych wyczulenie Dickensa na bolączki społeczne najlepiej można określić jako reformatorski liberalizm; trudno by go jednak przyszpilić tym określeniem. Jego postawa względem zniesienia kary śmierci, na przykład, opierała się na przekonaniu, że kara śmierci w żaden sposób nie przyczynia się do zniechęcania ludzi do popełniania przestępstw i nie wpływała z jakiegos współczucia dla wszystkich złoczyńców. Dla Dickensa, jak ujął to Johnson, „największym złem były psychologiczne skutki okropnego dramatu wieszania na szubienicy na oczach zezwierzęconego i radującego się tłumu”. Był niezmordowany w swym wspieraniu reformy domów dla kobiet i niezliczonych działań wspomagających i dobroczynnych na rzecz ubogich. Kiedy doszedł do *Dombeya i syna* (1846-48), posiadał już w pełni rozwinięte poglądy na temat chciwości

objawiającej się w świecie gospodarki konkurencyjnej i ostro potępiał obojętność względem losu ludzi pokrzywdzonych. Zaczynał dostrzegać, pracując nad *Oliverem Twistem* (1837-39), że występki i okrucieństwo nie były rozdawane jednostkom na chybił trafił przy urodzeniu, ale były wytworem społeczeństwa. I na długo przed *Pustkowiec* (1852-53) dokładnie rozumiał, że „lepiej cierpieć wielkie zło, niż uciekać się do o wiele większego zła prawa”.

Miał trzydzieści lat, kiedy po raz pierwszy spróbował redagować „wielką gazetę o poglądach liberalnych”, poświęconą „Zasadom Postępu i Doskonalenia, Oświaty, Wolności Obywatelskiej i Religijnej i Równościowego Prawodawstwa”, która przetrwała tylko siedemnaście dni. W przypadku *Household Words* poszło mu o wiele lepiej: czasopismo, pełne tego, co nazywał „dziwami społecznymi, dobrymi i złymi”, odniosło równie wielki sukces jak wiele z jego powieści. Jako jeden z pierwszych admiratorów pisarstwa George'a Eliota był również jednym z pierwszych, który odgadł jego płeć. „Zauważyłem rzeczy, które wydają mi się posiadać tak kobiecy walor”, napisał do niej, „że zapewnienie na stronie tytułowej nie zadowala mnie, nawet teraz. Jeśli te słowa nie zostały stworzone przez kobietę, to moim zdaniem dotychczas żaden mężczyzna od początku świata nie posiadał sztuki ukształtowania siebie, umysłowo, tak bardzo po kobiecemu jak pan”. Oczywiście była oczarowana i przyznała mu się.

Był tak zaabsorbowany swoimi projektami, że (mimo swej dobrotliwości) nawet utwory jego własnych przyjaciół nie robiły na nim wrażenia. „Nawet nad największymi z nich unosi się ta straszna szacowność”, pisał, „ta mała, skończona, systematyczna rutyna, która tak mi przypomina stan samej Anglii”. Mimo to, zawsze był rycerzem zapomnianych — jak w płynącej z serca i sepleniącej prośbie pana Sleary'ego o wyrozumiałość dla artystów cyrkowych: „Nie krzywcie się na nas, biednych wędrowców. Ludzi trzeba zabawić. Nie mogą stale się uczyć ani stale pracować; nie zostali do tego stworzeni. Jesteśmy wam potrzebni, panie. Postąpcie, panie, szlachetnie i cieszcie się nami,

158

159

a nie gańcie nas!”** Tę właśnie cechę Dickensa błogosławił zawsze Irving Howe, który pisze, że „w [jego] najlepszych powieściach komediant i moralista zdają się być swymi cieniami: a w ostateczności dwoma głosami z tych samych ust”.

Dar Dickensa polega na tym, że spontanicznie potrafi oddać sytuację, która jednocześnie budzi litość i

śmiech, i natchnąć ją swym niepokromionym obrzydzeniem moralnym, tym, co Johnson nazwał „wściekłym demaskowaniem zła społecznego”. Mimo to największe ryzyko podejmowane przez Dickensa jako pisarza ma niewiele wspólnego z jego moralnością społeczną. Nie bał się sentymentalizmu — złości, namiętności, emocjonalnego i psychologicznego odsłaniania się. Nie chronił siebie; nigdy nie był ostrożny. We współczesnych, postmodernistycznych pochwałach sztuki pisania — tego co subtelne, co wyczelowane

— chyba zagubiliśmy samo jądro powieści. Dickens miałby dziś więcej zabawy ze współczesnymi literackimi arystokratami i minimalistami, niż miał z panem Pumblechookiem i panią Jellyby. Był królem powieści w epoce, która stworzyła wzorce formy.

Dickens pisał wspaniałą komedię — wyrafinowaną i niską

— i równie wspaniałą melodramat. Kończąc pierwszy etap nadziei Pipa, Dickens napisał: „Bóg jeden wie, że nie musimy wstydić się swoich łez, bo są one deszczem na ślepy proch ziemi, zalegający nasze serca”. Ale my wstydzimy się łez. Żyjemy w czasach, gdy smak krytyczny mówi nam, że miękkość

** Cytaty z *Ciężkich czasów* porównano z polskim tłumaczeniem Wandy Gojawiczyńskiej-Nadzinowej (Książka i Wiedza, Warszawa, 1950), a z *Wielkich Nadziei* z tłumaczeniem p. Karoliny Beylin (Książka i Wiedza, Warszawa, 1951). Czasami tłumacz, by przystosować wypowiedzi postaci należących do innej kultury do polskiego stylu mówienia, zmuszony jest dokonywać pewnych adaptacji tekstu oryginału. Obie tłumaczkę, a szczególnie pani Gojawiczyńską--Nadzinową, korzystając z tych prerogatyw, czasami dość swobodnie traktują materię językową oryginału. Ponieważ jednak Irving odnosi się do tekstu angielskiego, w niniejszym tekście, w sytuacjach gdy wcześniej publikowane tłumaczenie znacznie odbiega od tekstu oryginału, posłużono się tłumaczeniem filologicznym, które pozostaje bliższe materii językowej, którą komentuje Irving. (przyj. tłum.)

serca jest siostrą głupkowatości; jesteśmy pod takim wpływem telewizyjnych śmieci, że nawet reagując na nie, reagujemy zbyt gwałtownie — dochodzimy do wniosku, że wszelka próba doprowadzenia widowni do śmiechu lub łez jest bezwstydem: jest wulgarną komedią, serialem lub oboma na raz.

Edgar Johnson ma rację, zauważając, że „choć wiele mówi się o wiktoriańskiej powściągliwości, emocjonalnie to właśnie on był powściągliwy, a nie oni. Bardzo wielu współczesnych czytelników, szczególnie tych zwanych «wyrafinowa-nymi», nastawionych jest podejrzliwie względem wszelkiego niepokromionego poddawania się emocjom. Szczególnie kiedy są one szlachetne, bohaterskie lub czułe — wywołują grymas sceptycznego niesmaku lub niedowierzania. Płynący z serca wyraz sentymentu uważają za przesadny, pełen hipokryzji lub żenujący”. Johnson podaje też powód takiego zachowania: „Istnieją, oczywiście, wyjaśnienia naszego szczególnego strachu przed sentymentem jako sentymentalizmem. Wraz z olbrzymim rozwojem literatury popularnej wulgarni naśladowcy potanili metody, których nauczyli się od wielkich pisarzy i uczynili swe opisy emocji bardziej grubiańskimi. To właśnie potęga Dickensa uczyniła go wzorcem dla takich naśladowców”.

Dla współczesnego czytelnika pisarz, który ryzykuje sentymentalizm, jest już winny. Ale dla pisarza oznaką tchórzostwa jest do tego stopnia unikać sentymentalizmu, by całkowicie go zaniechać. Dla studentów pisarstwa jest *rzeczą* typową — i wybaczną — bronienie się przed miazgowatością przez unikanie pisania o ludziach albo przez unikanie stawiania swych bohaterów w sytuacjach krańcowych. Opowiadanie o obiedzie składającym się z czterech dań napisane z punktu widzenia widelca nigdy nie będzie sentymentalne; może też nie mieć dla nas większego znaczenia. Dickens rzucał się w sentymentalizm na łeb na szyję. „Jego bronią była broń karykatury i burleski”, pisze Johnson, „melodramatu i nieskrępowanego sentymentu”.

I jeszcze jedna wspaniała cecha — jego pisarstwo nigdy nie jest próżne; to znaczy, że nigdy nie poszukuje

160

11 — Ratuje Prośka

161

oryginalności. Nigdy nie udawał, że jest badaczem nieznanych łądów, odkrywającym nieznanne zło. Nigdy też nie był na tyle próżny, by wyobrazić sobie, że jego miłość do języka czy też jego użycie były w jakikolwiek sposób szczególne; potrafił pisać bardzo ładnie, jeśli tylko chciał, ale nigdy nie miał tak mało do powiedzenia, by myśleć, że celem pisarstwa jest ładny język; tego rodzaju oryginalność również go nie interesowała. Największym powieściopisarzom nigdy nie chodziło o tego rodzaju oryginalność języka:

Dickens, Hardy, Tołstoj, Hawthorne, Melville... Ich tak zwany styl to każdy styl; wszystkich używają. Dla takich powieściopisarzy oryginalność języka to tylko moda, która przeminie. Sprawy większe i mniej ozdobne — to, czym się zajmują, ich obsesje — przetrwają: opowieść, postacie, śmiech i łzy.

Mimo to, pisarze uważani za mistrzów stylu również zachwycali się techniczną sprawnością Dickensa, choć uważali ją za rzecz instynktu, za coś, czego nie można ani siebie, ani kogoś, nauczyć. *Charles Dickens: A Critical Study* G.K. Chestertona jest jednocześnie hołdem i precyzyjnym przeglądem technik stosowanych przez Dickensa. Przynosi też cudowną apologię bohaterów Dickensa. „Choć jego bohaterowie często byli karykaturami, nie byli aż takimi karykaturami, jak suponowali ci, którzy nigdy nie spotkali podobnych postaci”, pisze Chesterton. „A krytycy nigdy nie spotkali takich postaci, ponieważ krytycy nie

żyli życiem prostych Anglików, tak jak Dickens. Anglia była krajem o wiele zabawniejszym i straszniejszym, niż wydawało się to ludziom pokroju tych, którzy piszą recenzje".

Należy zauważyć, że zarówno Johnson, jak i Chesterton podkreślają fakt umiłowania przez Dickensa tego, co pospolite; natomiast krytycy Dickensa podkreślają jego ekscentryczność. „Nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że Dickens jest wyjątkowym zjawiskiem w historii ludzkości" pisze Chesterton, „(...) nagi płomień czystego geniuszu wybuchający w człowieku pozbawionym kultury, tradycji, wsparcia religii i filozofii czy wielkich zagranicznych szkół; i to wydobywające z mroku światło,

162

jakiego wcześniej nie było na morzu czy lądzie, nawet jeśli tylko tworzyło długi fantastyczny cień rzeczy powszednich, na które padało".

Yladiimir Nabokov wskazał, że Dickens nie pisał każdego zdania tak, jakby od niego zależała cała jego reputacja. „Kiedy Dickens ma do przekazania czytelnikowi jakąś informację w dialogu czy medytacji, obrazy poetyckie nie są nachalne", pisze Nabokov. Dickens wiedział, jak sprawić, by czytelnik czytał dalej; ufał sile swego opisu — tak bardzo jak ufał swej zdolności sprawienia, by czytelnicy poczuli się emocjonalnie związani z jego postaciami. Po prostu impet narracji i zainteresowanie postawami moralnymi sprawiają, że powieść bardziej wciąga na stronie 300 niż na stronie 30. „Wybuchy żywego obrazowania są rozłożone w przestrzeni", jak ujął to Nabokov.

„Ale czy on przypadkiem we wszystkim nie przesadzał?" — pytają krytycy.

„Kiedy ktoś mówi, że Dickens przesadza", napisał George Santayana, „mnie się wydaje, że taki ktoś nie ma oczu ani uszu. Prawdopodobnie posiada tylko pojęcie, czym rzeczy i ludzie są; przyjmuje je konwencjonalnie, zgodnie z ich wartością dyplomatyczną". A tym, którzy utrzymują, że nikt jednak nie był tak sentymentalny lub że nie było nigdy nikogo podobnego do Wemmicka czy Jaggersa, czy Bentleya Drummla, Santayana mówi: „Wyższe sfery są zakłamane; są tacy ludzie: w chwilach szczerości my sami tacy jesteśmy". Santayana broni również stylistycznych ekscesów Dickensa: „Ta umiejętność, która czyni z niego skończonego komika jest właśnie tym, co oddaliło go od późniejszego pokolenia, w którym ludzie smaku byli estetami, a ludzie cnotliwi wyniosłymi snobami; chcieli sztuki mizdrzącej się, a on dawał im szczodłą improwizację; oni chcieli analizy i rozwoju, a on dawał im prawdziwą komedię".

Nic dziwnego więc — zarówno z powodu, jak i pomimo jego popularności — że Dickens był często błędnie rozumiany i wyśmiewany. W czasie pierwszej wizyty w Ameryce był nieugięty

163

w swych atakach na amerykański zwyczaj ignorowania międzynarodowego prawa autorskiego; nie znosił również niewolnictwa i mówił o tym głośno; amerykański zwyczaj plucia znajdował obmierzłym i prymitywnym; i jego zdaniem, spotykanym wszędzie. Za swoją krytykę został nagrodzony przez naszych (amerykańskich) krytyków epitetami w rodzaju „sensacjonalista" czy „ten słynny groszórób"; jego intelekt określano jako „prymitywny, wulgarny, bezczelny i powierzchowny"; był nazywany człowiekiem „ograniczonym i zarozumiałym", a wśród wszystkich gości, którzy kiedykolwiek odwiedzili „ten oryginalny i godny uwagi kraj", był uważany za „najbardziej miałkiego — najbardziej dziecinnego — najbardziej tandetnego — najbardziej godnego pogardy"...

Tak więc, oczywiście, Dickens miał wrogów; nie mogli osiągnąć jego wspaniałego instynktu czy dorównać jego pełnemu wigoru życia. Zanim zaczął *Wielkie nadzieje*, powiedział: „Muszę wycisnąć wszystko z tej książki — może dobre imię?" Dobre, rzeczywiście, i tytuł, który wielu pisarzy chciałoby zarezerwować dla siebie, tytuł, który mogłoby nosić wiele wspaniałych powieści: *Wielki Gatsby*, *Do latami morskiej*, *Burmistrz Casterbridge*, *Słońce też wschodzi*, *Anna Karenina*, *Moby Dick* — wszystkie wielkie nadzieje, oczywiście.

2. Więzień małżeństwa; Jedyne szczęście, którego zabrakło mi w życiu..."

„Ale co z fabułą?" — pytają krytycy. „Czyż jego fabuły nie są nieprawdopodobne?"

Och, Boże, jeszcze pytać czy są „nieprawdopodobne"! Zastanawiam się, ilu ludzi, którzy nazywają jakąś fabułę „nieprawdopodobną", zdaje sobie sprawę, że w ogóle nie lubią żadnych fabuł. Istotą fabuły jest to, że jest nieprawdopodobna.

A jeśli czytaliście państwo wiele współczesnych powieści, prawdopodobnie nie jesteście przyzwyczajeni do zbyt częstego natykania się tam na fabuły; gdybyście teraz ją spotkali, z pewnością uznalibyście ją za nieprawdopodobną. A mimo to, kiedy Brytyjczycy wypłynęli na swoją małą wojenkę z Argentyną w 1982 roku, jako okrętu transportowego użyli luksusowego statku pasażerskiego *Queen Elizabeth II*. A co się stało najważniejszym wojskowym celem sił argentyńskich, które zostały całkowicie zgniecione w tej wojnie? Oczywiście, zatopienie luksusowego statku pasażerskiego *Queen Elizabeth II*, by przynajmniej uratować to, co ludzie nazywają „moralnym zwycięstwem". Aż trudno to sobie wyobrazić. Tylko, że wierzymy w podawane w dziennikach o wiele mniej prawdopodobne zdarzenia, niż byłibyśmy skłonni

zaakceptować w dziele literackim. Literatura jest, i musi być, lepiej skonstruowana niż dziennik: fabuły, nawet najmniej prawdopodobne, są również lepiej skonstruowane niż życie.

Przypatrzmy się przez chwilę małżeństwu Karola Dickensa. Gdybyśmy historię tego małżeństwa spotkali w powieści, wydałaby się nam wielce nieprawdopodobna. Kiedy Dickens poślubił Catherine Hogarth, młodsza siostra Catherine, Mary, która miała tylko szesnaście lat, zamieszkała razem z nimi. Mary uwielbiała szwagra i była w ich domu nieustannym źródłem radości — a mogła się wydawać jeszcze bardziej promienna i zrównoważona w porównaniu z okresami ponurego zamykania się w sobie Catherine. O ileż łatwiej jest być gościem niż współmałżonkiem! By sprawę jeszcze pogorszyć, Mary zmarła mając siedemnaście lat, stając się tym samym idealną relikwią w pamięci Dickensa, co w późniejszych latach jego małżeństwa z Kate (tak nazywano Catherine) spowodowało, że stawała się coraz większą świętością, z którą Kate nie mogła konkurować. Mary była, oczywiście, wizją doskonałości w postaci dziewczęcej niewinności i często pojawiała się w powieściach Dickensa: jest małą Nell w *Magazynie osobliwości*, Agnes w *Dawidzie Copperfieldzie*, jest małą Dorrit. Z pewnością jej dobroć stała

164

165

się też częścią charakteru Bidy w *Wielkich nadziejach*, choć zdolność Bidy do krytykowania Pipa wyrosła na żyzniejszej glebie niż to, co Dickens miałby możliwość poznać u Mary Hogarth.

W czasie swej pierwszej wizyty w Ameryce, choć Dickens rzadko wspominał wyczerpanie, w jakie Kate popadała w czasie podróży (szczególnie niepokoiła się o dzieci pozostawione w Anglii), zauważył jednak absolutny brak zainteresowania Ameryką wyrażony przez służącą Kate. Sama Kate, w trakcie wsiadania do łodzi, dylizansów i pociągów, i w czasie wysiadania z nich upadła, jak to udokumentował, siedemset czterdzieści trzy razy. Choć jest to z pewnością przesada, pani Dickens charakteryzowała się wyjątkową niezdarnością. Johnson sugeruje, że cierpiała na jakieś zaburzenia nerwowe, ponieważ jej brak koordynacji fizycznej był zadziwiający. Dickens obsadził ją kiedyś w jednym ze swych amatorskich spektakli teatralnych, w małej roli, w której Kate miała tylko trzydzieści linijek tekstu, a mimo to udało jej się wpaść w zapadnię na scenie i tak silnie zwichnąć sobie stopę w kostce, że trzeba było znaleźć dla niej zastępstwo. Były to doprawdy rozpaczliwe próby zwrócenia na siebie uwagi Dickensa, ale Kate z pewnością na swój sposób cierpiała w ich małżeństwie równie mocno, co jej mąż.

Kiedy dwudziestotrzyletnie małżeństwo z Kate zaczęło się rozpadać, któż inny miałby mieszkać z nimi jak nie następną z młodszych sióstr Kate? Dla Dickensa Georgina była „najcudowniejszą i najwdzięczniejszą z dziewcząt”; jej lojalność względem niego była tak wielka, że po separacji Dickensa i Kate Georgina z nim pozostała. Może go kochała i była dla niego więcej niż tylko pomocą przy dzieciach (Kate urodziła Dickensowi dziesięcioro dzieci), ale nic nie wskazuje na to, by ich związek miał podłoże seksualne, choć w swoim czasie byli tematem tego rodzaju plotek.

W momencie separacji z Kate Dickens był prawdopodobnie zakochany w osiemnastoletniej aktorce z jego amatorskiego zespołu teatralnego; nazywała się Ellen Ternan. Kiedy Kate odkryła bransoletkę, którą Dickens zamierzał dać w prezencie Ellen (miał zwyczaj obdarowywania drobiazgami swych ulubionych aktorów), oskarżyła Dickensa o skonsumowanie związku z Ellen; związku, który najprawdopodobniej nie został skonsumowany wcześniej, niż w kilka lat po separacji Dickensa i Kate.

Stosunki Dickensa z Ellen Ternan musiały być równie obciążone poczuciem winy i nieszczęśliwe jak jego małżeństwo. W momencie separacji matka Kate rozpowiadała plotkę, jakoby Dickens już przyjął Ellen Ternan na swoją kochankę. Pod nagłówkiem OSOBISTE Dickens opublikował w swym własnym, bardzo popularnym czasopiśmie (*Household Words*) oświadczenie, że takie „nieprawdziwe przedstawienie” jego osoby jest „najbezczelniej fałszywe”. Święte oburzenie Dickensa demonstrowane w obronie własnej zachęcało do rozmaitych spekulacji: każdy szczegół jego małżeństwa i separacji został opisany w nowojorskiej *Tribune* i wszystkich gazetach angielskich. Proszę sobie wyobrazić coś takiego!

Był rok 1858. W ciągu następnych trzech lat Dickens miał zmienić tytuł swego czasopisma z *Household Words* na *Ali the Year Round* i kontynuować swój wyczerpujący zwyczaj drukowania tam w odcinkach własnych powieści; miał też rozpocząć mnóstwo żywiołowych wieczorów autorskich, które nadszarpane mu zdrowie (do śmierci w 1870 roku odbył ponad czterysta takich wieczorów) i miał zakończyć zarówno *Opowieść o dwóch miastach*, jak i *Wielkie nadzieje*. „Jestem niezdolny do odpoczynku”, powiedział swemu najlepszemu i najstarszemu przyjacielowi, Johnowi Forsterowi. „Jestem przekonany, że zardzewiałbym, pękł i umarł, gdybym tylko się oszczędzał.

O wiele lepiej jest umrzeć robiąc coś”.

A jeśli chodzi o miłość: żałował, że prawdziwa miłość była „jedynym szczęściem, którego zabrakło mi w życiu

I jedynym przyjacielem i towarzyszem, którego nigdy nie udało mi się zdobyć”. Widoczne ślady

tego melancholijnego przekonania można znaleźć w dążeniu Pipa do zdobycia miłości Estelli (wywarło też duży wpływ na pierwszą wersję

166

167

zakończenia *Wielkich nadziei*). A powolność i oziębłość, z jaką nastoletnia Ellen Ternan traktowała sławnego, lecz ponadczterdziestoletniego autora, nauczyła Dickensa dość dużo

o naturze tęsknoty Pipa do Estelli.

Z jego perspektywy małżeństwo z Kate było więzieniem; ale rozstając się z nią spotkał się z publicznym skandalem

1. poniżeniem oraz z niespieszną kochanką: związek z Ellen Ternan nie miał być nigdy radośnie świętowany. Pozbawione miłości małżeństwo miało pozostać w jego pamięci — jak pył z więzienia dla dłużników miał prześladować pana Dorrit, jak zimna mgła bagien miała podążyć za młodym Pipem do Londynu, jak „szyderstwo” Newgate miało wisieć nad Pipem, gdy z taką nadzieją wychodził na spotkanie dyliżansu przywożącego Estellę.

Pip to jedna z sierot Dickensa, ale nie tak czysta jak Oliver Twist i nie tak wdzięczna jak Dawid Copperfield. Jest nie tylko młodzieńcem o nierealnych nadziejach; jest młodym gałganem strojącym się w wyniosłe maniery gentlemana (pozycja niezasłużona), który jednocześnie nie może znieść swego niskiego pochodzenia i czuje wstyd w towarzystwie osób z wyższej klasy społecznej niż ta, do której należy. Pip jest snobem. „Najpodlejszą rzeczą jest wstydzić się własnego domu”, przyznaje, a mimo to wyrusza do Londynu, by korzystać z dobrodziejstw nieznanego dobroczyńcy, i wylewa „beczki pogardy na wszystkich ze swej wsi”.

Dla Dickensa musiał to być czas zwątpienia w samego siebie, czas cierpienia z powodu przewartościowania własnego wyobrażenia o sobie. Swoją pracę w fabryce czernidła zachowywał w sekrecie nawet przed własnymi dziećmi. Choć nie miał tak niskiego pochodzenia jak młody Pip, to musiał je uznawać za wystarczająco niskie. Nigdy nie miał zapomnieć, jak bardzo był przygnębiony, kiedy nalepiały etykiety na butelki w Hungerford Stairs.

Czy czuł się również winny, i czy niektórych ze swych przedsięwzięć nie podejmował tylko po to, by nadać sobie przymioty gentlemana (bez żadnych podstaw)? Z pewnością

168

patrycjuszowskie cele, które stawia sobie Pip, są w *Wielkich nadziejach* ukazane z dozą pogardy, jak na przykład tajemnicze a wymyślne poczynania, które pozwalają Pipowi na „gładkie życie” i bycie „ponad pracą”. W końcu — a u Dickensa często jest jakiś koniec — przychodzi złagodnienie serca; etyka pracy, bastion klasy średniej, otrzymuje łaskawie nieco szacunku. „Nie prowadzimy jakichś wielkich interesów”, mówi Pip o swej pracy, „ale mamy dobrą markę, pracowaliśmy dla zysku, i dobrze nam się powiodło”. To właśnie ma na myśli Chesterton mówiąc, że „Dickens nie pisał tego, czego chcieli ludzie. Dickens chciał tego, czego chcieli ludzie”. To ważne rozróżnienie, szczególnie gdy bierze się pod uwagę popularność Dickensa; ten człowiek nie tyle pisał dla czytelników, co wyrażał ich pragnienia — czynił zadziwiająco żywym to, czego jego czytelnicy bali się, o czym marzyli i czego chcieli.

W naszych czasach często trzeba bronić popularności autora; od czasu do czasu, w sensie literackim, do złego tonu należy bycie popularnym — jeśli autor jest popularny, to czy może być dobry? I jest często rolą późniejszego dowcipu postponować osiągnięcia i reputację autorów akceptowanych przez szersze kręgi czytelników. Oscar Wilde na przykład był nastolatkiem, gdy Dickens umierał; odnośnie sentymentów Dickensa zauważył, że „trzeba by mieć serce ze stali, by nie śmiać się ze śmierci małej Nell”. Również Wilde był tym, który powiedział, że rozmowy Flauberta były na poziomie konwersacji świńskiego rzeźnika. Tylko że Flaubert nie parał się konwersacją — a to, w swoim czasie, może okazać się najtrwalszym wkładem Wilde'a w naszą literaturę. W porównaniu z Dickensem czy Flaubertem pisarstwo Wilde'a jest na poziomie świńskiej *rzeźni*. Chesterton, który urodził się w cztery lata po śmierci Dickensa i żył w okresie, gdy popularność (autora) była sprawą podejrzaną, odrzucił zarzuty przeciwko sławie Dickensa całkiem obcesowo. Historia będzie musiała zwrócić uwagę na Dickensa, powiedział Chesterton, bo po prostu „ten człowiek wpływał na tłum”.

169

12 — Ratujać Prośka

Opisy Dickensa są obszerne i bogate. Wszystkie szczegóły otacza swoista atmosfera i ukazane są z tak fizyczną wyrazistością, że są przerażające lub wręcz namacalne. To niektóre z jego atutów jako pisarza; a jeśli były tam słabości, łatwiej je zauważyć w jego zakończeniach niż w introdukcjach czy rozwinięciach. W końcu, jak przystało na dobrego chrześcijanina, chce przebaczać. Wrogowie podają sobie ręce (albo nawet biorą ślub), a każda sierotka znajduje rodzinę. Panna Havisham, która jest naprawdę okropną

kobietą, woła do Pipa, którego zwodziła i którym przez cały czas manipulowała: „Kimże ja jestem, na Boga, bym miała być miła”. A mimo to, gdy prosi go o przebaczenie, Pip jej przebacza. Magwitch, bez względu na to jak „szybko żył”, może umrzeć z uśmiechem na ustach, spokojny, że utracona córka żyje. Czy trzeba jeszcze mówić o nieprawdopodobieństwach? Straszna siostra Pipa w końcu umiera, dając kochanemu Joe możliwość poślubienia prawdziwie dobrej kobiety. I, w poprawionym zakończeniu, nieodwzajemniona miłość Pipa zostaje wyprostowana; nie widzi już „cienia następnego rozstania” z Estellą. To przykład mechanicznego swatania; jest nierealistyczne, nadmiernie porządne; tak jakby elegancja formy powieści wymagała, by wszyscy bohaterowie się spotkali. To może wydawać się nadmiernym optymizmem.

Optymizm, który sprawia, że wszyscy kochają *Kołędę*, staje się przedmiotem ataku, gdy Dickens stosuje go w *Wielkich nadziejach*. Kiedy Boże Narodzenie się kończy, optymizm Dickensa wielu czytelnikom wydaje się marzeniem ściętej głowy. Pierwotne zakończenie *Wielkich nadziei*, w którym Pip i jego nieprawdopodobna miłość, Estellą, nie łączą się, jest uważana przez krytyków za właściwe (i z pewnością nowoczesne) — od którego Dickens jednak w końcu się odsunął; z powodu takiej zmiany uczuć i decyzji jest oskarżany o zaprzeczenie się. Po okresie wczesnej dojrzałości wypełnionej płytkimi marzeniami, Pip ma w końcu zrozumieć fałszywość swoich — i Estelli — wartości, i ukazać się jako postać smutniejsza, ale mądrzejsza. Wielu czytelników uważa, że Dickens naciąga naszą chęć dania wiary poza granice wytrzymałości, kiedy każe nam przypuszczać, w nowym zakończeniu, że Estellą i Pip będą żyć długo i szczęśliwie; albo że to w ogóle jest możliwe. O swym nowym zakończeniu — gdzie Pip i Estellą godzą się — Dickens sam powiedział do przyjaciela: „Wstawiłem bardzo ładny kawałek pisaniny i jestem pewien, że przez tę zmianę opowiadanie będzie bardziej do przyjęcia”. Nie chodzi o to, że Estellą byłaby dla Pipa — i kogokolwiek innego — okropną żoną. „Nie obawiaj się, że będę dla niego błogosławieństwem”, mówi przewrotnie Pipowi, który ubolewa nad jej pierwszym małżeństwem. Chodzi o to, że Estellą i Pip są połączeni; w pewien fantastyczny sposób należą do siebie — na dobre czy na złe. I choć propozycja, by Dickens przerobił pierwotne zakończenie pochodziła od jego przyjaciela, Bulwera-Lyttona, który chciał, by książka kończyła się lżejszą nutą, Edgar Johnson mądrze zwraca uwagę, że „zmienione zakończenie odzwierciedla desperacką nadzieję, której Dickens nie mógł wygnać z własnego serca”. Ta nadzieja to nie jakaś przeróbka w ostatniej chwili, doczepiona, a po prostu zwieńczenie nadziei, która trwa niewzruszona przez całą powieść: że Estellą jednak się zmieni. Pip przecież się zmienia (jest pierwszą z ważnych postaci w powieściach Dickensa, w której zachodzi realistyczna, choć powolna przemiana). Książka nosi tytuł *Wielkie nadzieje* nie na darmo. Nie ma to być całkowicie gorzki tytuł — choć sam potrafię podważyć własny argument przypominając sobie, że po raz pierwszy słyszymy, iż Pip jest „młodym człowiekiem o wielkich nadziejach” od złowróbnego i cynicznego pana Jagersa, starego twardziela, który całkiem zasadnie ostrzega Pipa, by „nie brał niczego na wyglądek: bierz wszystko na dowody. Nie ma lepszej zasady”. Ale nie była to zasada, której przestrzegał Dickens. Pan Gradgrind z *Ciężkich czasów* nie wierzył w nic poza faktami; a mimo to Dickens postępuje zgodnie z radą pana Sleary, by „robić to, co właściwe i miłosierne”. Jest rzeczą zarówno właściwą, jak i miłosierną, by Pip i Estellą w końcu się zeszli.

170

171

W rzeczywistości to pierwsze zakończenie nie pasuje — ani do Dickensa, ani do powieści. Pip, spotkawszy Estellę (po dwóch latach słuchania wyłącznie plotek na jej temat), zauważa ze ściśniętym sercem: „Potem bardzo się cieszyłem, że miałem to spotkanie, bo w jej twarzy i głosie, w jej dotyku znalazłem zapewnienie, że cierpienie było silniejsze niż nauki panny Havisham, i dało jej serce, które pozwoliło jej zrozumieć, czym było moje serce kiedyś”. Chociaż ton — pełen wyższości i litości dla siebie — jest bardziej nowoczesny niż romantyczna przeróbka Dickensa, nie widzę w jaki sposób my czy nasza literatura lepiej na tym wychodzimy. Proszę pamiętać o następującej rzeczy dotyczącej Dickensa — był aktywny i pełen wigoru, gdy był szczęśliwy, i dwakroć bardziej aktywny, gdy był nieszczęśliwy. W pierwszym zakończeniu Pip rozczuła się nad sobą; Dickens nigdy tego nie robił.

W zmienionym zakończeniu czytamy: „Wziąłem jej rękę w swoją i wyszliśmy z tej ruiny, i jak poranne mgły uniosły się, kiedy po raz pierwszy opuszczałem kuźnię, tak mgły wieczoru unosiły się teraz, i w szerokiej przestrzeni cichego światła nie widziałem żadnego cienia kolejnego z nią rozstania”. To bardzo ładny kawałek pisarstwa, jak zauważył Dickens, kawałek wiecznie otwarty — jeszcze wieloznaczny (nadzieje Pipa zostały rozbite wcześniej) — i będący o wiele bardziej zwierciadłem nadziei przesycającej powieść jako całość. Właśnie to pełne nadziei zakończenie pobrzmiwa bogactwem sprzeczności, za które winniśmy kochać Dickensa; jednocześnie podkreśla i podrywa wszystko, co było wcześniej. Pip jest w zasadzie dobrym człowiekiem, jest łatwowierny; wchodzi w życie pełen ludzkich uczuć, uczy się na

błędach — i przez to, że zaczyna się wstydzić za siebie — jest dalej człowiekiem. Ta wzruszająca nielogiczność zdaje się mieć cechy nie tylko wspaniałomyślności, ale i prawdy.

„Kochałem ją po prostu dlatego, że nie mogłem się jej oprzeć”, mówi Pip z nieszczęściem w głosie; a o zakochaniu się, ogólnie: „Jak ja, biedny oślepiiony wiejski chłopiec, mógłbym uniknąć tej wspaniałej niekonsekwencji, w którą na co dzień popadają najlepsi i najmądrzejsi?” A co pani Havisham ma nam do powiedzenia na temat miłości: „Powiedz mi, czym jest prawdziwa miłość”, mówi. „Jest ślepym poświęceniem, niekwestionowanym ponizaniem siebie, całkowitym poddaństwem, ufnością i wiarą wbrew sobie i całemu światu, ofiarą całego serca i duszy temu, kto je zdruzgotuje — jak ja to uczyniłam!”

W szale odrzucenia panna Havisham przez resztę życia chodzi w sukni ślubnej i, jak sama przyznaje, zastępuje serce Estelli bryłą lodu — by ta mogła jeszcze sprawniej niszczyć w swym życiu mężczyzn, równie brutalnie jak panna Havisham została zniszczona. Jest ona jedną z wielkich czarownic w historii baśni, bo faktycznie jest tym, czym się na początku wydaje. Kiedy spotyka Pipa zdaje się być bardziej zła i okrutna dla niego niż zbiegły więzień, którego Pip jako dziecko spotkał na mokradłach; później sprawia jej wielką przyjemność pomyłka Pipa (który myśli, że nie jest tą wiedźmą, za którą ją pierwotnie uważał, ale ekscentryczną dobrą wróżką). Wie, że Pip się myli, a mimo to utwierdza go w przekonaniu, że postępuje właściwie; jej przewrotność jest przewrotnością współniczki. Na koniec okazuje się oczywiście być wiedźmą, którą zawsze była. To prawdziwa magia, sama esencja baśni — ale dla wielu krytyków Dickensa ekscentryczność panny Havisham sprawia, że wydaje się być ona jedną z jego najmniej wiarygodnych postaci.

Krytyków Dickensa zdziwiłby fakt, że panna Havisham nie narodziła się wyłącznie w jego wyobraźni. Jako młodzieniec często widywał na Oxford Street szaloną kobietę, o której napisał dla swojego czasopisma *Household Words* krótki esej. Nazwał go *Gdzie przestała rosnąć* i opisał w nim „Białą Kobietę... całą odzianą na biało... Wiemy, że w swych białych butach stara się znaleźć ścieżkę wśród zimowego szlamu. Jest zadufaną w sobie starszą osobą, zimną i wyniosłą w obyciu i najwyraźniej siąkającą nosem wyłącznie z powodów osobistych. Niewątpliwie dlatego, że jakiś bogaty kwakier nie chciał się z nią ożenić. Jest ciągle... w drodze do kościoła, gdzie ma poślubić tego

172

173

falszywego kwakra. W jej drobnych kroczkach i rybich oczach widać, że ma zamiar zgotować mu ciężkie życie. Przestaliśmy rosnąć duchowo, kiedy doszliśmy do wniosku, że ten kwakier miał szczęście uciekając od Białej Kobiety”. Napisał to na kilka lat przed *Wielkimi nadziejami*. Trzy lata wcześniej opublikował w miesięcznym dodatku do *Household Words* (zwanym *Household Narrative*) oparty na faktach reportaż o kobiecie, która podpala się używając do tego choinki z zapalonymi świeczkami; unika śmierci, choć jest strasznie poparzona, gdyż młody człowiek rzuca ją na ziemię i owija dywanem — to pożar w domu panny Havisham i ratunek ze strony Pipa.

Dickens był nie tyle fantazującym i kapryśnym wynalazcą nieprawdopodobnych postaci i sytuacji, co nieugięty bystry obserwator rzeczywistych ofiar swych czasów. Wszukiwał ludzi cierpiących, ludzi pozornie upatrzonych sobie przez los lub ubezwłasnowolnionych przez społeczeństwo — nie tych, co to spokojnie unikają katastrof, lecz tych, którzy stają im naprzeciw lub na ich skraju. Wysuwane przeciwko niemu oskarżenia, że poszukiwał sensacji, są oskarżeniami ferowanymi przez ludzi konwencjonalnie bezpiecznych i zadowolonych z siebie — ludzi pewnych, iż główny nurt życia jest równie bezpieczny, co prawy, a co za tym idzie, że jest to nurt jedynie autentyczny.

„Kluczem do wielkich postaci Dickensa”, pisze Chesterton, „jest to, że wszystkie są wielkimi głupcami. Różnica pomiędzy wielkim głupcem a małym głupcem jest taka sama, jak między wielkim poetą a małym poetą. Wielki głupiec to ktoś, kto jest ponad mądrością, a nie poniżej”. Główną i najbardziej przykuwającą cechą „wielkiego głupca” jest oczywiście jego zdolność niszczenia — również samozniszczenia, i wzbudzania wszelkiego rodzaju chaosu. Popatrzcie na Szekspira: pomyślcie o Learze, Hamlecie, Otellu — wszyscy oczywiście są „wielkimi głupcami”.

Zdaje się istnieć jeden sposób działania, któremu bez zastanowienia hołdują wielcy literaccy głupcy: wpadają w pułapkę własnych kłamstw i (albo) w pułapkę podatności na kłamstwa

174

innych. W opowieści, w której występuje wielki głupiec znajdzie się bez wątpienia również wielkie kłamstwo. Największą nieuczciwość w *Wielkich nadziejach* popełnia oczywiście panna Havisham: jest to kłamstwo niedopowiedzenia. Również Pip okłamuje swoją siostrę i Joe'go, gdy im mówi o swej pierwszej wizycie u panny Havisham: mówi im, że panna Havisham trzyma w domu „czarny atlasowy powóz”, i że

wszyscy udawali, że podróżują tym unieruchomionym pojazdem, podczas gdy cztery ogromne psy „walczyły o kotlety cielęce ze srebrnego koszyka”. Biedny Pip nie zdawał sobie sprawy, że jego kłamstwo jest o wiele mniej zadziwiające niż prawda o życiu panny Havisham w Satis House i niż jej związki z życiem, na które natrafi w tak zwanym świecie zewnętrznym.

Skazaniec Magwitch, który *zagroza* życiu Pipa i jego wątrobie na początkowych stronach książki, okaże się człowiekiem

o szlachetniejszym sercu niż nasz młody bohater. Że „człowiek, który moczył się w wodzie, dusił w błocie, okulał na kamieniach, którego poraniły krzemienie, parzyły pokrzywy i szarpały kolce krzaków, który utykał, drżał z zimna, patrzył rozognionymi oczyma i warczał jak pies” — człowiek, którego Pip widzi znikającego na mokradłach w pobliżu „szubienicy, z której zwieszały się jakieś łańcuchy kiedyś pętające pirata, jakby on sam był piratem przywróconym życiu, który zjawił się znowu i sam chciał się na nich ponownie uwiesić”, że ten człowiek później zostanie wzorem honoru, jest częścią wielkiego żartu, czystej zabawy w fabule *Wielkich nadziei*. Fabuła jest u Dickensa czystą rozrywką, jest radowaniem czytelnika — tym skuteczniejszym, że większość jego powieści ukazała się w odcinkach; czytelnikom swoich seriali dawał wielkie i niespodziewane zbiegi okoliczności. Krytyk, który wybrzydza na przypadkowe spotkania i czysto przypadkowy rozwój akcji w Dickensowskich opowieściach musi mieć niedorozwinięty zmysł radości.

Dickens bez skrępowania wychodzi do swoich czytelników. Gani ich, uwodzi, szokuje; daje im komedię slapstickową

1 kazanie. Jego celem było, mówi Johnson, „nie kurczyć

175
żołądek, a poruszać serce”. Ale mam mocne podejrzenie, że we współczesnym świecie, w którym serca są o wiele bardziej zatwardziałe, Dickens mógłby mieć ochotę również kurczyć żołądki — używając tego jako jednej ze stojących jeszcze otworem dróg do zatwardziałych serc. W realizacji swego celu był całkowicie bezwstydnym; uwodził swych czytelników, dawał im wielką przyjemność po to, by mieli oczy otwarte i nie odwracali ich od obrazów groteski, od jego prawie nie ustającego moralnego oburzenia.

W *Wielkich nadziejach* czuł chyba, że przysporzył Pipowi i Estelli — i swym czytelnikom — dostatecznie dużo bólu. Dlaczego na koniec nie rzucić sobie Pipa i Estelli w ramiona? Karol Dickens nie miał nigdy poznać tego „jedynego szczęścia, którego zabrakło mu w życiu, jedynego przyjaciela i towarzysza, którego nigdy nie zyskał”. Ale Pipowi zrobił tę przyjemność: dał mu jego Estellę.

3. „Żadnej pomocy ni litości u tej błyszczącej tłuszczy” w „zdewastowanym ogrodzie”.

„Ale co z fabułą?” — pytają dalej krytycy”. Jak możesz w nią wierzyć?”

Zwyczajnie: po prostu należy przyjąć jako fakt to, że każda osoba w jakikolwiek sposób znacząca emocjonalnie dla ciebie jest spokrewniona z każdą inną emocjonalnie związaną z tobą osobą; te związki nie muszą iść tak daleko, by obejmować związki krwi, ale ludzie, którzy zmieniają twoje życie pod względem emocjonalnym — ci wszyscy z różnych miejsc, okresów, uczestniczący w wielu całkowicie niepowiązanych zbiegach okoliczności — są jednak mimo wszystko spokrewnieni. Kojarzymy ludzi z sobą ze względów emocjonalnych, a nie faktograficznych — ludzi, którzy nigdy się nie spotkali, którzy

176
nie wiedzą o sobie nawzajem, że istnieją; ludzi, który nawet nas zapomnieli. W powieści Karola Dickensa tacy ludzie są faktycznie spokrewnieni — czasami nawet poprzez więzy krwi; prawie zawsze przez okoliczności, przez ich zbiegi; a najbardziej przez fabułę. Proszę popatrzeć, jaką siłą jest panna Havisham: wszyscy, którzy mają jakiegokolwiek znaczenie dla Pipa okazują się mieć (teraz lub w przeszłości) jakiś z nią związek!

Panna Havisham tak rozmyślnie wprowadza innych w błąd, jest tak świadomie zła. To ktoś o wiele gorszy niż tylko stara złośliwa kobieta, z której jej własny historyczny egoizm czyni osobę paskudną i zdziwaczałą; ona aktywnie stara się uwieść Pipa — świadomie stara się doprowadzić do tego, by Estella go torturowała. Jeśli na tyle brak wam wyobraźni, by uważać, że tacy ludzie nie istnieją, musicie przynajmniej przyznać, że jesteście (większość z nas) równie podatni na uwodzenie jak Pip. Pip zostaje ostrzeżony; robi to sama Estella. Jest to opowieść nie tyle o absolutnej złości panny Havisham, co o nadziejach Pipa, które triumfują nad jego rozsądkiem. Pip chce być gentlemanem, chce Estelli i jego ambicje są dla niego silniejszym przewodnikiem niż to, co widzi. Czyż nie jest to ułomność, którą obserwujemy w sobie samych?

Nie kłóćcie się z Dickensem o jego skłonność do przesady. Niewiele jest słabości w *Wielkich nadziejach*, i są to słabości wynikające z powściągliwości, nie z przedobrzenia. Dość szybko zadzierzgnięta przyjaźń pomiędzy Pipem i Herbertem nigdy nie zostaje rozwinięta czy głęboko odczuta; mamy po prostu założyć,

że Herbert jest osobą doskonale dobrą (nie zostało to nigdzie w zajmujący sposób udowodnione), a fakt, że Herbert nazywa Pipa „Handel”*** doprowadza mnie do szału. Jakoś trudniej mi przyjąć dobroć Herberta niż złość panny Havisham. A miłość Dickensa dla aktorów-amatorów przerosła jego zdolność uczynienia interesującymi tego biednego głupca,

***W polskim tłumaczeniu Karoliny Beylin (Książka i Wiedza, Warszawa, 1951) przezwisko Pipa podane jest jako „Haendel”.

177

pana Wopsle, i jego ambicji. Rozdziały 30 i 31 są nudne; może zostały napisane w pośpiechu, a może są śladem chwilowego spadku formy samego Dickensa. Niezależnie od powodu, z pewnością nie są przykładami jego przesławnego pisania więcej niż potrzeba; wszystko co przedobrzył, przedobrzył przynajmniej z niewyczerpaną energią.

Johnson pisze, że „Dickens lubił i nie lubił ludzi; nigdy nie był tylko obojętny. Lubiał, kochał, wyśmiewał się, pogardzał i nienawidził; nigdy nie zwracał się do ludzi z góry i nie zadzierał nosa”. Przypatrzcie się Orlickowi — jest równie niebezpieczny jak źle traktowany pies; niewiele współczucia znajdziecie dla okoliczności społecznych leżących u podstaw jego łajdactwa; jest, tak po prostu, złym człowiekiem i chce zabić. Popatrzcie na Joe'go: dumny, uczciwy, ciężko pracuje, nie narzeka, okazuje niewyczerpanie dobrą wolę pomimo tego, że otacza go wrzaskliwy brak uznania; jest dobry tak po prostu — i nie chce nikomu robić krzywdy. Mimo silnego poczucia odpowiedzialności i świadomości uwarunkowań społecznych, Dickens wierzył również w dobro i zło; wierzył, że istnieją ludzie prawdziwie dobrzy i prawdziwie źli. Kochał każdą prawdziwą cnotę i dobry uczynek; nie cierpiał okrucieństwa, a hipokryzji i samolubstwu nie szczędził żadnego wyobraźnego szyderstwa. Był niezdolny do obojętności.

Woli Wemmicka od Jaggersa! Ale w stosunku do Jag-gersa okazuje nie tyle odrazę, co strach. Jaggers jest zbyt niebezpieczny, by nim pogardzać. Kiedy byłem nastolatkiem, wydawało mi się, że Jaggers zawsze myje ręce i czyści sobie paznokcie szczyrykiem, ponieważ jego klienci byli z punktu widzenia moralności godni potępienia (albo odrażająco brudni); wydawał mi się przypadkiem prawnika próbującego oczyścić ciało z zanieczyszczeń spowodowanych bliskością elementu przestępczego. Teraz wiem, że to tylko część wyjaśnienia, dlaczego Jagger nigdy nie może być całkiem czysty; mam o wiele większą pewność, że brud, jakim Jaggers obrasta w swej pracy, jest brudem wynikającym z samego działania prawa: jest oblepiony

178

śluzem własnej profesji. Dlatego właśnie Wemmick jest bardziej ludzki niż Jaggers. Pipa uderza fakt, że Wemmick chodzi „pomiędzy więźniami w taki sposób, w jaki ogrodnik chodzi między swymi sadzonkami”, a mimo to jest on zdolny do swych „sentymentów z Walworth”. W domu swych „starzejących się rodziców” jest absolutnie kochany. Zbrukanie jest w przypadku Jaggersa czymś o wiele trwalszym; jego dom jest prawie tak zimny i zorganizowany jak jego biuro, a obecność gosposi, Molly, z pewnością jakiejś morderczyni, która uniknęła szubienicy nie dlatego, że była niewinna, a dlatego, że Jaggers ją wybronił — rzuca cień Newgate na stół Jaggersa.

Oczywiście, od Jaggersa można się wielu rzeczy nauczyć; uwaga, jaką poświęca mało interesującemu łajdakowi Drum-mle'owi pomaga Pipowi dostrzec niesprawiedliwość mechanizmów świata — że system wartości oparty jest na pieniądzu i pochodzeniu społecznym oraz na pewnym sukcesie brutalnej agresywności. Dzięki swej nienawiści do Drummla Pip dowiaduje się również czegoś o sobie: „nasze największe słabości i podłości zwykle popełniamy z powodu ludzi, którymi pogardzamy”, zauważa. Rozwój Pipa w powieści moglibyśmy nazwać autobiografią człowieka wolno się uczącego. Wydaje mu się, że od samego początku pojmuje, kim jest Pumblechook; ale stopień hipokryzji Pumblechooka, jego płaszczenie się, jego nieuczciwość i fałszywa lojalność — oparta na pozycji zajmowanej przez człowieka w życiu i podlegająca natychmiastowemu przewartościowaniu w momencie jej zmiany — jest dla niego źródłem ciągłych niespodzianek i wiedzy. Pumblechook to silna postać drugoplanowa, będąca idealnym obiektem nienawiści. W naszej współczesnej literaturze brak zarówno takiej zdolności do głoszenia pochwał (bez zahamowań), jak i okazywania (pełnej) nienawiści, jaka była udziałem Dickensa. Czy to nasza bojaźliwość, czy też bardziej złożony obraz natury łajdactwa stworzony przez soq'ologów i psychologów, usunęły z naszej literatury nie tylko skończonych łajdaków, ale i skończonych bohaterów?

179

Dickens był bardzo przywiązany do swych bohaterów, nawet do większości swych łajdaków. „Nudziarze w jego powieściach lśnią większym blaskiem niż dowcipnisie w innych książkach”, zauważa Chesterton.

„Dwie podstawowe cechy pisarstwa Dickensa: jedna, sprawiająca, że dostaje się gęziej skórki i druga, że ze śmiechu aż bolą boki — to bliźniaki poczęte z jego ducha”, pisze Chesterton. Zaprawdę, to właśnie miłość, jaką Dickens czuł do teatru sprawia, że każda z jego postaci jest — w jego oczach — aktorem. Ponieważ wszyscy byli aktorami, i stąd wszyscy byli ważni, wszystkie postacie Dickensa zachowują się jak postaci dramatu: zarówno bohaterowie, jak i łajdacy mają cechy zapadające głęboko w pamięć.

Moim ulubionym bohaterem jest Magwitch, a wszystko, co w opowieści zawartej w *Wielkich nadziejach*

jest najbardziej interesujące i najbardziej porusza, dotyczy tego skazańca, który ryzykuje życiem, by zobaczyć, co wyrosło z dzieła jego rąk. Jakże to charakterystyczne dla Dickensa, że Magwitchowi zostaje oszczędzona prawdziwa odpowiedź; że jego dzieło niezbyt się udało. I cóż to za wspaniała historia, te dzieje Magwitcha! To właśnie Magwitch ożywia dramatyczny początek książki: zbiegły skazaniec napęda dzieciakowi takiego strachu, że ten przynosi mu jedzenie i pilnik do łańcuchów krępujących nogi; a wracając do Londynu, Magwitch, człowiek ścigany, nie tylko wnosi swój wkład w dramatyczne zakończenie powieści, ale równie skutecznie niszczy nadzieje Pipa w postaci, w jakiej sam mu je stworzył. Magwitch jest również tym, który dostarcza nam brakującego ogniwa w opowieści o porzuceniu panny Havisham; on jest naszym przewodnikiem w poznaniu, kim jest Estella.

W zdewastowanym ogrodzie Satis House wybujałe chwasty zatrują piękno, które mogło być tam się pojawić: gnijący tort weselny obsiadły pająki i myszy. Pip nie będzie mógł nigdy uwolnić siebie (ani Estelli) od piętna tego więzienia. Ten związek z przestępstwem, który młody Pip w tak niewyjaśniony sposób

czuje w kluczowych momentach swego starania się o Estellę, jest oczywiście zapowiedzią odkrycia, że Pip jest bardziej związany ze skazańcem Ablem Magwitchem niż przypuszcza. Pipowi nie bardzo jest do śmiechu, kiedy odkrywa prawdziwe okoliczności swego pochodzenia. Nawet jako maltretowane dziecko Pip jest zdolny do wybuchów dobrego humoru (przynajmniej w swych wspomnieniach): przypomina sobie, że był „częstowany chrząstkami z kości ptactwa i tymi zapomnianymi kawałkami wieprzowiny, z których świnia za życia nie miała najmniejszego powodu być dumna”. Ale nawet po odkryciu przez Pipa, kim jest jego dobroczyńca, w języku Dickensa można odnaleźć nieco dowcipu. Jednak sam język staje się coraz mniej ważny w miarę, jak fabuła *zaczyna* się gwałtownie rozwijać.

Zarówno w wybujałości języka, kiedy Dickens chce być wybujały, jak i w jego oszczędności, kiedy chce po prostu, by czytelnik podążał za rozwojem fabuły, wydaje się on nie być świadomy istnienia swych czytelników. Mimo, iż dość późno zaczął występować na wieczorach autorskich, to jednak jego język był zawsze przeznaczony do głośnego czytania: użycie repetycji, refrenów; bogate, opisowe listy towarzyszące nowo wprowadzonym postaciom lub miejscom, bogactwo znaków interpunkcyjnych. Dickens nadużywa interpunkcji; sprawia w ten sposób, że jego długie i potencjalnie trudne zdania są wolniejsze, ale łatwiejsze w czytaniu. Jak gdyby interpunkcja była dla niego swego rodzaju wskazówkami reżyserskimi dla głośnego czytania, albo jak gdyby był świadom, że wielu jego czytelników faktycznie czyta jego powieści w odcinkach i dlatego potrzebuje prawie ciągłego przypominania. Jest nadmiernie wyrazisty. Jest mistrzem średnika — tego znaku pozwalającego krótkim zdaniom zdawać się długimi, a długim zdaniom poddawać się głośnemu czytaniu. Dickens nigdy nie chce, by czytelnik mu się zgubił. Ale jednocześnie nie chce, by czytał po łóbkach. Dickensa dość trudno czytać po łóbkach: traci się tyle, że trudno złapać jakikolwiek sens. Każde zdanie napisane jest tak, by było łatwe w czytaniu, ponieważ chce, byś przeczytał każde.

180

181

Wyobraźcie sobie tylko, co by się stało, gdyby zgubił się ten ujęty w nawias komentarz dotyczący małżeństwa. „Mógłbym tutaj zauważyć, że uważam się za człowieka lepiej niż jakikolwiek żyjący autorytet obeznanego z przełomowym znaczeniem niemiłego przejścia pierścienia ślubnego przed twarzą człowieka”. Oczywiście młody Pip mówi tu o tym, jak siostra szorowała mu twarz, ale dla uważnego czytelnika jest to nawiązanie do ogólnych niewygód małżeństwa. A któż nie mógłby wyobrazić sobie, że własne wyczerpanie i poniżenia doznawane przez Dickensa w fabryce czernidła nie leżą u podstaw wrażliwości Pipa na nudną robotę w kuźni? „W małym świecie, w którym dzieci wiodą swe życie... nie ma nic, co byłoby równie dokładnie postrzegane i odczuwane jak niesprawiedliwość”. A „niesprawiedliwość” była dla Dickensa stałym tematem; jego największą złość wywołuje niesprawiedliwość wyrządzana dzieciom. Tak więc zarówno wrażliwość dziecka, jak i uwrażliwienie autora w średnim wieku (wraz z przekonaniem, że większość swego szczęścia ma już za sobą, i że większa część samotności leży jeszcze przed nim), wywierają wpływ na sposób, w jaki młody Pip widzi mokradała nocą. „Patrzyłem na gwiazdy i myślałem, jakże strasznie byłoby człowiekowi zwracać do nich twarz w momencie, kiedy *zamarza* na śmierć, i nie widzieć w tej migoczącej tłuszczy żadnej pomocy ni litości”.

Tak wspaniale obrazy są w *Wielkich nadziejach* równie czarujące jak wielkie postaci tej powieści i opowiedziana przez nią, ucząca pokory historia. Dickens widział świat ruszający żwawym krokiem ku instytucjom potężniejszym i mniej ludzkim; oglądał wyrzutek chciwości i pośpiechu społeczeństwa. „W namiętności wspaniałej przemocy”, pisze Johnson, „bronił złotego środka”. Wierzył, że aby bronić godności człowieka, trzeba było wspierać i hołubić jednostkę.

Kiedy Dickens po raz pierwszy ukończył *Wielkie nadzieje*, już zaczynało mu brakować czasu; był już wyczerpany. Miał napisać jeszcze tylko jedną powieść (*Nasz wspólny znajomy*, 1864-65); *Tajemnica*

Edwina Drooda nigdy nie została ukończona. W dniu, w którym umarł, pracował cały dzień nad tą drugą powieścią. Oto ostatnie zdanie, jakie napisał: „Zimne kamienne grobowce sprzed wieków stają się cieplejsze; a cętki światła skaczą w najsurowsze zakątki marmuru budynków, i tam trzepoczą się jak skrzydła”. Później zabrał się do paru listów. W jednym z nich, pisze Johnson, cytuje ojca Laurentego ostrzegającego Romea: „Te gwałtowne pasje gwałtownie się skończą”.**** Może było to przecucie: w jego powieściach przecucia pojawiają się dosyć często. Karol Dickens zmarł na apopleksję w ciepły czerwcowy wieczór tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku. Kiedy zmarł, oczy miał zamknięte, ale na prawym policzku widniała łza; miał pięćdziesiąt osiem lat. Przez trzy dni leżał w odkrytym grobowcu w Westminster Abbey — tyle tysięcy żałobników przyszło złożyć swoje uszanowanie byłemu dziecku-robotnikowi, którego znój w fabryce czernidła w Hungerford Stairs kiedyś wydawał się tak niewdzięczny.

Fragment *Romea i Julii* W. Szekspira w przekładzie S. Barańczaka, Poznań 1990.

182

183

Spis treści

Ratować Prośka.....	5
Przestrzeń wewnętrzna.....	20
Prawie w Iowa.....	60
Królestwo zmęczenia . :?.....	76
Tyrada Brennbara.....	109
Cudze sny.....	118
Pensjonat Grillparzer.....	126
Król powieści	155

f

M

JOHN

G

RATOWAĆ

PRO&KA

Przekład Andrzej Ceynowa

WYDAWNICTWO WOLNY WYBÓR Gdańsk 1994